

MAURYCY LEBLANC


ODŁAMEK POCISKU

POWIEŚĆ

TŁUMACZYŁA Z FRANCUSKIEGO Z. LEWAKOWSKA

NAKLAD DRUGI

C. Roggen




LWÓW 1921

SPÓŁKA NAKŁADOWA „ODRODZENIE“

CZĘŚĆ PIERWSZA

K 275538
703002 I

16-SP/1514 1/2
25.03.  41

I.

Popelniono zbrodnię.

— A gdybym ci powiedział, że niegdyś znalazłem się już w obliczu tego człowieka, na tem samem terytorjum Francji!

Elżbieta spojrzała na Pawła Delroze z wyrazem tkliwej czułości młodej żony, dla której najmniejsze słowo tego, kogo kocha, jest już powodem do zachwyty i oczarowania.

— Widziałeś Wilhelma II. we Francji? — spytała.

— Własnymi memi oczami — i nie mogę do dnia dzisiejszego zapomnieć tych wszystkich okoliczności, które towarzyszyły owemu spotkaniu. A jednak, to tak już dawno...

Mówił z jakąś nieoczekiwaną powagą, jak gdyby wywołanie tego wspomnienia obudziło w nim nagle najprzekrzesze myśli.

Elżbieta rzekła do męża:

— Opowiedz mi to, Pawle, dobrze?

— Owszem, opowiem ci — odparł. — Zresztą, mimo że byłem dzieckiem jeszcze w owej epoce, zdarzenie to wplecione jest w sposób tak tragiczny w moje życie, że nie mógłbym nie powierzyć ci go ze wszystkimi szczegółami.

Wysiedli z pociągu na dworcu w Corvigny, końcowej stacji linii lokalnej; wybiega ona ze stołecznego miasta, dosięga doliny Liseron i kończy się sześć mil przed granicą, u stóp małego miasteczka lotaryńskiego, które Vauban ustroił, — jak mówi w swych Pamiętnikach, — w „najdoskonalsze półksiężyce, jakie można sobie wyobrazić“.

Na dworcu panowało niezwykle ożywienie. Roilo się od żołnierzy i znacznej liczby oficerów. Mnóstwo podróżnych, rodziny mieszczańskie, wieśniacy, rzemieślnicy, służba kąpielowa z pobliskich letnisk, wszyscy czekali wpośród stosu pakunków i kufrów na najbliższy pociąg, zdążający w stronę stolicy.

Działo się to w ostatni czwartek miesiąca lipca, w czwartek, poprzedzający mobilizację.

Elżbieta przytuliła się trwożnie do męża.

— Och! Pawle, — rzekła drżąca — żeby choć nie przyszło do wojny!...

— Wojna! Cóż za szalony pomysł!

— A jednak, wszyscy ci ludzie, którzy odjeżdżają, wszystkie te rodziny, oddalające się od granicy...

— To niczego nie dowodzi...

— No nie, ale przecież czytałeś przed chwilą w gazecie. Nowiny są bardzo niepomysłne. Niemcy przygotowują się. Wszystko już obmyśleli... Ach! Pawle, gdyby nas tak rozdzielono!... i gdybym tak nie miała o tobie żadnych wiadomości... i gdybyś ty został raniony... i gdyby...

Mocno przycisnął jej rękę.

— Nie bój się, Elżbieto. Nic z tego wszystkiego się nie stanie. Ażby wybuchła wojna, trzeba, by ją ktoś wypowiedział. A gdzież jest ten szaleniec, ten ohydny zbrodniarz, który ośmieliłby się powziąć tak wstrętną decyzję?

— Nie boję się — odparła — i jestem nawet pewna, że gdybyś musiał pójść, nie zabrakłoby mi odwagi. Tylko... tylko, to byłoby dla nas stokroć straszniejsze, niż dla wielu innych ludzi. Przecież, pomyśl kochanie, pobraliśmy się zaledwie dziś rano!

Na wspomnienie tej chwili, która kryła w sobie tyle zapowiedzi głębokiego i trwałego szczęścia, jej ładna, jasna twarz, ocieniona aureolą złotych włosów, uśmiechała się już najufniejszym uśmiechem; szepnęła:

— Dziś zaledwie, Pawle... Zatem, pojmujesz chyba, że zapas mego szczęścia nie jest zbyt ciężki.

Tłum się poruszył. Wszyscy skupiali się przy wyjściu. Generał jakiś, w towarzystwie dwu wyższych oficerów, śpieszył w stronę podwórza, gdzie oczekiwało nań auto. Rozległy się dźwięki wojskowej muzyki: przez ulicę kolejową przeciągał zastęp strzelców pieszych. Za nim, prowadzony przez artylerzystów, zaprzęg szesnastokonny ciągnął olbrzymie działo oblężnicze, którego sylweta, mimo ociążałości lawety, zdawała się lekka, dzięki niezwyklej długości armaty. Szło z kolei stado wołów.

Paweł, trzymając w rękach dwie torby podróżne, stał przy gościńcu, kiedy zbliżył się doń mężczyzna odziany w kurtkę myśliwską z rogowymi guzikami, w aksamitne krótkie spodnie, zielonego koloru i skórzane kamasze i zdejmując czapkę, zapytał:

— Pan Paweł Delroze, nieprawdaż? Jestem strażnikiem zamku.

Miał twarz energiczną i szczerą, skórę stwardniałą na słońcu i na mrozie, włosy już siwe i ową minę nieco surową, właściwą czasami starym sługom, którym stanowisko ich pozostawia zupełną niezależność. Od lat siedemnastu zamieszkiwał obszerną posiadłość Ornequin, powyżej Corvigny i zarządzał nią w zastępstwie hrabiego d'Audeville, ojca Elżbiety.

— Ach! to wy Hieronimie — zawołał Paweł. — Doskonale! Widzę, że otrzymaliście list od hrabiego d'Audeville. Czy służba nasza przyjechała?

— Wszystko troje, dziś rano, panie i pomogli żonie mojej i mnie zrobić trochę porządku w pałacu, na przyjęcie pana i pani.

Poklonił się Elżbiecie, która zwróciła się doń ze słowami:

— A więc poznajecie mnie, Hieronimie? Nie byłam tu od tak dawna!

— Panienska miała wtedy cztery lata. To była prawdziwa żałoba dla mojej żony i dla mnie, kiedy dowiedzieliśmy się, że panienska nie wróci już do zamku... ani pan hrabia, z powodu śmierci biednej swojej pani. A czy też pan hrabia nie odwiedzi nas i w tym roku?

— Nie, Hieronimie, sądzę, że nie. Mimo tylu lat minionych, ojciec mój zawsze bardzo jest zgnębiony.

Hieronim wziął walizki i złożył je w powozie, zamówionym w Corvigny, wielkie zaś kufrы miał zabrać sam wózkiem folwarcznym.

Paweł i Elżbieta usiedli w powozie; czas był piękny, spuszczone budy.

— Droga nie jest zbyt długa — rzekł stary stróż pałacowy... — cztery mile... Ale pod górę.

— Czy zamek jest jako tako urządzony? — spytał Paweł.

— A no, nie jest to to samo, co dom zamieszkaný, ale przecież jakoś wygląda, sam pan zresztą się przekona. Zrobiło się co możliwe. Żona moja taka już rada, że państwo przyjeżdżają!... Czekać będzie przed gankiem. Uprzedziłem ją, że państwo przybędą między pół do siódmej a siódmą...

— Zaczny człowiek — rzekł Paweł do swej żony, kiedy ruszyli w drogę — lecz widocznie rzadko kiedy miewa sposobność mówienia... Zaczyna się...

Droga wznosiła się stromo po wzgórzach Corvigny, tworząc w środku miasta, pomiędzy dwoma rzędami sklepów, gmachów publicznych i hoteli, główną ulicę, przepętną dnia tego niezwykle tłumnie. Spadała następnie, okalając stare bastjony Vauban. Mknęła dalej falistą linią poprzez dolinę, nad którą górowały na prawo i lewo dwa forty Małego i Wielkiego Jonas.

Jadąc tą krętą drogą, wijącą się pomiędzy kawałkami pól zboża i siana, pod cienistym baldachimem, utworzonym z wierzchołków drzew topolowych, Paweł Delroze powrócił do owego zdarzenia ze swego dzieciństwa, o którym przyrzekł opowiedzieć żonie.

— Jak ci już wspomniałem, Elżbieto, epizod ten wiąże się ze strasznym dramatem i to tak ściśle, że łączą się w jedno w mojej pamięci. O dramacie tym mówiono wiele w swoim czasie — i ojciec twój, który, jak wiesz, był przyjacielem mego ojca, dowiedział się o nim z dzienników. Jeżeli nie mówił ci dotąd o tem, to na skutek mojej prośby, ponieważ ja sam pierwszy chciałem cię wtajemniczyć w te zdarzenia... tak bolesne dla mnie.

Splotły się ich ręce. On wiedział, że każde jego słowo zostanie żywo odczute i po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Ojciec mój był jednym z tych ludzi, którzy wzbudzają sympatję, nawet miłość u każdego, do kogo się zbliżą. Entuzjasta, szlachetny, pełen powabu i wesołego humoru, dający się porwać każdej pięknej sprawie i każdemu pięknemu widokowi, kochał życie i używał go z pewnym jakby pośpiechem.

„W roku 70 zaciągnąwszy się jako ochotnik do woj-ska, na polach bitew zdobył szlify oficerskie, a bohaterski żywot żołnierza tak odpowiadał jego naturze, że zaciągnął się po raz drugi, aby walczyć w Tonkinie, a trzeci raz aby pójść na zdobycie Madagaskaru.

„Po owej kampanji, z której powrócił jako kapitan i oficer Legji honorowej, ożenił się. W sześć lat później był już wdowcem.

„Gdy matka moja umarła, miałem zaledwie cztery lata, a ojciec mój, dla którego śmierć żony była okrutnym ciosem, otoczył mnie najżywszą tkliwością. Pragnął sam prowadzić moje wykształcenie. Pod względem fizycznym, starał się rozwinąć mnie jak najlepiej, zrobić ze mnie tęgiego i odważnego chłopaka. W lecie jeździliśmy nad morze, zimy spędzaliśmy w górach Sabaudji, na śniegu i lodzie. Kochałem go z całego serca. Dziś jeszcze, nie mogę myśleć o nim bez prawdziwego wzruszenia.

„Kiedy miałem lat jedenaście, towarzyszyłem mu w podróży po Francji, którą planował od szeregu lat, pragnąc abym i ja odbył ją z nim razem, jednakże już w wieku, w którym byłbym w stanie zrozumieć całe jej znaczenie. Była to długa pielgrzymka po tych wszystkich miejscach i tych samych drogach, gdzie ojciec mój walczył ongiś w owym strasznym roku wojny.

„Dni te, które miały zakończyć się najokropniejszą katastrofą, wywarły na mnie głębokie wrażenie. Nad brzegiem Loary, na równinach Szampanji, wpośród dolin Wogezów, a szczególnie wśród wiosek Alzacji, ileż leż wylałem, patrząc na łązy, płynące z jego oczu! Jakaż naiwną nadzieją drżało moje serce, słuchając jego słów otuchy!

„Pawle, mówił nieraz do mnie, nie wątpię, że kiedyś znajdziesz się w obliczu tego samego wroga, z którym ja walczyłem. Od dziś już — i mimo wszystkich pięknych, łagodzących frazesów, których przyjdzie ci może słuchać, dla wroga tego miej zawsze tylko najwyższą nienawiść. Cokolwiekby o nim mówiono, to barbarzyńca, zwierz dumny i dziki, człek krwawy i zaborczy. Zdusił nas pierwszym razem i dyszy żądzą, aby nas dalej dławić, by zmiażdżyć naród nasz całkowicie. Gdy przyjdzie dzień walki, przypomnij sobie, Pawle, wszystkie te drogi, które przebiegamy dziś razem. Te, po których ty iść będziesz, rozegrzmia zwycięstwem, jestem tego pewny. Nie zapomnij jednakże ani na chwilę tych dawnych krwawych etapów, i niechaj, Pawle, twoja radość zwycięska nie zatrze ci nigdy tych nazw boleści i upokorzenia, któremi są: Froeschwiller, Mars-la-Tour, Saint-Privat, i tyle innych! Nie zapomnij Pawle...

„A potem uśmiechał się:

„— Lecz pocóż się niepokoić? On to sam postara się o obudzenie nienawiści w sercu tych, którzy zapomnieli i tych, którzy nie widzieli. Czyż on mógłby się zmienić, on? Zobaczysz, Pawle, sam zobaczysz. Wszystko, co mogę ci powiedzieć, niczem jest wobec okrutnej rzeczywistości. To są potwory!”

Zamilkł Paweł Delroze. Żona jego spytała głosem nieco nieśmiałym:

— Czy myślisz, że ojciec twój miał taką zupełną rację?

— Mój ojciec pozostawał może pod wpływem bardzo wówczas jeszcze świeżych wspomnień, niezatartych własnych przeżyć. Podróżowałem wiele po Niemczech, mieszkałem tam nawet przez pewien czas i zdaje mi się, że stan duszy germańskiej nie jest już ten sam, co za życia mojego

ojca. Przyznaję więc, że niekiedy trudno mi jest zrozumieć jego słowa... A jednak... przecież... niepokoją mnie one bardzo często. Przytem, to co się potem stało, takie jest dziwne!

Powóz posuwał się nieco wolniej. Droga wznosiła się łagodnie ku pagórkom, rozpostartym nad doliną Liseron. Słońce chyliło się ku zachodowi od strony Corvigny. Minął ich w drodze dyliżans, zapelniony kuframi, następnie dwa automobile, zapchane podróżnymi i pakunkami. Mały oddziałek kawalerji galopował poprzez pola.

— Chodźmy kawałek piechotą — rzekł Paweł Delroze.

I szli obok powozu. Paweł podjął na nowo swą opowieść:

— To, co mam ci powiedzieć, Elżbieto, jawi się w mej pamięci w szczegółach bardzo niewyraźnych, wylaniających się jakby z gęstej mgły, w której niczego nie rozróżniam. Zaledwie mogę stwierdzić, że po ukończeniu tej części podróży, mieliśmy udać się ze Strassburga do Forêt-Noire. Dlaczego plan nasz został zmieniony? Nie wiem. Pewnego ranka, na dworcu w Strassburgu wsiedliśmy do pociągu, zdążającego ku Wogezom... Tak, ku Wogezom. Ojciec mój odczytywał po kilka razy list, otrzymany przed chwilą, który zdawał się sprawiać mu przyjemność. Czy właśnie list ten wpłynął na zmianę jego projektów? Nie wiem. W czasie drogi zjedliśmy śniadanie. Upał szalony zapowiadał burzę; usnąłem w drodze, tak, że nic nie pamiętam, oprócz rynku w małej niemieckiej mieścinie, gdzie wynajęliśmy dwa rowery, pozostawiając nasze walizki u portjera na dworcu... A potem... jakież to wszystko pomieszane!... jechaliśmy na rowerach poprzez kraj, który nie pozostawił w mej pamięci żadnego wrażenia. W pewnej chwili ojciec mój rzekł do mnie:

„— Pawle, oto przekraczamy granicę... jesteśmy w Francji...

„A później... zatrzymał się, aby spytać o drogę przechodzącego wieśniaka, który wskazał mu jakąś krótszą ścieżkę poprzez lasy. Ale jaką ścieżkę, jaki kierunek? Nie wiem. Nad moim głowem roztacza się jakiś cień nieprzenikniony.“

„Aż, nagle, cień ów rozdziera się i widzę, z zadziwiającą dokładnością, polanę, wielkie drzewa, mech, taki miękkie, aksamitny i starą kaplicę. Deszcz padał wielkimi kroplami, coraz gwałtowniej, ojciec więc zawołał:

„— Skryjmy się, Pawle.

„Jakżesz dzwięczy mi dotąd w uszach głos jego! i jakże wyraźnie widzę jeszcze małą kapliczkę o murze, spleśniałym od wilgoci! Ukryliśmy nasze rowery, w tyle, pod wystającym z ponad chóru daszkiem. Wtedy to doleciał nas z wnętrza kaplicy szmer jakiejś rozmowy i usłyszeliśmy skrzypienie otwierających się drzwi w bocznej ścianie.

„Ktoś wyszedł i powiedział po niemiecku :

„— Niema nikogo. Śpieszmy się.

„W owej chwili, okrążyliśmy kaplicę z zamiarem wejścia do niej przez te boczne drzwi i ojciec mój, idąc pierwszy, znalazł się nagle w obecności człowieka, który prawdopodobnie wypowiedział te niemieckie słowa.

„Obaj cofnęli się nagle, ów obcy człowiek wydawał się mocno zirytowany, a ojciec mój niesłychanie zdziwiony tem niezwykłym spotkaniem. Przez parę sekund trwali nieruchomie, jeden naprzeciw drugiego. Usłyszałem szept mego ojca :

„— Czy to możliwe? Cesarz...

„A ja sam, choć zdziwiony temi słowami, ja, który często widywałem portret cesarza, nie mogłem ani przez chwilę wątpić, iż ten, który stał przed nami, był cesarzem Niemiec.

„Cesarz niemiecki we Francji! Gwałtownym ruchem pochylił głowę, a kołnierz aksamitny szerokiej peleryny podniósł aż do opadających miękkich kryś kapelusza. Odwrócił się w stronę kaplicy. Wychodziła z niej kobieta, za nią zaś jakieś indywidjum, na które zaledwie spojrzałem, coś w rodzaju służącego. Pani ta była wysokiego wzrostu, młoda jeszcze, dosyć piękna, brunetka.

„Cesarz z nieukrywaną gwałtownością chwycił ją za ramię i wiodąc z sobą, mówił do niej ze złością słowa, których nie mogliśmy rozróżnić. Obrali tą samą drogę, którą my przybyliśmy do kaplicy, a która wiodła do granicy. Służący, wpadłszy w las, wyprzedzał ich.

„— Zabawna, naprawdę, przygoda, rzekł, śmiejąc się, mój ojciec. Po jakie лихо Wilhelm II zapuszcza się tutaj? I to w jasny dzień! Czyżby kaplica przedstawiała jakąś wartość artystyczną? A no, chodźmy do środka, Pawle i zobaczmy!

„Weszliśmy. Przez witraż, czarny od kurzu i pajęczyny, wdierał się słaby zaledwie promień światła. Mimo to, można było dostrzec przysadkowatą słupy, nagie mury i całe wnętrze, które, zdaniem mego ojca, niczem nie zasługiwało na zaszczyt cesarskiej wizyty.

„— To jasne, dorzucił ojciec, że Wilhelm II przybył tu przypadkowo, jako turysta i zły jest mocno, że złapano go na tej wycieczce. Prawdopodobnie, towarzysząca mu dama zapewniła go, iż na nic podobnego nie będzie narażony, stąd wynikła jego irytacja i skierowane do niej wyrzuty.

„Ciekawe jest, — nieprawdaz Elżbieto? — że tak wiernie zapamiętałem wszystkie te drobne fakty, które w istocie mogły mieć tylko względną doniosłość dla dziecka w moim wieku, gdy tymczasem tyle innych, ważniejszych rzeczy nie wyrło się w mej pamięci. Opowiadam ci wszystko tak, jak było i mam wrażenie, że patrzę na to w tej chwili, że słyszę dźwięk dawnych słów. I teraz, kiedy to mówię, widzę tak samo wyraźnie, jak ujrzałem ją wówczas, gdy opuszczaliśmy kaplicę, ową towarzyszkę cesarza, widzę ją, jak śpiesznym krokiem, przebiegłszy z powrotem polanę, zbliża się do mego ojca i słyszę jej zapytanie:

„— Czy mogę poprosić pana o pewną przysługę?

„Musiała biec szybko, jest zdyszana. Nie czekając odpowiedzi, dorzuca:

„— Osoba, którą pan spotkałeś, pragnęłaby z panem pomówić.

„Nieznajoma ze swobodą wyraża się po francusku, bez obcego akcentu.

„Ojciec mój waha się. Wahanie to zdaje się ją oburzać, jakby niepojęta wprost zniewaga wobec osoby, która ją przysyła, mówi też dalej cierpkim tonem:

„— Nie przypuszczam, abyś pan miał zamiar odmówić!

„—Dlaczegożby nie? — odpowiada mój ojciec widocznie zniecierpliwiony. — Nie odbieram żadnego rozkazu.

„— To nie jest rozkaz, mówi, hamując się kobieta, to życzenie.

„— Więc dobrze, zgadzam się na rozmowę. Jestem tu do dyspozycji tej osoby.

„Ogarnęło ją oburzenie.

„— Ależ nie, ależ nie, trzeba aby pan sam...

„— Trzeba, zapewne, abym ja się potrudził, krzyknął głośno mój ojciec, abym prawdopodobnie przekroczył granicę, za którą raczą mnie oczekiwać! Przykro mi, że odmawiam pani, lecz tego nie uczynię. Może pani uspokoić tą osobę, by nie obawiała się niedyskrecji z mej strony. Pawle, chodźmy!

„Zdjął kapelusz i skłonił się nieznajomej. Lecz ona zagroziła mu drogę.

„— Nie, nie, pan mnie musi usłuchać. Cóż znaczy obietnica dyskrecji? Tym lub owym sposobem należy to zakończyć i zechce pan...

„Począwszy od tej chwili nie słyszałem już nic więcej. Stała naprzeciwko mego ojca, gwałtowna, wroga. Twarz jej kurczyła się w wyrazie naprawdę dzikim i okrutnym, który przejmował mnie strachem. Ach! jakże mogłem nie przewidzieć wszystkiego?... Ale ja byłem wówczas taki młody! A przytem, wszystko odbyło się tak szybko!... Przystąpiwszy do ojca, przyparła go do grubego drzewa, stojącego na prawo od kaplicy. Głosy ich podniosły się. Ona uczyniła ruch groźby. On zaczął się śmiać. I natychmiast, raptownie, ostrzem noża — ach! ta stał, której błysk ujrzałem nagle w cieniu! — pchnęła go w samą pierś, dwukrotnie... dwukrotnie, tu, w samą pierś. Ojciec mój upadł.“

Paweł Delroze umilkł, trupio blady na wspomnienie zbrodni.

— Ach! wyjąkała Elżbieta, twój ojciec został zamordowany... Mój biedny Pawle, biedny mój mężu...

I spytała drżąc, strwożona:

— Cóż dalej, Pawle, co się stało? Wołałeś o pomoc?...

— Krzyknąłem, rzuciłem się ku ojcu, lecz schwyciła mnie jakaś bezlitosna ręka. To służący, wypadłszy z lasu, zatrzymał mnie przemocą. Ujrzałem nóż jego wzniesiony ponad moją głowę. Uczułem okrutne uderzenie w ramię. I ja, z kolei, padłem na ziemię.

II.

Zamknięty pokój.

Powóz oczekiwał w pewnem oddaleniu. Paweł i Elżbieta usiedli na pagórku nad brzegiem drogi. Dolina Liseron'u witała się przed ich oczami w łagodnych, zielonawych zakrętach; po obu stronach małej, falistej rzeczki, zgodnie z jej kaprysami, ciągnęły się dwie białe drogi. W tyle, o jakie sto metrów zaledwie poniżej, rozpościerało się Corvigny. Na przedzie, o milę dalej, wznosiły się wieżyczki d'Ornequin i ruiny starej wieżycy zamkowej.

Odrętwiała jakby opowieścią męża, Elżbieta długo trwała w milczeniu, wreszcie wyrzekła:

— Ach! Pawle, to wszystko takie okropne! Musiałeś strasznie cierpieć!

— Nic nie pamiętam od owej chwili, nic, aż do dnia, w którym znalazłem się w jakimś obcym pokoju, pod pielegnacją starej kuzynki mego ojca i zakonniczki. Był to najpiękniejszy pokój w zajeździe, położonym między Belfortem a granicą. W dwanaście dni przedtem, rano, o świcie, właściciel zajazdu znalazł dwa ciała nieruchome, skąpane we krwi, które złożono widocznie w nocy, przed gospodą. Przy pierwszych odrazu oględzinach, stwierdził, że jedno z tych ciał było już jak lód zimne, zeszytywniałe. To były zwłoki biednego mego ojca. Ja, chociaż słabo, oddychałem jeszcze!

„Rekonwalescencja trwała bardzo długo, przerywana gwałtownymi atakami gorączki, w czasie których, bezprzytomny chciałem uciekać. Stara kuzynka, jedyna jeszcze żyjąca moja krewna, otaczała mnie najżywszą opieką i przywiązaniem. W dwa miesiące później zabrała mnie do siebie; rana moja była już prawie zupełnie wyleczona, lecz śmierć ojca i straszne okoliczności, jakie jej towarzyszyły, odbijały się na mnie tak silnie, iż trzeba było długich lat, abym wrócił całkowicie do zdrowia. Co się zaś tyczy samego dramatu...

— Więc cóż? — zawołała Elżbieta, objawszy ramieniem szyję męża, ruchem serdecznej troskliwości.

— Otóż nie dało się dotąd przeniknąć tej tajemnicy. Organa sprawiedliwości oddały się badaniu całej sprawy z wielkim zapalem i drobiazgowością, usiłując sprawdzić jedyne użyteczne dla nich informacje, to jest te, których ja udzieliłem. Wszystkie wysiłki były daremne. Wszakże moje zeznania były tak mgliste! Wszak nie wiedziałem nic ponad to, co stało się na polanie i przed kaplicą! Gdzież jej szukać, owej polany? Gdzie znaleźć ową kaplicę? W jakim kraju rozegrał się ten potworny dramat?

— A jednak, przecież aby dotrzeć do tego kraju, ojciec twój i ty musieliście odbyć podróż i zdaje mi się, że wróciwszy na ślad waszego wyjazdu ze Strassburga...

— Ech! nie przypuszczasz chyba, aby pominięto tą wskazówkę; władze francuskie, nie zadawałając się wynikiem śledztwa organów niemieckich, wysłały na miejsce swych najlepszych agentów policyjnych. Lecz w tem właśnie leży rzecz, która później gdy przyszedłem do lat rozumu, wydała mi się najbardziej zagadkową, że nie wy-

dobyto żadnego śladu naszego pobytu w Strassburgu. Żadnego, słyszysz? Żadnego! A przecież byłem najzupełniej pewny, że jedliśmy i przebywaliśmy w Strassburgu, co najmniej przez całe dwa dni. Sędzia śledczy, prowadzący sprawę, uznał, że moje wspomnienia, zeznania dziecka zranionego, dziecka, które przeżyło tak silne wstrząśnienie, musiały być nieprawdziwe. Lecz, ja wiedziałem dobrze, że tak nie jest; wiedziałem to wówczas i wiem teraz także.

— No i cóż?

— Nie mogę zatem oprzeć się szukaniu związku między umorzeniem całej sprawy, pominięciem całkowitem faktów niezaprzeczonych, łatwych do sprawdzenia, faktów takich, jak pobyt dwu Francuzów w Strassburgu, ich podróż koleją, złożenie walizek na dworcu, wynajęcie dwu rowerów w mieście alzackiem, związku, powtarzam, pomiędzy tymi faktami a owym faktem pierwszorzędnej wagi, że sam cesarz był bezpośrednio, tak, bezpośrednio, wmieszany w całą sprawę.

— Jednakże, Pawle, związek ów, musiał chyba nasuwać się na myśl tak samo sędziemu, jak tobie...

— Bez wątpienia; mimo to, ani sędzia śledczy, ani żaden z urzędników, ani żadna z osobistości urzędowych które odebrały moje zeznania, nie chciały zgodzić się na, to, iżby cesarz obecny był dnia tego w Alzacji.

Dlaczego?

— Ponieważ dzienniki niemieckie donosiły, że w tym samym dniu, o tej samej porze, w której rozegrał się dramat, cesarz Niemiec bawił we Frankfurcie.

— We Frankfurcie?

— Ano tak, jego obecność znaczą zawsze tam, gdzie on rozkaże, a nigdy tam, gdzie pragnie zachować swe incognito. I pod tym więc względem zarzucano mi omyłkę, a śledztwo rozbijało się o całą masę przeszkód, niemożebności, kłamstw, alibi, które mojem zdaniem dowodziły tylko działalności ciągłej i wszechpotężnej jakiejś bezgranicznej władzy. To jedno tylko tłumaczenie można przyjąć. Bo czyż jest możliwe, aby dwaj Francuzi mieszkali w hotelu w Strassburgu i aby nazwisk ich nie umieszczono w spisie gości hotelowych? Czy spis ten skonfiskowano, czy wymazano nasze nazwiska, nie wiem, dość, że nigdzie ich nie wykryto. Żadnego zatem dowodu, żadnej wskazówki! Właściciele hotelu, służba hotelowa i restauracyjna, urzędnicy dworca i kolei, podnajemcy rowerów, wszyscy

podwładni, w tym wypadku spiskowcy, wszyscy otrzymali nakaz milczenia i żaden z nich nie wyłamał się z pod tego:

— Ale później, przecież sam musiałeś, Pawle, czynić jakieś poszukiwania?

— Och! mój Boże! i jakie jeszcze! Cztery już razy od czasu dojścia do lat młodzieńczych, przebiegałem granicę, od Szwajcarii do Luksemburgu, od Belfortu do Longwy, zapytując tamtejszych mieszkańców, badając chłopów! Ileż to godzin strawiłem na daremnych dociekaniach, by z mroków mego mózgu wydobyć jakiś drobny bodaj szczegół, któryby oświecił sprawę! Nic. Żadnego błysku w tych strasznych ciemnościach. Trzy obrazy tylko wyłaniają się z za gęstej mgły przeszłości. Obraz miejsc i rzeczy, które były świadkami zbrodni: polana, stara kaplica, ścieżka, biegnąca poprzez środek lasów. Obraz cesarza. I obraz... obraz kobiety, która zabiła.

Paweł zniżył głos. Cierpienie i nienawiść malowały się na jego twarzy.

— Och! ta kobieta! gdybym żył sto lat, widziałbym ją zawsze przed swymi oczami, tak, jak się widzi kraj-obraz, którego wszystkie szczegóły są w pełnym świetle. Kształt jej ust, wyraz spojrzenia, odcień włosów, specjalny sposób chodzenia, rytm jej ruchów, rysunek całej sylwety, wszystko to jest we mnie, nie jako wizja, którą wywołuje się dowolnie, lecz jak coś, co stanowi część własnej mojej istoty. Można by przypuszczać, że w czasie gorączki, gdy leczono mnie z rany, wszystkie tajemne siły mego mózgu pracowały niestrudzenie nad zebraniem całkowitem tych wstrętnych wspomnień. I dzisiaj, w pewnych godzinach, szczególnie, gdy wieczór zapada i jestem sam, odczuwam, już wprawdzie nie chorobliwą zmiłę, jak dawniej, lecz ból tępy w duszy. Ojciec mój został zamordowany, a ta, która spełniła tę zbrodnię, żyje jeszcze, nieukarana, szczęśliwa, bogata, czczona, prowadząc dalej swe dzieło nienawiści i zniszczenia.

— Czy poznałbyś ją dziś, Pawle?

— Czybym ją poznał? Między tysiącem kobiet! I gdyby zmieniona była wiekiem, odnalazłbym pod zmarszczkami staruszki twarz tą samą młodej kobiety, która zamordowała mojego ojca, w popołudnie wrześnie. Jej miałbym nie poznać! Ależ zapamiętałem nawet kolor jej sukni! Czy to prawdopodobne? suknia popielata z czarną chusteczką koronkową, wkoło ramion, a tu, przy gorsie, zamiast broszki, ciężka kamea, otoczona złotym węzłem.

który miał oczy z rubinów. Widzisz więc, Elżbieto, że zapamiętałem doskonale i nie zapomnę nigdy.

Umilkł. Elżbieta płakała. I ją także, jak i jej męża, przeszłość przejmowała grozą i goryczą. Paweł przyciągnął żonę ku sobie i ucałował w czoło.

Ona rzekła :

— Pamiętaj, Pawle! Zbrodnia będzie ukarana, ponieważ tak stać się musi. Niechże jednak nad życiem twojem nie ciąży ciągle to nienawistne wspomnienie! Jest nas teraz dwoje, kochamy się. Spójrzj w przeszłość.

Pałac d' Ornequin jest prostą a piękną budowlą z szesnastego wieku; posiada cztery wieżyczki, zakończone jakby małemi dzwonniczkami, wysokie okna o koronkowych u szczytu ozdobach i smukłą balustradę na pierwszym piętrze.

Regularne trawniki, okalające prostokąt podwórza, prowadzą z prawej i z lewej strony ku ogrodom, lasom i sedom. Jeden z boków owych trawników kończy się szeroką terasą, z której rozciąga się widok na dolinę Liseron'u i która dźwiga majestatyczne ruiny starej kwadratowej wieży zamekowej.

Wszystko na wielką zakrojone miarę. Posiadłość, otoczona folwarkami i polami, o ile jest dobrze utrzymana, może dawać duże dochody. Jest to jedna z największych własności w całym departamencie.

Przed siedemnastu laty, wystawiona na sprzedaż po śmierci ostatniego barona d' Ornequin, nabyta została przez hrabiego d' Audeville, ojca Elżbiety, na życzenie jego żony. W piątym roku małżeństwa, jako oficer kawalerji, zgłosiwszy swą dymisję, aby móc poświęcić się całkowicie tej, którą kochał, z nią razem był właśnie w podróży, a przypadek zawiódł ich do Ornequin, w chwili, kiedy miała się dokonać sprzedaż majątku, zapowiedziana poprzednio w dziennikach krajowych. Hermina d' Audeville zachwyciła się odrazu piękną posiadłością, a hrabia poszukujący ziemi, dla zapelnienia wolnych chwil gospodarką, nabył dobrą na własność.

Przez całą następną zimę, kierował w Paryżu robotami, które miały na celu zupełne odnowienie zamku, zaniedbanego gruntownie przez dawnego właściciela. Chciał, aby mieszkanie pełne było komfortu i pięknie urządzone, posłał też tam wszystkie artystyczne drobiazgi, tkaniny, dzieła sztuki, płótna mistrzów malarstwa, zdobiące jego pałac w Paryżu.

Dopiero, gdy nadszedł sierpień, wszystko było gotowe i wtedy mogli zainstalować się w Ornequin. Przeżyli tam kilka czarownych tygodni wraz ze swemi dziećmi, czteroletnią Elżbietą i synkiem Bernardem, tęgim chłopczyką, który na krótki czas przedtem przyszedł na świat.

Hermina d'Audeville, oddana cała swym dzieciom, nie opuszczała nigdy prawie parku. Hrabia doglądał swych folwarków i polował często w towarzystwie swego strzelca Hieronima.

Przy końcu października, hrabina d'Audeville przeziębila się silnie, a wobec tego, że choroba jej przybrała dość poważne rozmiary, hrabia postanowił zawieźć ją wraz z dziećmi na południe. W dwa tygodnie później, hrabina umarła.

Mąż jej popadł w ten stan rozpacz, który przepaja człowieka przeświadczeniem, że życie jest skończone i że, cokolwiek się stanie, nigdy już nie zazna ani radości, ani nawet spokoju. Żył dalej, nietylko dla swych dzieci, ile dla podtrzymywania w sobie kultu zmarłej, dla pielegnowania wspomnienia, które o się dlań jedyną racją istnienia.

Niezdolny do powrotu w mury zamku d'Ornequin, w którym przeżył tyle szczęścia, nie chcąc z drugiej strony dopuścić do tego, aby zamieszkali w nim ludzie obcy, rozkazał Hieronimowi zamknąć wszystkie drzwi zamkowe, zapuścić okienice, a buduar i pokój hrabiny tak zarygłować, iżby nigdy nikt nie miał do nich przystępu. Hieronim dostał nadto polecenie wydzierżawienia folwarków i pobierania z nich zapłaty najmu.

To zerwanie z przeszłością nie wystarczyło hrabiemu. Rzecz dziwna u człowieka, dla którego życie nie było już niczem innem, jak tylko wspomnieniem zmarłej żony; mimo to, wszystko, co mu ją przypominało, przedmioty jej codziennego użytku, miejsca i krajobrazy, na tle których żyła, stały się dlań prawdziwą torturą, a nawet własne jego dzieci wzbudzały w nim jakieś dziwne przykre uczucie, którego nie mógł przezwyciężyć. Ponieważ zaś miał w Chaumont, na prowincji, starszą siostrę, wdowę, jej przeto powierzył wychowanie swej córki Elżbiety i syna Bernarda, a sam udał się w podróż.

Przy ciotce Alinie, osobie pełnej poświęcenia i poczucia obowiązku, spędziła Elżbieta poważnie swe dzieciństwo; rozwinięto jej charakter, umysł i serce, dano jej wysokie wykształcenie, wpojono w nią silnie ugruntowane surowe zasady moralne.

Gdy miała lat dwadzieścia, była smukłą, wysoką dziewczyną, dzielną, nie znającą trwogi; twarz jej o wyrazie z natury nieco melancholijnym, rozjaśniała się niekiedy najbardziej naiwnym, serdecznym uśmiechem; była to jedna z tych twarzy, na których naprzód już wypisane są doświadczenia i radości, jakie los w przyszłości gotuje. W oczach zawsze jakby wilgotnych, łatwo odbijało się każde wzruszenie. Jasne pukle włosów dodawały wdzięku całej fizyonomji.

Hrabia d'Audeville, który przy każdym widzeniu się ze swą córką, coraz więcej odkrywał w niej uroku, przez dwie zimy z rzędu zabierał ją z sobą do Włoch i do Hiszpanji. W czasie owych podróży poznała Elżbieta w Rzymie Pawła Delroze, spotkali się następnie w Neapolu, potem w Syrakuzach, ponownie wreszcie w czasie długiej wycieczki na Sycylii; związała ich wówczas nić serdecznego uczucia, którego siłę poznali w pełni, w chwilach rozłąki.

Podobnie jak Elżbieta, Paweł wychowywał się po śmierci ojca na prowincji, ~~z~~ czczerze oddanej mu krewnej, która przywiązaniem swem i troskliwą opieką starała się dać mu zapomnienie strasznego dramatu z dzieciństwa. Tęgo nie zdołała uczynić; udało się jej jednak dokonać dzieła, rozpoczętego przez ojca: wychowała Pawła na chłopca prawego, lubiącego pracę, wykształconego, pełnego ciekawości życia i żądzy czynu. Skończył nauki w Szkole głównej, potem zaś, odbywszy służbę wojskową, przez dwa lata bawił w Niemczech, prowadząc studia z dziedziny przemysłu i mechaniki, która go szczególnie zaciękawiała.

Wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, z czarnymi, w tył odrzuconemi włosami, ze szczupłą nieco twarzą i wybitnie zarysowaną brodą, sprawiał wrażenie siły i energii.

Spotkanie z Elżbietą odkryło mu cały, pogardzany dotąd świat uczuć i wzruszeń. Było to dla niego, podobnie jak i dla młodej dziewczyny, czemś w rodzaju upojenia zmieszanego ze zdziwieniem. Miłość stwarzała w nich jakby nowe dusze, wolne, swobodne, a nieznany dotąd entuzjazm i wesołość stanowiły dziwną sprzeczność z przyzwyczajeniami, jakie nałożyło na nich surowe dotąd życie. Z chwilą powrotu do Francji oświadczył się o rękę Elżbiety i został przyjęty.

Przy kontrakcie ślubnym, zawieranym w trzy dni przed ślubem, hrabia d'Audeville oznajmił, iż Elżbieta otrzyma oprócz posagu również i zamek d'Ornequin, w którym młoda para postanowiła się osiedlić.

Ślub odbył się w Chaumont, w czwartek 30. lipca; w uroczystości brała udział tylko najbliższa rodzina, mówiono bowiem już wtedy dużo o zbliżającej się wojnie, mimo, iż hr. d'Audeville, opierając się na informacjach — zdaniem jego — nader wiarygodnych, twierdził, że ewentualności tej nie można brać na serjo. Wówczas to poznał Paweł brata Elżbiety, Bernarda d'Audeville; siedmnastoletniego zaledwie studenta, który ujął go odrazu swą szczerością i pięknymi zaletami charakteru. Postanowiono też, iż Bernard, w kilka dni później, odwiedzi młodą parę w Ornequin.

O pierwszej godzinie po południu Elżbieta i Paweł wyjechali koleją z Chaumont. Radośni, promienni zdążali do zamku, w którym miały upłynąć pierwsze lata ich wspólnego życia, a może nawet cały raj szczęścia i błogości, otwierający się olśnionym oczom kochanków.

Była siódma godzina wieczorem, gdy u stóp ganku ujrzeli żonę Hieronima, Rozalję, pocziwą kobiecinę, o tłustych policzkach i wesołej minie. Przed obiadem śpiesznie przebiegli cały ogród, potem oglądali zamek.

Elżbieta nie mogła pohamować wewnętrznego wzruszenia. Mimo, iż nie obudziło się w niej żadne wspomnienie, zdawało jej się jednak, że na każdym kroku odnajduje coś ze swej matki, którą znała tak mało, iż nie pamiętała nawet jej obrazu, a która tu przeżyła ostatnie dni swego szczęścia. Cień zmarłej wychylał się jakby z zakrętów ogrodowych alei. Wielkie zielone trawniki wydawały jakąś woń szczególną. Zdawało jej się, że szmer kołysanych wiatrem liści przemawia do niej tym samym głosem, co ongiś, gdy na tem miejscu słuchała go razem z matką.

— Jesteś jakaś smutna, Elżbieto? — zapytał Paweł.

— Smutna nie, lecz wzruszona. Wiesz? to matka nasza wita nas tutaj, w tym zakątku, w którym sama snuła jasne marzenia, do którego przybywamy dziś, my, z temi samemi rojeniami. I przenika mnie jakiś lęk, tak, jak gdybym była natrętnym intruzem, zakłócającym tu spokój i ciszę. Pomyśl, mój drogi! Już od tak dawna matka moja zamieszkuje ten zamek. Jest w nim sama. Ojciec nie chciał nigdy tu przybyć, a ja teraz mówię sobie, że my nie mamy może prawa wdzierać się tutaj, my, obojętni na wszystko, co nie jest nami.

Paweł uśmiechnął się.

— Kochanie moje, czujesz się tylko całkiem poprostu nieswojo, jak ktoś, przybywający o zmierzchu do jakiegoś obcego kraju.

— Nie wiem... może, odparła. Zapewne masz rację... A jednak nie mogę się obronić przed tem jakimś dziwnem uczuciem, choć to takie przeciwne mojej naturze! Czy wierzysz, Pawle, w przeczucia?

— Nie, a ty?

— Ja również nie — odrzekła śmiejąc się i podając mu usta do pocałunku.

Ze zdziwieniem, zastali w salonach i pokojach zamkowych atmosferę mieszkania, które nigdy nie stało pustką. Wedle rozkazów hrabiego, wszystko było tak urządzone jak za życia Herminy d'Audeville. Artystyczne stare drobiazgi spoczywały na swoim dawnym miejscu, jak i wszystkie tkaniny, hafty, koronki, wszystkie minjatury, piękne fotele z XVIII. wieku, gobeliny flamandzkie, meble, gromadzone niegdyś przez hrabiego dla upiększenia mieszkania. Tym sposobem, od pierwszej zaraz chwili, znaleźli się w miłej, przytulnej atmosferze.

Po obiedzie, wrócili do ogrodów i przechadzali się po alejach, cicho, łagodnie objawszy się ramieniem. Z terasy ujrzeni dolinę, pełną uroku, rozświetloną gdzieś niegdyś małym światelkiem. Na tle bladego nieba wznosiły się majestatyczne ruiny starej wieżycy.

— Czy zauważyłeś, Pawle — cichym głosem spytała Elżbieta, że, zwiedzając zamek, przechodziliśmy obok jednych drzwi zamkniętych na ogromną kłódkę?

— W środku długiego korytarza, rzekł Paweł, a tuż obok twojego pokoju, prawda?

— Tak. Był to buduar mojej biednej matki. Ojciec nakazał zamknąć ten pokój i łączący się z nim, sąsiedni. Hieronim założył kłódkę, a klucz odesłał ojcu. Od tej pory nikt nie wchodził do tego pokoju. Jest on dziś taki sam zupełnie, jak był dawniej. Znajduje się w nim wszystko, co matce mej służyło do ostatniej chwili, jej rozpoczęte roboty ręczne, jej ulubione książki. A na ścianie, naprzeciw drzwi, wpośród dwu, zamkniętych zawsze okien, wisi portret matki, w naturalnej wielkości, zrobiony na prośbę ojca, przez jednego z jego przyjaciół, wybitnego malarza, na rok przed jej śmiercią — podobieństwo ma być świetnie uchwycone. Obok stoi jej klęcznik. Dziś rano, ojciec oddał mi klucz od buduaru, a ja obiecałam mu uklęknąć i pomodlić się przed portretem mej matki.

— Więc, chodźmy tam, Elżbieto.

Ręka młodej kobiety drżała w dłoni męża, gdy wstępowali na schody, wiodące na pierwsze piętro. Wzdłuż całego korytarza paliły się lampy. Zatrzymali się.

Drzwi wysokie, szerokie, ozdobione były u góry gzymsem ze złożoną płaskorzeźbą.

— Otwórz, Pawle, — rzekła Elżbieta drżącym głosem.

Podawała mu klucz. Otworzył kłódkę i chwycił za klamkę, lecz w tej chwili żona ujęła kurczowo jego rękę.

— Pawle, Pawle, poczekaj chwilę... Tak bardzo jestem wzruszona! Pomyśl, przecież to pierwszy raz mam znaleźć się przed moją matką, przed jej obrazem... i ty, kochanie, jesteś przy mnie... Wydaje mi się, iż znowu zaczyna się dla mnie całe dawne życie małej dziewczynki.

— Tak, małej dziewczynki — odparł przyciskając ją gorąco do serca — i życie kobiety także...

Nabrawszy jakby otuchy w tym uścisku, szepnęła :

— Wejdzmy, mój drogi Pawle.

Pchnąwszy drzwi, cofnął się do korytarza, wziął jedną z lamp, zawieszonych na murze, a wróciwszy, umieścił ją na stoliku.

Elżbieta stała już przed portretem.

Ponieważ twarz matki ukryta była w cieniu, ustawiła lampę w ten sposób, aby pełne światło rzucić na obraz.

— Jaka ona piękna, Pawle!

Przybliżył się i podniósł głowę. Elżbieta, bezsilna ze wzruszenia, uklękła na klęczniku. Po chwili spojrzała na milczącego ciągle męża i przeraziła się jego widokiem.

Nie ruszał się z miejsca, był siny, oczy rozszerzyły mu się, jakby w obliczu najokropniejszego widziadła.

— Pawle! krzyknęła, co ci się stało?

Nie mogąc oderwać wzroku od portretu hrabiny d'Audeville, począł cofać się powoli ku drzwiom. Staniał się, jak człowiek pijany, rękami odpychając jakby od siebie potworną wizję.

— Ta kobieta... ta kobieta... — szeptał ochrypłym głosem.

— Pawle! — błagalnym tonem wołała Elżbieta — co ci jest, co chcesz powiedzieć?

— Ta kobieta... to ona zabiła mego ojca!

III.

Rozkaz mobilizacji.

Po strasznem tem oskarżeniu zapadła przeraźliwa cisza. Stojąc naprzeciw Pawła, Elżbieta starała się zrozumieć te słowa, nie mające dla niej jeszcze właściwej treści, a jednak żłobiące już w sercu jakąś głęboką ranę.

Przystępując do męża, utkwiała oczy w jego oczach i wymówiła cicho, tak, że zaledwie mógł usłyszeć jej słowa:

— Co ty powiedziałeś, Pawle? To rzecz potworna!...

On odpowiedział tym samym tonem:

— Tak, to rzecz potworna. Ja sam w to jeszcze nie wierzę... nie chcę wierzyć...

— A więc... omyliłeś się, prawda? Omyliłeś się... przynaj... powiedz...

Błagała go całą swą rozpaczą, mając nadzieję, że przezwycięży, że złamie to jego przewidzenie.

Z poza ramienia swej żony, przykuł znowu spojrzeniem do złowróbnego portretu i zadrżał od stóp do głowy.

— Ach! to ona, ona, potwierdził zaciskając pięście. To ona... poznaję ją... To ona zabiła...

Odruch buntu wstrząsnął młodą kobietą.

— Moja matka! moja matka miałyby zabić... matka moja! ta, którą ojciec tak ubóstwiał! matka moja, która kołysała mnie niegdyś i całowała! Wszystkie wspomnienia z dzieciństwa zatarły mi się w pamięci, ale to nie — pozostało mi na zawsze wrażenie jej pieszczot i jej pocałunków! I ona, ona miałyby być zabójczynią!

— To ona!

— Ach! Pawle, nie rzucaj takiej zniewagi! Jak możesz utrzymywać rzecz taką, tak długo po dokonaniu zbrodni? Byłeś wtedy dzieckiem i przez chwilę tylko widziałeś tę kobietę!... zaledwie przez kilka minut.

— O! Przypatrzyłem jej się tak dobrze! — zawołał Paweł z siłą. Od chwili zbrodni nie opuścił mnie jej obraz. Nieraz chciałem uwolnić się od niego, tak, jak człowiek pragnie wyswobodzić się od zmory. Nie mogłem! I teraz widzę ten obraz, tu na ścianie. To ona! poznaję ją, tak jak twój obraz poznałbym po dwudziestu latach! To ona... Patrz, patrz, oto u gorsu ta sama broszka, otoczona złotym węzem... Kamea! Wszak ci mówiłem! A oczy tego węża... to rubiny! I chusteczka z czarnej koronki wokół ramion! To ona! to ta kobieta, którą widziałem!

Coraz bardziej podniecony, ze wzrastającym uniesieniem groził pięścią portretowi Herminy d'Audeville.

— Zamilcz! — krzyknęła Elżbieta, którą raniło każde jego słowo, zamilcz, zabraniam ci...

Aby zmusić go do milczenia, chciała ręką zasłonić mu usta. Lecz Paweł cofnął się nagle wstecz, jakby broniąc się przed jej dotknięciem, a odruch jego był tak gwałtowny, tak instynktowny, że Elżbieta załkawszy boleśnie, padła jak martwa na ziemię, gdy on tymczasem, oszalały

z rozpacz, miotany nienawiścią i cierpieniem, cofając się ku drzwiom przed strasznym widziadłem, krzychał:

— To ona! To jej okrutne usta, jej bezlitośne oczy! Ona obmyśla zbrodnię. Widzę ją... widzę ją... Zbliża się do mego ojca!... Przyciska go do drzewa!... Podnosi ramię!... Zabija go!... Ach! nędznica!.. Podła!..

Uciekł z pokoju...

Całą noc przepędził Paweł w parku, biegając jak szalony poprzez ciemne aleje, rzucając się wyczerpany na trawniki, płacząc i płacząc bez końca.

Paweł Delroze cierpiał dotąd zawsze tylko na wspomnienie zbrodni; cierpienie to, z czasem złagodzone, stało się niemniej niekiedy ostre i gwałtowne, niby świeża, paląca rana. Tym razem zaś ból był tak silny i niespodziewany, iż mimo zwykłą mu moc panowania nad sobą i równowagę, stracił poprostu głowę. Myśli jego, postęпки, ruchy, słowa, jakie krzychał wśród głuchej nocy, były przejawem człowieka, który nie posiada już nad sobą żadnej władzy.

Myśli i wrażenia wirowały w jego zmaconym mózgu, jak liście na wietrze; jedna tylko myśl straszna powracała ciągle: „Znam już tą, która zabiła mego ojca, a kobieta, którą kocham, jest córką tej zbrodniarki!”

Czy kochał jeszcze? Bez wątpienia, rozpacznie opłakiwał szczęście, które widział już zniszczone, ale czy kochał jeszcze Elżbietę? Czy mógł kochać córkę Herminy d'Audeville?

O świcie, gdy wrócił do domu i przechodził obok pokoju Elżbiety, nie zabiło w nim żywiej serce. Nienawiść dla morderczyni zgłuszyła wszelkie drżenie miłości, pragnienia, nawet zwyczajnej ludzkiej litości.

Odrętwienie, w które popadł później, nie zmieniło stanu jego duszy. Przeciwnie, może i nawet bezświadomie bronił się z większą jeszcze siłą przed spotkaniem Elżbiety. Pragnął przedewszystkiem dowiedzieć się czegoś pewnego, zdać sobie ze wszystkiego sprawę, zasięgnąć wszelkich koniecznych wiadomości, aby już bez wahania i z całą pewnością powziąć decyzję, która miała w tym lub owym kierunku rozwiązać straszny dramat jego życia.

Należało w pierwszej linii wybadać Hieronima i jego żonę, świadectwo ich mogło mieć duże znaczenie, znali bowiem hrabinę d'Audeville. Pewne mianowicie kwestje, dotyczące się znamiennych dat, mogły być natychmiast rozstrzygnięte.

Znalazł oboje w ich mieszkaniu bardzo wzburzonych. Hieronim trzymał w ręce gazetę, Rozalja gestykulowała żywo z przerażeniem.

— A więc już, panie, wykrzyknął Hieronim. Pan może być pewny: już lada chwila!

— Co? — spytał Paweł.

— Mobilizacja! Pan zobaczy. Spotkałem żandarmów, moich przyjaciół i oni mi powiedzieli. Obwieszczenia są już gotowe.

Paweł rzucił w roztargnieniu:

— Obwieszczenia są zawsze gotowe.

— Tak, ale rozlepiac je będą za chwilę, pan zobaczy. A zresztą, niech pan przeczyta gazetę. Te świny — niech pan wybaczy, lecz niema na nich innej nazwy — te świny chcą wojny. Austria wesłaby ostatecznie w układy, ale oni tymczasem mobilizują się i to już oddawna. Dowodem tego, iż nie można się już do nich przedostać. Więcej nawet, oto wczoraj, niedaleko stąd, zniszczyli stację francuską i wysadzili szyny. Niech pan przeczyta!

Paweł przebiegł oczyma telegramy z ostatniej chwili, lecz, chociaż wyczuwał ich doniosłość, wojna wydawała mu się rzeczą tak nieprawdopodobną, iż tylko przelotnie zwrócił na nie swą uwagę.

— Wszystko to jakoś się ułoży, zawyrokował, oni mają taki zwyczaj przemawiania z ręką na szabli, ale nie mogę uwierzyć...

— Pan nie ma racji — szepnęła Rozalja.

Paweł nie słuchał już dalszych wynurzeń służby, mając myśl skupioną jedynie około tragedji swego losu i zastanawiając się nad tem, jakaby drogą otrzymać od Hieronima odpowiedzi, które były dlań niezbędne. Nie będąc w stanie panować dłużej nad sobą, przystąpił prosto do rzeczy.

— Wiecie już może o tem, Hieronimie, że pani i ja weszliśmy do pokoju hrabiny d'Audeville.

Oświadczenie to wywarło na służącym i jego żonie niesłychane wrażenie, jak gdyby świętokradztwem było wtargnięcie do tego pokoju, od tak dawna zamkniętego, pokoju „Pani“ jak go nazywali między sobą.

— Na Boga, czy to możliwe! — wyszeptała Rozalja. A Hieronim dorzucił:

— Ależ nie, nie, przecież ja posłałem hrabiemu jedyny klucz od kłódki.

— Oddał go nam, wczoraj rano — odparł Paweł.

I natychmiast, nie bacząc już dalej na ich osłupienie, zapytał:

— Pomiedzy dwoma oknami znajduje się tam portret hrabiny d'Audeville. Kiedy przyniesiono obraz ten do zamku i umieszczono go w tym pokoju?

Nie odrazu odpowiedział Hieronim. Zastanawiał się przez chwilę, poczem spojrzawszy na żonę, wyjąkał:

— Przecie to całkiem jasne; było to wtedy, kiedy pan hrabia sprowadził wszystkie swoje meble do zamku.

— To znaczy?

Nie do zniesienia wprost była trwoga, z jaką Paweł przez kilka sekund oczekiwał odpowiedzi, — odpowiedź ta miała przynieść ostateczne rozwiązanie zagadki.

— A więc? — powtórzył.

— Na wiosnę roku 1898.

— 1898!

Głuchym głosem powtórzył Paweł te słowa. 1898 był to rok, w którym zamordowano jego ojca!

Nie pozwalając sobie na dalsze rozmyślanie, z zimną krwią sędziego śledczego, który nie odstępował ani na krok od raz powziętego planu, zapytał:

— Wówczas, zatem hrabia i hrabina d'Audeville przybyli tutaj?...

— Pan hrabia i pani hrabina przybyli do zamku 28-go sierpnia 1898, a 24. października odjechali na południe.

Paweł znał już teraz prawdę, ponieważ morderstwo ojca jego dokonane zostało 19. września.

Wyjaśniły mu się odrazu wszystkie okoliczności, które zależały od tej prawdy, wypływały z niej, tłumaczyły ją w najgłówniejszych szczegółach. Przypomniat sobie, że ojciec jego utrzymywał przyjazne stosunki z hr. d'Audeville; w czasie podróży swej po Alzacji, musiał dowiedzieć się, iż przyjaciel jego d'Audeville przebywa w Lotaryngji i pragnął go odwiedzić. Paweł obliczał w myśli oddalenie Ornequin'u od Strassburga, oddalenie odpowiadające istotnie ilości godzin, spędzonych przez nich ongiś w drodze, koleją.

I zapytał:

— Wiele kilometrów stąd do granicy?

— Dokładnie siedm, panie.

— Po tamtej stronie, przyjeżdża się do małego miasteczka niemieckiego, prawda?

Tak panie, to Ebre-court.

Czy można jakąś krótszą drogą dojść do granicy?

— Tak jest, aż do połowy drogi ku granicy, wiedzie ścieżka, górą, w parku.

— Poprzez las?

— Przez lasy pana hrabiego.

— A w tych lasach...

Aby zdobyć pewność całkowitą, pewność wynikającą już nie z domysłów, lecz z samych faktów, które stały się — rzecz można — widzialne i namacalne, wystarczyło zadać ostatnie pytanie: czy w lasach tych niema małej kapliczki w środku polany? Dlaczego Paweł Delroze nie zapytał o to? Czy sądził, że pytanie to było istotnie zbyt wyraźne i mogło obudzić w gajowym jakieś podejrzenia, które i bez tego łatwo mogły im przyjść na myśl w ciągu całej tej rozmowy?

Zapytał więc tylko:

— Czy hrabina d'Audeville nie wyjeżdżała w podróż, w czasie tych dwu miesięcy swego pobytu w Ornequin? Może choć na parę dni...

— Dalibóg, nie. Pani hrabina nie opuszczała swej siedziby.

— Więc stale przebywała w parku?

— Ależ tak, panie. Pan hrabia prawie codziennie, po południu, jeździł powozem do Corvigny, albo w stronę doliny, lecz pani hrabina zawsze była w parku lub w lesie.

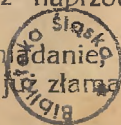
Paweł wiedział już wszystko, na czem mu zależało. Obojętnem było dlań, co Hieronim i jego żona mogli pomyśleć o tej dziwnej litanji pytań, pozornie bezładnych; nie dając też żadnego wyjaśnienia, opuścił ich mieszkanie.

A choć śpieszno mu było doprowadzić do końca swe badania, odłożył na później dalsze śledztwo, jakby lękając się tego ostatecznego dowodu, niepotrzebnego zresztą, wobec wszystkich tych, których przypadek sam dostarczył mu przed chwilą.

Powrócił więc do zamku, a gdy nadeszła pora śniadania, postanowił zdobyć się na nieuniknione spotkanie z Elżbietą.

Siedział w salonie, gdy weszła pokojówka, by mu donieść, że pani przeprasza, przyjść nie może, czuje się bowiem njezdrowa i jeść będzie u siebie w pokoju. Zrozumiał, że żona pragnie pozostawić mu zupełną swobodę, a nie chcąc, z jednej strony bronić matki, którą czci i kocha, z drugiej, poddaje się już naprzód wszelkim postanowieniom swego męża.

Samotnie spożywając śniadanie, odczuwał głęboko i wyraźnie, że życie jego było już złamane, że on i Elżbieta,



w sam dzień ślubu, skutkiem zbiegu okoliczności, najzupełniej od nich niezależnych, stawali się dla siebie wrogami, których nic na świecie nie mogło już zbliżyć ani połączyć. Bez wątpienia, nie żywił ku niej żadnej nienawiści, nie czynił jej wyrzutów za zbrodnię matki, lecz nieświadomie czuł do niej jakby żal zato, iż była córką owej kobiety.

Przez całe dwie godziny, po śniadaniu, siedział zamknięty w pokoju hrabiny d'Audeville, wpatrując się w jej portret; w tem tragicznem sam na sam ze zbrodniarką, pragnął napełnić swe oczy przeklętym jej obrazem, aby wspomnieniom dodać nowej siły.

Badał najdrobniejsze szczegóły. Studjował kameę, wyobrażającą łabędzia z rozpostartemi skrzydłami, rysunek złotego węża, okalającego broszkę, odległość dwu rubinowych oczu i sfalowanie czarnej koronki wokół ramion i kształt ust i odcień włosów i rysunek twarzy.

Tak, ona była tą kobietą, którą widział ongiś w pamiętny wieczór wrześniowy. W rogu obrazu, znajdował się podpis malarza, a pod spodem widniały słowa: Portret hrabiny H. Prawdopodobnie obraz był kiedyś wystawiony i oznaczono go tą dyskretną nazwą: hr. Hermina.

Jeszcze kilka minut, a odżyje cała przeszłość, powiedział sobie Paweł. Odnalazłem winną, teraz pozostaje mi uż tylko wykryć miejsce zbrodni. Jeżeli kaplica rzeczywiście istnieje w lesie, będę miał całą prawdę w rękach.

I krokiem pewnym, zdecydowanym, szedł ku tej prawdzie. Czuł już mniejszy teraz lęk przed nią, objęła go bowiem w swój uścisk złowrogi. A mimo to, jakże żywo i boleśnie biło mu serce, jak przykre dlań było wybrać się w drogę, wiodącą ku ścieżce, którą szedł ojciec jego przed szesnastu laty!

Hieronim, niezbyt pewnym ruchem, wskazał mu kierunek drogi. Przeszedł przez park, od strony granicy, a zbaczając na lewo, minął też jakiś pawilon. U skraju asu wszedł w długą jodłową aleję, która o pięćset kroków dalej, rozgałęziała się na trzy węższe dróżki. Dwie z nich, jak zmiarkował, wpadały w nieprzeniknioną gęstwinę, trzecia wiodła na szczyt pagórka; wybrawszy tą ostatnią, kierując się ciągle na lewo, zszedł znowu w inną aleję jodłową.

Obierając tą drogę, Paweł zdawał sobie jasno sprawę z pobudek swego postanowienia; ta aleja z dwoma szeregi jodeł, budziła w nim — choć nie potrafiłby wyjaśnić przez jakie właściwie podobieństwa kształtu i kie-

runku — wspomnienia z przeszłości i te prowadziły jego kroki.

Aleja, zrazu dosyć równa i prosta, nagle skręcała w las wielkich buków, których wierzchołki, łącząc się i splatając, tworzyły nad głową zielone sklepienie; dalej szła znowu prosto. Paweł, posuwając się pod ciemnym baldachimem drzew, ujrzał przy końcu drogi jakiś nagły rozbłysk światła, co zapowiadało, iż gąszcz leśny rozchyła się w otwartą polanę.

Trwoga podcięła mu nogi; szedł naprzód z największym wysiłkiem. Byłaż to ta sama polana, na której ojciec jego otrzymał cios śmiertelny? Przed wzrokiem jego coraz wyraźniej rysowała się jasna przestrzeń, a równocześnie ogarniała go coraz boleśniejsza pewność. Jak poprzednio, w obliczu portretu, tak i teraz przeszłość w oczach jego nabierała rzeczywistego życia!

Była to ta sama polana, otoczona wieńcem drzew, pokryta miękkim kobiercem z liści i mchu, a te same ścieżki dzieliły ją na poszczególne części, na równe, jakby wycinki koła. Widoczny nad nią szmat nieba układał się w ten sam rysunek, a tam, na lewo, pomiędzy dwoma cisami, wznosiła się kapliczka; poznał ją Paweł odrazu.

Kaplica! Mała, stara, ciężka kapliczka, której obraz wrył się jakby bruzdą w mózg młodzieńczy. Drzewa rosną, rozwijają się, zmieniają kształt; zmienić się również może zewnętrzny wygląd polany, ścieżki mogą z biegiem czasu pokrzyżować się inaczej. I w tem wszystkiem możliwa jest omyłka. Niewzruszona jednakże jest budowla z granitu. Stulecia całe składają się na tą jej znamienitą barwę zielonawo-szarą, która jest dla kamienia oznaką upłynionego czasu, ową nigdy nie ścierającą się patyną.

Tak, to ta sama kaplica, z rozetą, o zakurzonych szybkach, widniejącą na frontonie; z niej to w pamiętny dzień wychodził tajemnie cesarz Niemiec, a w ślad za nim kobieta, która w dziesięć minut później... zabiła...

Paweł skierował się ku drzwiom. Pragnął ujrzeć znowu to miejsce, gdzie ojciec przemawiał doń po raz ostatni w życiu. Co za wzruszenie! Z poza kaplicy wychylał się ten sam daszek, pod którym ukryli niegdyś swoje bicykle i te same widniały drzwi drewniane o grubych, zardzewiałych żelazicach.

Wstał na stopień, wiodący do kaplicy. Podniósł zasuwę, pchnął skrzydło drzwi. Lecz w tej samej chwili, gdy wchodził, dwaj ludzie, ukryci w cieniu, jeden z prawej, drugi z lewej strony, rzucili się na niego.

Pierwszy wymierzył doń z rewolweru, w samą twarz. Dziwnym trafem Paweł zdołał dostrzec lufę i uchylił się w porę, tak, że nie dosięgła go kula. Rozległ się drugi strzał. Paweł, przypadłszy do złoczyńcy, który czyhał na jego życie, wyrwał mu broń z ręki, lecz w tej chwili, drugi z opryszków groził już sztyletem. Napadnięty cofnął się więc parę kroków wstecz, a podniósłszy dłoń uzbrojoną w rewolwer:

— Ręce do góry! — krzyknął.

I nie czekając, aż napastnicy wykonają jego rozkaz, bezwiednie dwukrotnie nacisnął kurek. Dwukrotnie rozległ się suchy trzask, lecz nie padł żaden strzał. Wystarczyło to jednak, by obaj nędznicy, przerażeni, rzucili się jak najśpieszniej do ucieczki.

Przez jedną sekundę Paweł stał jakby przykuty do ziemi, osłupiały tą raptowną, zgoła niespodziewaną zasadzką. Następnie strzelił ponownie w stronę uciekających. Daremnie! broń nabita bez wątpienia dwoma tylko nabojami, znowu zawiodła.

I wówczas, pędem puścił się w pogoń za napastnikami, przypominając sobie równocześnie, że przed laty, cesarz wraz ze swą towarzyszką, oddalając się od kaplicy, obrał ten sam kierunek drogi, prowadzący najwidoczniej ku granicy.

Złoczyńcy, czując pościg, rzucili się w las i pomknęli między drzewa. Paweł jednak, bardziej rączy, doganiał ich szybko, tem bardziej, że ominął w biegu dół, zarosły zdradziecko mchem i paprociami, który tamtych zatrzymał na chwilę w ucieczce.

Nagle, jeden ze zbrodniarzy zagwizdał przeraźliwie. Byłże to znak umówiony, rzucony ukrytym spiskowcom? W chwilę potem, zniknęli poza linią niezmiernie gęstych krzaków. Przekroczwszy ją, Paweł spostrzegł, na sto kroków przed sobą, wysoki mur, który zdawał się zamykać ze wszystkich stron lasy. Napastnicy znajdowali się właśnie w połowie drogi, mknąc szybko i prosto ku tej stronie muru, gdzie znajdowały się małe, niskie drzwi.

Paweł wyteżył wszystkie siły, aby dobiec do celu, zanim zbrodniarze będą mieli czas otworzyć owe drzwiczki. Droga, wolna od przeszkód, pozwalała mu biec szybko, uciekający zaś, widocznie wyczerpani, zwalniali kroku.

— Mam ich, mam ich! — zawołał. Nareszcie do-wiem się...

W powietrzu rozległ się drugi gwizd, a za nim krzyk donośny. Zaledwie trzydzieści kroków dzieliło go od zbrodniarzy, słyszał już ich głosy.

— Mam ich, mam ich, powtarzał z dziką radością.

I postanawiał jednego powalić na ziemię, rażąc go w twarz kulą rewolweru, drugiego zdusić za gardło.

Zanim jednak bandyci dobiegli do muru, ktoś pchnął drzwi od wewnątrz. Ukazała się jakaś trzecia postać, która utorowała im przejście.

Paweł rzucił rewolwer i z największym wysiłkiem, z szaloną wprost energją chwycił za ramę drzwi i przyciągnął je ku sobie.

Otworzyły się. A to, co ujrzał w tej chwili, przerażało go do tego stopnia, iż cofnął się odruchowo i nie myślał już nawet o obronie przed tym nowym atakiem. To trzecie indywidjum — o! okrutne widziadło!... czyż możliwe, aby to było co innego, niż straszna, dusząca zmora? — trzecie indywidjum podnosiło nad nim nóż, a twarz jego znana była Pawłowi... Twarz podobna tej, którą widział niegdyś, twarz mężczyzny, nie — kobiety, lecz jak podobna!... jak podobna!... Twarz o szesnaście lat starsza, o jeszcze twardszym, okrutniejszym wyrazie, lecz taka sama, taka sama!

I mężczyzna ten uderzył Pawła, jak ongiś owa kobieta, jak ta, nie żyjąca już dziś, co niegdyś zadała cios jego ojcu.

Zachwiał się Paweł Delroze, nie wskutek otrzymanego pchnięcia, lecz raczej skutkiem wstrząsu nerwowego, doznanego na widok tej zjawy; ostrze bowiem sztyletu, uderzywszy o guzik jego surduta, pękło na kawałki. Stojąc oszołomiony, z oczyma zamglonemi, usłyszał łoskot zamykanych drzwi, potem zgrzyt klucza w zamku, a wkońcu warczenie automobilu, który ruszał z miejsca po tamtej stronie muru. Gdy Paweł odzyskał pełną świadomość, było już po wszystkim. Tajemnicze indywidjum i dwaj jego towarzysze zniknęli bez śladu.

W tej chwili zresztą pochłonięty był całkowicie jednym tylko: niewytłumaczonym podobieństwem, zachodzącym między zabójczynią z przed lat szesnastu, a dzisiejszym zbrodniarzem. O tem myślał jedynie: „Hrabina d'Audeville umarła, a oto odżywa pod postacią człowieka, którego twarz nie różni się niczem od tej, jaką ona

miałaby dzisiaj. Kto to? Krewny jej? Brat nieznany? Brat bliźni?

I zaświtała mu w mózgu wątpliwość:

— Czy jednak ja się nie mylę? Czy nie padłem ofiarą złudzenia, tak zresztą możliwego przy obecnym mojem zdenerwowaniu? Któż zapewni mię, że istnieje wogóle jakiś najmniejszy choćby związek między przeszłością a teraźniejszością? Należałoby mieć dowód...

A dowód ten znalazł się natychmiast i to tak wymowny i niezbity, że usuwał wszelkie już dalsze wątpliwości.

Przyjrawszy się leżącym w trawie szczątkom sztyletu, podniósł nagle odłamaną jego rączkę.

Na rogowej rączce wryte, jakby wypalone rozżarzonem żelazem, widniały litery: H, E, R i M.

H. E. R. M.... cztery pierwsze litery imienia — Hermina!

...I w tej chwili, kiedy wpatrywał się w owe litery, nabierające dlań tak wielkiego znaczenia, w tej właśnie chwili — zapamiętał to Paweł na zawsze — począł dzwonić z sąsiedniego kościoła dzwonić w przedziwny jakiś sposób; był to dźwięk równy, monotony, nieprzerwany, naraz wesoły, a tak wzruszający!

— Dzwonią na alarm, szepnął, nie przywiązując do tych słów właściwego im znaczenia.

I dorzucił:

— Prawdopodobnie jakiś pożar.

W dziesięć minut później, Paweł opierając się na szerokich, silnych gałęziach drzewa, przeskoczył przez mur. Tu odsłoniły się przed jego oczyma nowe lasy, przecięte prostą drogą. Poszedł nią, kierując się śladami samochodu i w godzinę dotarł do granicy.

U stóp słupa granicznego znajdował się posterunek żandarmów niemieckich, a dalej biała się droga i postępowały szeregi ułanów.

Poza tem, masa czerwonych dachów i ogrodów. Było to małe miasteczko, w którem ongiś ojciec jego i on wynajęli rowery, miasteczko Ebre-court?

Nie ustawało melancholijne dzwonicie. Zdawał sobie sprawę, że dźwięk ten pochodził z Francji, że nadto, gdzie indziej jeszcze dzwonił dzwonić inny, również we Francji, i trzeci jeszcze od strony Liseron'u, a wszystkie trzy z tym

samym pośpiechem, jakby rzucały wkoło siebie zew jakiś oszalały.

Powtórzył z trwogą:

— Dzwon alarmowy... dzwon alarmowy... Kościół za kościołem... Byłoby to... ?

Lecz odpędził myśl okrutną. Nie, nie, to złudzenie słuchowe tylko, lub też echo jednego dzwonu, które odbijało się w wąwozach dolin i toczyło po równinach.

Patrzył na wijącą się od strony miejsciny niemieckiej białą drogę, którą przewalały się fale jeźdźców. Na szczycie pagórku wyrósł jakby z pod ziemi oddział francuskich dragonów. Oficer przy pomocy lornety, zbadawszy horyzont, odjechał wraz z swymi ludźmi.

A wówczas, nie mogąc iść dalej, Paweł wrócił aż do muru, który przekroczył przed chwilą i zobaczył, że mur ów otaczał wokoło cały ten szmat ziemi, las i park. Dowiedział się też od starego wieśniaka, że zbudowano go przed dwunastu laty; dlatego to Paweł, w czasie swych poszukiwań wzdłuż granicy, nie mógł nigdy odnaleźć kapliczki. Raz tylko — przypomniał sobie — ktoś mówił mu o jakiejś kaplicy, położonej w obrębie zamkniętej posiadłości. Cóż mogło go to obchodzić?

Idąc tak wzdłuż ogrodzeń zamkowych, zbliżył się do samej gminy Ornequin; poprzez wyrąb leśny ujrział nagle kościół. Dzwon, który zamilkł przed chwilą, począł znowu dzwonić bardzo wyraźnie. Był to dzwon d'Ornequin'u. Nieco piskliwy, rozdierający jak skarga, a choć lekki i przyspieszony, był on bardziej uroczysty niż dzwon pogrzebny.

Paweł skierował kroki w stronę, z której dolatywał dźwięk.

Wokół kościoła roztaczała się ładna wioska, spowita cała w geranje i rumianki. Gromadki ludzi stały przed białym afiszem, wywieszonym na murze urzędu gminnego.

Paweł, zbliżywszy się, przeczytał:

„Rozkaz mobilizacyjny“.

W każdej innej chwili swego życia, byłby przeniknął odrązu całe olbrzymie i ponure znaczenie tych słów. Lecz przewrót, jaki się w nim dokonywał, był zbyt silny i uczynił go niejako obojętnym na wszelkie innego rodzaju wielkie wzruszenia. Przebiegł więc zaledwie myślą nieuniknione konsekwencje owej doniosłej nowiny. A więc tak, już mobilizowano. O północy miała zacząć się mobilizacja. Tak, każdy zatem musiał iść. I on także. Świadomość ta przy-

bierała w jego umyśle kształt jakiegoś czynu tak potężnego, rozmiary obowiązku, przewyższającego tak bardzo wszystkie konieczności codzienne i wszystkie drobne zobowiązania osobiste, iż odczuł jakby ulgę i ukojenie, otrzymując z zewnątrz rozkaz, dyktujący mu dalsze postępowanie. Nie było mowy o żadnem wahaniu.

Jedyny obowiązek: jechać.

Jechać? Lecz w takim razie, czemużby nie natychmiast? Poco wracać do zamku, w jakim celu spotykać się z Elżbietą, szukać bolesnych a próżnych wyjaśnień, udzielić lub odmówić przebaczenia, o które żona jego wcale nie prosi, na które nie zasługuje bynajmniej córka Herminy d'Audeville?

Przed zajazdem wiejskim oczekiwał dyliżans, opatrzoney w następujący napis:

Corvigny — Ornequin — Dworzec kolejowy.

Kilka osób wsiadło już do dyliżansu. Nie zastanawiając się dłużej nad sytuacją, którą rozwiązywał — siłą faktu — sam bieg wydarzeń, Paweł poszedł za ich przykładem.

Na dworcu w Corvigny, powiedziano mu, że pociąg jego odchodzi dopiero za pół godziny, a niema innego do wyboru, zniesiono bowiem ten, który miał połączenie z nocnym ekspresem, na głównej linii.

Paweł zamówił sobie miejsce, poczem powrócił do miasta, zdążając do biura przedsiębiorcy, który wynajmował powozy i posiadał także dwa automobile.

Ułożono, że jeden z samochodów, większy, uda się natychmiast do zamku w Ornequin, na usługi p. Delroze.

I napisał do swej żony tych kilka słów:

„Elżbieto,

„Chwila jest tak poważna, że proszę Cię, byś opuściła Ornequin. Podróż koleją nie jest obecnie pewna, posyłam więc auto, które zawiezie Cię jeszcze dzisiejszej nocy do ciotki w Chaumont. Przypuszczam, że służba zechce Ci towarzyszyć i że na wypadek wojny, która, mimo wszystko, wydaje mi się jeszcze nieprawdopodobna, Hieronim i Rozalja zamkną pałac, a sami schronią się do Corvigny.

„Ja zdążam do mego pułku. Jakąkolwiek przyszłość gotuje nam los, nie zapomnę Elżbieto, tej, która była moją narzeczoną i która nosi moje nazwisko.

„Paweł Delroze“.

IV.

List Elżbiety.

O godzinie dziewiątej pozycja była już nie do utrzymania.

Pułkownik kipiał ze złości.

W połowie nocy — działo się to pierwszego miesiąca wojny, 22 sierpnia — przyprowadził swój pułk do zbiegu tych trzech ulic, z których jedna wychodziła z belgijskiego Luksemburgu. W wilgę tego dnia nieprzyjaciel zajmował już linje graniczne w odległości mniej więcej dwunastu kilometrów. Należało, wedle oficjalnego rozkazu generała, dowodzącego dywizją, zatrzymać wroga aż do południa, to znaczy do chwili, w której cała dywizja zdąży nadejść. 75-ta bateria stanowiła obronę pułku.

Pułkownik rozmieścił swoich ludzi w zakęśłościach terenu. Podobnie ukryła się bateria. Od pierwszych jednak blasków dnia pułk oraz bateria, wysłedzone przez wroga, były gęsto zasypywane granatami.

Przesunięto się zatem o dwa kilometry na prawo. W pięć minut później padły już i tu granaty, zabijając sześciu żołnierzy i dwu oficerów.

Nowa zmiana pozycji. I w dziesięć minut potem nowy atak wroga. Pułkownik uparł się. W przeciągu godziny trzydziestu ludzi było już niezdolnych do walki. Zniszczona została też jedna z armat.

Była dopiero dziewiąta godzina.

— Tam do licha! — zawołał pułkownik — jakim sposobem wykrywają nas ciągle? W tem są chyba jakieś czary!

I chował się, wraz z swymi dowódcami, z kapitanem artylerji, oraz z kilku łącznikami, za wzgórek, z poza którego wyzierały dość rozległe, faliste płaszczyzny. Nieopodal, z lewej strony, opuszczona wioska, na przedzie zaś rozsiane folwarki, a wśród całej tej pustej przestrzeni nie można było dostrzec ani jednego nieprzyjaciela. Nic, coby mogło wskazywać skąd pochodził ów deszcz granatów. Daremnie 75-ta „wymacała“ kilka punktów. Ogień nie ustawał.

— Trzy godziny jeszcze trzeba się trzymać, mruczał pułkownik; ano wytrwamy, lecz padnie tu czwarta część pułku.

W tej chwili zasyczał granat między oficerami a łącznikami i wbił się w ziemię. Wszyscy cofnęli się odruchowo, oczekując wybuchu. Lecz jeden z ludzi, kapral, wystąpił naprzód, a chwyciwszy w rękę ów granat, począł mu się przyglądać.

— Oszalałeś chłopcze! — zawył pułkownik. Puść to natychmiast.

Kapral odłożył spokojnie pocisk, poczem śpiesznie, zbliżywszy się do pułkownika, podniósł rękę ku czapce i salutując, rzekł:

— Proszę wybaczyć, panie pułkowniku, chciałem zobaczyć na podziałce jak daleko jest nieprzyjaciel. 5 kilometrów 250 metrów. Wiadomość ta może nie będzie bez znaczenia.

Pułkownik, zmieszany jego spokojem, zawołał:

— Do diabła! — a gdyby on był wybuchł?

— Ano, panie pułkowniku, kto nie ryzykuje...

— Istotnie... niemniej jednak, to trochę zuchwałe.

Jak się nazywasz?

— Delroze Paweł, kapral z trzeciej kompanji.

— A więc, kapralu Delroze, winszuję ci twej odwagi i sądzę, że nie będziesz zbyt długo czekał na stopień sierżanta. Tymczasem zaś, przyjm dobrą radę: nie powtarzaj podobnych eksperymentów...

Słowa jego przerwał raptowny wybuch szrapnela, tuż w pobliżu. Jeden z łączników padł, uderzony w pierś, obok zaś ślaniał się oficer, obryzganym masą ziemi.

— Ha, trudno, niema rady — rzekł pułkownik — trzeba przetrzymać tą burzę. Niech każdy ukryje się, jak może najlepiej i miejmy cierpliwość.

Paweł Delroze wystąpił znowu naprzód.

— Panie pułkowniku, proszę mi wybaczyć, że mieszam się do tego, co do mnie nie należy, lecz sądzę, że możnaby przecież uniknąć...

— Uniknąć pocisków? Zapewne wystarczyłoby raz jeszcze zmienić pozycję. Ale ponieważ natychmiast odkrywają nas znowu... Zatem, niema o czem mówić. Idź na swoje stanowisko, mój chłopcze.

Paweł nalegał:

— Może jednak, panie pułkowniku, chodzi tu nietyle o zmianę naszej pozycji, ile o zmianę kierunku strzałów wroga.

— Och! och! — odparł nieco ironicznie pułkownik — na którym jednak zimna krew Pawła robiła pewne wrażenie, czyżbyś ty miał na to jakiś sposób?

— Tak, pułkowniku.

— Wytłumacz się jaśniej.

— Proszę o dwadzieścia minut, a po upływie tego czasu, granaty wroga zmieniają kierunek.

Pułkownik nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Doskonale! I prawdopodobnie każesz im padać tam, gdzie sam zechcesz?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Na pole buraków, które znajduje się tam, o sto pięćdziesiąt metrów na prawo?

— Tak jest, panie pułkowniku.

Zaczął teraz żartować z kolei kapitan artylerji, który przysłuchiwał się całej rozmowie:

— Mój panie kapralu, ponieważ udzieliłeś mi już wskazówki co do przestrzeni, jaka dzieli nas od wroga, czy nie chciałbyś nadto określić mi dokładnie kierunku, w którym znajduje się nieprzyjaciel, abym mógł ściśle wycełować moje strzały i zniszczyć niemiecką baterję?

— To potrwa nieco dłużej i będzie o wiele trudniejsze, panie kapitanie, odpowiedział Paweł. Jednakże spróbuję. Punktualnie o godzinie jedenastej zechce pan kapitan obserwować bacznie horyzont, od strony granicy. Dam sygnał.

— Jaki?

— Sam nie wiem jeszcze. Prawdopodobnie trzy race...

— Twój sygnał, jednak, będzie miał wówczas tylko wartość, kiedy ukaże się nad pozycją wroga...

— Bez wątpienia.

— A na to, trzeba ją znać...

— Będę ją znał.

— I udać się na to miejsce...

— Tak jest, panie pułkowniku.

Paweł zasałutował, obrócił się na pięcie i, zanim oficerowie zdążyli przyklasnąć jego zamiarom, lub też podnieść przeciwko nim zarzuty, on ześlizgiwał się już z pochyłości, a biegnąc szybko zapuszczał się na lewo, w rodzaj wąwozu, którego brzegi najeżone były ciernistemi krzewami.

Zniknął z oczu.

— Śmieszny okaz — szepnął pułkownik. Co on zamierza właściwie?

Podobała mu się szybkość decyzji i niezwykła odwaga żołnierza, a chociaż nie miał zbyt wielkiej wiary w wynik jego przedsięwzięcia, mimowoli spozierał co chwile na zegarek, skryty wraz z swymi oficerami poza stogiem

siana. Straszne minuty, w których dowódca korpusu ani przez chwilę nie myśli o grożącym jemu samemu niebezpieczeństwie, lecz widzi tylko niebezpieczeństwo tych wszystkich, których powierzono jego pieczy, których uważa za własne swoje dzieci.

Patrzył na nich; bądź leżeli na ściernisku, głowy mając przykryte workami, bądź skupiali się w lasku, bądź też kulili się w jamach ziemi. Nad nimi szalał huragan żelaza. Spadało to śpiesznie, jak grad rześisty, który pragnie w najszybszem tempie dokonać swego dzieła zniszczenia. Podskoki ludzi, którzy zakręciwszy się w kółko, padają nieruchomi, jęki rannych, krzyki nawołujących się żołnierzy, nawet żarty... A ponad wszystkim nieprzerwany grzmot eksplozji...

I potem, nagle, cisza, zupełna cisza, niezmierne uspokojenie w powietrzu i na ziemi, jakby niewymownie słodkie wyzwolenie.

Radość swą objawił pułkownik wybuchem śmiechu.

— Do licha! Ten kapral Delroze to tęgi człowiek. Gdyby tak jeszcze z kolei zaczęli to buraczone pole „obsiewać“, jak on obiecał...

Nie dokończył, kiedy wybuchła bomba o jakie tysiąc pięćset metrów na prawo, przed polem buraków. Druga padła zbyt daleko. Lecz trzecia wycelowwała trafnie w samo pole. I rozpoczął się nowy deszcz...

To wypełnienie zadania, jakie przyjął na siebie kapral Delroze, było zdumiewająco cudowne, matematycznie przytem dokładne; pułkownik i jego oficerowie uwierzyli odrazu, że naprawdę dosięgnie on swego celu i mimo niezwyczęzonych przeszkód, da umówiony znak.

Bez przerwy wpatrywali się w widnokrąg, przy pomocy lornetek, gdy tymczasem nieprzyjacieli ze zdwojoną zaciętością prażył pole buraków.

Pięć minut po jedenastej zabłysła czerwona rakietą.

Ukazała się o wiele bardziej na prawo, niż można było przypuszczać.

Za nią pojawiły się dwie dalsze.

Zaopatrzone w lunetę, kapitan artylerji odkrył na horyzoncie dzwonnice kościoła; wylaniała się ona nieznacznie z doliny, której spadek był prawie niewidoczny w pośród falistej linii płaszczyzny, a wieżyczka owej dzwonnicy wystawała tak niepozornie, iż można ją było wziąć za jakieś odosobnione drzewo. Według map, dało się łatwo stwierdzić, że była to wieś Brumoy.

Kapitan, znając teraz dokładnie oddalenie od baterij niemieckich, zatelefonował do swego porucznika.

W pół godziny później, zamilkły działa niemieckie, a ponieważ ukazała się czwarta z rzędu raca, 75-ta ostrzeliwała nadal kościół, jakoteż wioskę i najbliższe jej otoczenie.

Około południa, oddział cyklistów, poprzedzających dywizję, dotarł do pułku z rozkazem, by iść naprzód za wszelką cenę.

I w istocie pułk, posuwając się naprzód, zbliżył się do wioski Brumoy. Nieprzyjaciel ściągał swe tylne straż.

Wieś przedstawiała zupełną ruinę, kilka domów stało jeszcze w płomieniach; w nieopisanym nieładzie i chaosie trupy leżały razem z rannymi, przy nich zaś ubite konie, zniszczone działa, porozrzucane skrzynki z amunicją, szczątki furgonów. Brygada nieprzyjacielska, oczyściwszy rzekomo teren, wyruszyła w drogę. Zaskoczono ją w tej właśnie chwili.

Nagle odezwało się jakieś wołanie ze szczytu kościoła, którego nawa i fasada rozsypywały się w gruzy. Trzymała się jedynie wieża dzwonnicy, podziurawiona na wylot pociskami i osmalona pożarem kilku drewnianych słupów; dzięki jakiemuś cudowi równowagi, na wierzchołku wznosiła się jeszcze smukła kamienna wieżyczka. Przechylając się do połowy przez szczyt wieży, wieśniak jakiś wymachiwał gwałtownie rękami, krzycząc głośno dla zwrócenia uwagi.

Oficerowie poznali w nim Pawła Delroze.

Przesuwając się ostrożnie pomiędzy gruzem, weszli na schody, wiodące na ganek wieży. Tu, stłoczone przy framudze leżały trupy ośmiu Niemców, a drzwi wyrwane, powalone wpoprzek, zagradzały przejście tak całkowicie, iż trzeba je było rozbić siekierą, aby uwolnić Pawła.

Przed wieczorem, kiedy przekonano się, że pościg za nieprzyjacielem uniemożliwiają zbyt wielkie przeszkody, pułkownik zarządził zbiórkę swego pułku na rynku i w obecności wszystkich uściśnął kaprała Delroze.

— Naprzód nagroda — rzekł. Zażądałem dla ciebie wojskowego odznaczenia, a żądanie me poparłem takim argumentem, że otrzymasz je niezawodnie. A teraz, mój mały, wytłumacz nam całą sprawę.

Otoczony kołem oficerów i żołnierzy, Paweł odpowiedział na pytanie.

— Mój Boże, to takie proste, panie pułkowniku. Byliśmy szpiegowani.

— Najwidoczniej, lecz kto był owym szpiegiem i gdzie się znajdował?

— Przypadek naprowadził mnie na ślady. Obok pozycji, którą zajmowaliśmy dziś rano, znajdowała się na lewo od nas, wioska z kościołem, — wszak prawda?

— Tak, odrazu jednak po przybyciu na to miejsce, opróżniłem wieś i w kościele nie było nikogo.

— Jeżeli w istocie nie było nikogo w kościele, dlaczego kogut, znajdujący się na szczycie wieży, wskazywał wiatr wschodni, kiedy tymczasem było wprost przeciwnie, wiał właśnie wiatr zachodni? I dlaczego, w chwili, w której my zmienialiśmy pozycję, kogut ów zwracał się odrazu w naszym kierunku?

— Czyś tego pewny?

— Tak, panie pułkowniku. I dlatego, otrzymawszy pozwolenie, nie wahałem się ani przez chwilę, lecz odrazu prześliznąwszy się do kościoła, wtargnąłem do dzwonnicy, rzecz prosta, jak najbardziej pokrywomu. Nie omyliłem się. Był tam człowiek, który, po oporze, musiał poddać się mej władzy.

— A! nędznik! Francuz?

— Nie, panie pułkowniku, Niemiec, przebrany za chłopca.

— Będzie rozstrzelany.

— Nie, pułkowniku, obiecałem darować mu życie.

— Niemożliwe.

— Tak jest, przecież trzeba było dowiedzieć się, w jaki sposób informował wroga.

— A zatem?

— O! Bardzo prosto. Tarcza zegara wieżowego, umieszczonego na północnej stronie kościoła, dla nas była niewidoczna. Człowiek ów, od wewnątrz, przesuwiał wskazówki zegara w ten sposób, iż dłuższa, kładąc się naprzemian na trzech czy czterech liczbach, zdradzała dokładnie naszą odległość od kościoła. Ja uczyniłem więc to samo, a nieprzyjaciół stosując natychmiast swe strzały do moich wskazówek, „podlewał” skwapliwie i wytrwale pole buraków.

— Istotnie — rzekł ze śmiechem pułkownik.

— Nie pozostawało mi już nic więcej, jak udać się na drugie stanowisko obserwacyjne, z którego nieprzyjaciół odbierał sygnały szpiega, pragnąłem bowiem dowiedzieć się — szpieg nie znał owego podstawowego szczegółu — gdzie kryły się niemieckie baterje. Przybiegłem

więc aż tutaj, a dopiero stanąwszy na miejscu, stwierdziłem u stóp kościoła, służącego za obserwatorium, obecność tych baterji i całej wogóle brygady niemieckiej.

— Lecz to prawdziwe szaleństwo! Czyż oni nie strzelali do ciebie?

— Włożyłem ubranie szpiega, ich szpiega, panie pułkowniku. Mówię po niemiecku, wiedziałem jakie jest hasło, a z pośród nich wszystkich jeden tylko oficer obserwacyjny znał szpiega. Kiedy powiedziałem generałowi, dowodzącemu brygadą, iż Francuzi zdemaskowali mnie i że zdołałem im umknąć, nic nie podejrzewając, odesłał mnie do owego oficera.

— I miałeś odwagę?

— Trzeba było, panie pułkowniku, a pozatem miałem wszystkie atuty w ręku. Oficer ów nie spodziewał się żadnej zasadzki i kiedy dotarłem do ganku na wieży, z której on udzielał swych wskazówek, opanowałem go bez żadnych trudności i zmusiłem do milczenia. Zadanie moje było skończone, pozostawało mi jeszcze tylko dać wam znak umówiony.

— Tylko tyle! i to z pośród sześciu czy siedmiu tysięcy ludzi!

— Wszak obiecałem, a była już jedenasta godzina. Na ganku znalazłem wszystkie przyrządy, potrzebne do wysyłania sygnałów, tak w dzień jak w nocy. Jakżeż nie skorzystać z tego? Zapaliłem jedną racę, potem drugą, trzecią, wreszcie czwartą i zaczęła się walka.

— Tak, ale te race ściągały równocześnie nasze strzały na dzwonnice, na której ty sam znajdowałeś się w owej chwili! Strzelaliśmy przeto do ciebie!

— Ach! przysięgam ci panie pułkowniku, że takie myśli nie przychodzą w podobnych chwilach do głowy. Z radością niemal powitałem pierwszy pocisk, który padł na kościół. A zresztą, wróg nie dawał mi czasu na rozmyślanie. Sześciu śmiałków wdarło się natychmiast na wieżę. Utraciłem paru moim rewolwerem, lecz w ślad za pierwszym atakiem nastąpił zaraz drugi, a później dalsze. Musiałem schronić się poza drzwi, zamykając samą wieżyczkę. Kiedy zaś zwalili je na ziemię, drzwi te służyły mi jako barykada, a ponieważ rozporządzałem bronią i amunicją, zabraną pierwszym moim napastnikom i byłem prawie niewidzialny i niedostępny dla wroga, łatwo przyszło mi wytrzymać to oblężenie.

— A nasza 75-ta prażyła cię bezustannym ogniem.

— Przeciwnie, panie pułkowniku, wyzwalała mnie; wyobrazi sobie pan łatwo, że z chwilą, gdy kościół został zrujnowany, a część jego drewniana stanęła w ogniu, nieprzyjacieli nie śmiał już wdzierać się do wieży. Musiałem więc tylko czekać cierpliwie aż do waszego przyjścia.

Paweł Delroze opowiadał to wszystko z największą prostotą, tak jakby chodziło o rzeczy najzupełniej naturalne. Pułkownik, udzieliwszy mu raz jeszcze publicznej pochwały, zapewnił go, iż otrzyma stopień sierżanta i spytał:

— Czy nie masz żadnej prośby?

— Owszem, panie pułkowniku, chciałbym przesłuchać jeszcze niemieckiego szpiega, którego tam zostawiłem i przy tej sposobności odebrać mój schowany mundur.

— Dobrze, mój chłopcze, zjesz z nami obiad, a potem dadzą ci rower do użytku.

O godzinie siódmej Paweł powrócił więc do kościoła. Czekalo go tam duże rozczarowanie. Oto szpieg, zerwawszy krępujące go więzy, zbiegł bez śladu.

Wszystkie poszukiwania Pawła w kościele i w wsi okazały się daremne. Jednakże na jednym z stopni schodów, tuż obok miejsca, gdzie rzucił się na szpiega, znalazł Delroze sztylet, którym przeciwnik usiłował go przebić.

Był on zupełnie taki sam, jak sztylet porzucony przed trzema tygodniami koło małej furtki, wiodącej do lasów w Ornequin. To samo trójkątne ostrze. Ta sama rączka z brązowego rogu, a na tej rączce litery: H. E. R. M.

A więc szpieg i kobieta, tak dziwnie podobna do Herminy d'Audeville, zabójczyni jego ojca, posługiwali się oboje taką samą bronią.

Nazajutrz dywizja, w skład której wchodził pułk Pawła, prowadząc dalej swą ofensywę, pobiwszy wroga, wkroczyła do Belgji. Wieczorem jednak, generał otrzymał rozkaz cofnięcia się.

Zaczął się odwrót. Bolesny dla wszystkich, może zaś szczególnie dla tych, którzy mieli już za sobą trjumfy zwycięstwa. Paweł i towarzysze jego z trzeciej kompanji wpadli w wściekłość. W czasie tych kilku godzin spędzonych w Belgji, widzieli ruiny miasteczka zniszczonego przez Niemców, trupy ośmdziesięciu rozstrzelanych kobiet, starców powieszonych za nogi, masy poduszonych dzieci. A teraz trzeba było cofać się przed tymi barbarzyńcami!

Na twarzach żołnierzy belgijskich, którzy przyłączyli się do pułku, wyryty był jeszcze przestach, wywołany widokiem piekielnych męczarni; opowiadali oni rzeczy, których nie mogła pojąć najbujniejsza nawet wyobraźnia. I teraz trzeba było się cofać! Ustępować z nienawiścią w sercu i z zapamiętałem pragnieniem zemsty.

I jaki powód tego odwrotu? Nie była to przecież porażka, ustępowano bowiem w zupełnym porządku, przyczem wojsko zatrzymywało się niejednokrotnie, bądź też w gwałtownym nawrocie rzucało się na zmieszanego wroga. Liczebność jednak nieprzyjaciela łamała wszelki opór. Wzmagala się fala barbarzyńców. W miejsce tysiąca martwych jawiło się dwa tysiące żywych. A więc cofano się.

Pewnego wieczoru, z dziennika datowanego jeszcze przed tygodniem, dowiedział się Paweł o jednej z przyczyn owego odwrotu; bolesna była dlań ta wiadomość. Oto 20. sierpnia Corvigny zostało wzięte szturmem po kilku godzinach bombardowania, dokonywanego przez wroga wśród najbardziej niewytłumaczalnych okoliczności; Corvigny wzięte w chwili, gdy spodziewano się ogólnie, że warownia ta przetrzyma przynajmniej kilkudniową obronę, która dodałaby siły naszym operacjom na lewej flance niemieckiej.

Zatem Corvigny padło, a zamek w Ornequin, opuszczony bez wątpienia przez Hieronima i Rozalję (jak tego sam Paweł pragnął), był obecnie zniszczony, zrabowany, z tem wyszukanem okrucieństwem, jakie barbarzyńcy stosowali we wszystkich swych dziełach zniszczenia. I od tej także strony waliły się wściekle hordy wroga.

Ponure dni z końca sierpnia, najtragiczniejsze może z wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżyła Francja. Paryż zagrożony. Dwanaście departamentów zajętych. Powiew śmierci unosił się nad bohaterskim narodem.

Jednego z owych ciężkich dni, usłyszał Paweł rozradowane wołanie, dochodzące go z grona młodych żołnierzy.

— Paweł! Paweł! Nareszcie spełniły się moje życzenia! Co za szczęście!

Młodzi ci żołnierze, byli to ochotnicy, przydzieleni do pułku, a wśród nich poznał Paweł odrazu brata Elżbiety, Bernarda d'Audeville.

Nie było czasu zastanawiać się nad tem, jakie stanowisko zająć wobec brata żony. W pierwszej chwili, odruchowo, chciał się odwrócić, lecz Bernard chwycił obie jego dłonie i ścisnął je z nieklamana serdecznością i uczu-

ciem; był w tem wyraźny dowód, że młody chłopak nie wiedział nic jeszcze o tem, co zaszło między jego siostrą a Pawłem.

— Ależ tak, Pawle, to ja, oświadczył wesoło. Mogę ci mówić „ty“, wszak prawda? Tak, to ja, trudno ci w to uwierzyć, co? Myślisz może, że to jakieś opatrnościowe spotkanie, przypadek, dziwne zrządzenie losu? Dwaj szwagrowie w tym samym pułku!... Ale nie, stało się tak na skutek wyraźnej mojej prośby. Oto co powiedziałem mniej więcej odnośnym władzom: „Zaciągam się do wojska, widzę w tem bowiem i obowiązek mój i przyjemność. Lecz, ponieważ jestem wypróbowanym atletą, laureatem wszystkich towarzystw gimnastycznych, mam przygotowanie wojskowe, chcę, aby wysłano mnie wprost na front i to do pułku mego szwagra, kaprała Pawła Delroze“. A że potrzebne im były moje usługi, wysłano mnie więc tutaj... No cóż? Nie wyglądasz zbytnio uradowany?

Paweł obojętnie słuchał tych słów. Mówił sobie: „Oto syn Hérminy d'Audeville. Przemawia do mnie syn kobiety, która zabiła... Lecz twarz Bernarda miała wyraz takiej szczerości i takiej niewinnej wesołości, że Paweł wyjął wreszcie z przymusem:

— Ale tak, tak... Tylko ty jesteś tak młody!

— Ja? Stary jestem. Siedmnaście lat skończyłem właśnie w dniu zaciągnięcia się do wojska.

— A twój ojciec?

— Ojciec dał mi swe pozwolenie. Bez tego, zresztą, ja nie byłbym mu udzielił swojego.

— Jakto?

— No tak, on również zaciągnął się do wojska.

— W tym wieku?

— Przecież on jest zupełnie młody. Pięćdziesiąt lat, cóż to znaczy? Przydzielono go jako tłumacza do generalnego sztabu angielskiego. Tak więc widzisz: cała rodzina pod bronią... Ach! zapomniałem, mam dla ciebie list od Elżbiety.

Paweł zadrżał. Do tej pory ani słowem nie zapytał szwagra o żonę. Odbierając z rąk jego list, wyszeptał:

— Czy to ona ci oddała?...

— Ależ nie, przysłała mi to z Ornequin.

— Z Ornequin? Niemożliwe! Elżbieta wyjechała stamtąd w sam dzień mobilizacji do ciotki swej w Chaumont.

— Mylisz się. Byłem u ciotki z pożegnaniem; od wybuchu wojny nie miała żadnej wiadomości od Elżbiety.

Zresztą popatrz na kopertę: „Paweł Delroze, z listami p. d'Audeville, Paryż“... Pieczęć pocztowa z Ornequin i z Corvigny.

Oglądając kopertę, Paweł wyszeptał głucho:

— Tak, masz rację i data jest widoczna na marce: „18. sierpień“. — Ośmnasty sierpień... A Corvigny wpadło w ręce Niemców 20. sierpnia. Zatem Elżbieta była tam jeszcze w tej chwili.

— Ale nie, nie, zawołał Bernard, Elżbieta nie jest przecież dzieckiem. Rozumiesz chyba, że nie czekała na tych pludraków, o dziesięć kroków zaledwie od granicy! Przy pierwszym zaraz wystrzałe musiała opuścić zamek. I zapewne o tem właśnie donosi ci w swoim liście. Przeczytajże go wreszcie. Pawle.

Delroze wiedział już zgóry, co przyniosą mu słowa jego żony, z drżeniem też rozdarł kopertę.

Elżbieta pisała:

„Pawle,

„Nie mogę zdecydować się na wyjazd z Ornequin. Zatrzymuje mnie tu obowiązek, przed którym nie ugnę się nigdy, obowiązek oczyszczenia pamięci mojej matki. Zrozum mnie dobrze, Pawle: matka moja jest dla mnie zawsze najświętszą istotą. Nawet cień podejrzenia nie może paść na tą, która tuliła mnie niegdyś w swych ramionach, dla której mój ojciec dotąd żywi najgłębsze uczucie miłości. Lecz ty ją oskarżasz, ty właśnie i przeciwko tobie muszę jej bronić.

„Mnie niepotrzebne są dowody jej niewinności, lecz znajdę je, aby ciebie zmusić do uwierzenia, iż matka moja jest bez winy. A ponieważ mam wrażenie, że dowody te tylko tu będę mogła znaleźć, zatem tu muszę pozostać.

„Hieronim i Rozalja również zostają w Ornequin, chociaż mamy już zapowiedź, iż nieprzyjacieli się zbliża. To poczciwi ludzie, nie obawiaj się zatem niczego, nie będę bowiem sama.

„Elżbieta Delroze“.

Paweł złożył list. Był bardzo blady.

— Niema jej tam, prawda?

— Owszem, jest.

— Ależ to szaleństwo! Mój Boże! Ona tam, z tymi potworami!... zamek zupełnie odcięty... Powiedz Pawle, powiedz, przecież ona zdaje sobie chyba sprawę z strasz-

nych niebezpieczeństw, które jej grożą! Co ją tam zatrzymuje? Ach! to okropne!

Paweł stał milczący, z zmienioną twarzą, z zaciśniętymi kurczowo pięściami.

V.

Wieśniaczka z Corvigny.

Kiedy przed trzema tygodniami dowiedział się Paweł nagle o wypowiedzeniu wojny, zrodziło się w nim natychmiast nieodwołalne postanowienie, aby dać się zabić.

Świadomość złamanego życia, groza związku z kobietą, której w głębi duszy nie przestał kochać, bolesna pewność, zdobyta w zamku w Ornequin, wszystko to wstrząsnęło nim do tego stopnia, że na śmierć patrzył jako na jedyne dobrodziejstwo i wybawienie.

Wojna przedstawiała mu się jako nieunikniona śmierć. Z bezbrzeżną obojętnością przyjmował wszystko to, co było godne podziwu, wzruszające i podniosłe, wspaniałe i umacniające, wszystkie wielkie zdarzenia tych pierwszych tygodni, rozkaz mobilizacyjny, entuzjazm żołnierzy, imponującą jedność całej Francji, obudzenie się ducha narodowego. W najtajniejszej głębi swej duszy postanowił, iż będzie działał w ten sposób, by najmniej nawet prawdopodobny, wyjątkowo szczęśliwy traf nie mógł go ocalić.

I tak, pierwszego zaraz dnia, był już pewien, że znalazł wyczekiwaną sposobność. Miał podejrzenie, iż szpieg jakiś krył się w kościelnej dzwonnicy; schwytać tego szpiega, przedrzeć się następnie do nieprzyjacielskich szeregów, aby swoim dać znać o pozycji wroga, było to iść na śmierć niechybną. I poszedł nieulekniony. A ponieważ miał głębokie poczucie ważności swej misji, spełniał ją z całą roztropnością i odwagą. Umrzeć! — tak, lecz umrzeć po dokonaniu dzieła. Zarówno wypełnienie zadania, jak i szczęśliwy wynik przedsięwzięcia przyniosły mu szczególną a nieoczekiwaną radość.

Żywo poruszyło go odkrycie sztyletu, zostawionego przez szpiega. Jakiż związek mógł istnieć między tym szpiegiem a człowiekiem, który poprzednio usiłował go zabić? Jaki związek istniał między tymi dwoma ludźmi a zmarłą przed szesnastu laty hr. d'Audeville? I jakim sposobem, jakimi niewidzialnymi węzłami połączone były te

trzy istoty z tem samem dziełem zdrady i szpiegostwa, którego rozmaite przejawy schwytał Paweł kolejno?

Najgwałtowniejszy cios zadał mu jednak list Elżbiety. A więc tak, ona znajdowała się tam, wpośród kul i granatów, wpośród krwawych walk, szalu i wściekłości zwycięzców, wpośród ognia pożarów, strzelaniny, męczarni i okrucieństw! Była tam wydana na pastwę wroga, młoda i piękna, prawie zupełnie osamotniona, bez obrony! A znajdowała się tam dlatego, ponieważ on, Paweł, nie zdobył się na tyle energii, by po tem, co zaszło, zobaczyć się z żoną i wywieźć ją z sobą z Ornequin!

Myśli te wywołały u Pawła chwile wielkiego przygnębienia, gdy zaś to mijało, nagie, rzucał się z zdwojoną energją w wir nowych niebezpieczeństw i przeprowadzał wytrwale ze spokojną odwagą i zapamiętałym uporem swe szalone plany, które w towarzyszach jego wzbudzały prawdziwy podziw. A może bardziej niż śmierci samej szukał Paweł teraz owego niewypowiedzianego upojenia, jakiego człek doznaje, wyzywając śmierć do walki.

Nadszedł dzień 6. września, dzień niesłychanego cudu, kiedy to wielki wódz w pamiętnych słowach skierowanych do armji, dał wreszcie rozkaz rzucenia się na wroga. Kończył się zatem tak dzielnie przez wojska znoszony, lecz tak okrutny odwrót. Ludzie byli wyczerpani, niemal bez tchu; od szeregu dni walczyli jeden przeciwko dwom, nie mając czasu ani na spanie, ani na jedzenie, idąc naprzód jedynie kosztem olbrzymiego wysiłku, z którego sami nie zdawali sobie już nawet sprawy; nie wiedząc dlaczego właściwie nie kładą się w jakimś przydrożnym rowie, by wyczekać śmierci... I ludziom tym powiedziano nagle: „Baczność! Stój! W tył zwrot! Do ataku!”

I zwrócili się w miejscu. Te nieomal bezwładne jakby cienie ludzkie odnalazły nagle wszystką siłę. Każdy, od najnędzniejszego szeregowca do najświetniejszego wodza, wyteżył wolę i bił się tak, jakby od niego tylko zależało zbawienie Francji. Ilu żołnierzy, tylu było wzniosłych bohaterów. Żądano od nich zwycięstwa lub śmierci. Zwyciężyli.

Wśród najdzielniejszych w pierwszym rzędzie zabłysnął Paweł. Wszystko to, co przetrwał, na co się ważył i czego dokonał, sam czuł to dobrze, przechodziło granice prawdopodobieństwa. 6-go, 7-go, 8-go września, potem od 11-go do 13-go, mimo szalonego zmęczenia, mimo głodu i bezsenności, miał jedno tylko uczucie: iść naprzód, ciągle naprzód, zawsze naprzód. Czy o zmroku nocy, czy w peł-

nym blasku słońca, nad brzegi Marny, czy w wąwozy Argony, ku północy, czy ku zachodowi, wszędzie gdzie posłano jego dywizję dla wzmocnienia wojsk granicznych, on, czołgając się na brzuchu po strąconej ziemi, czy biegnąc do walki na bagnety, wszędzie szedł naprzód, a każdy jego krok był zwycięstwem, był zdobyczą.

Każdy też krok podsycił w nim nienawiść. Och! jakąż słuszość miał jego ojciec w swej nienawiści do tych ludzi! Paweł patrzył dzisiaj na ich dzieło. Wszędzie bezcelowe zniszczenie, niczem nieusprawiedliwiona ruina. Wszędzie ogień, rabunek i śmierć. Rozstrzeliwani zakładnicy, niewinne kobiety mordowane dla rozrywki. Kościoły, pałace, domy bogaczy i siedziby biedaków zniknęły bez śladu. Niszczono nawet gruz, pastwiono się nad trupami.

Co za szalona radość bić takiego wroga! Pułk Pawła, chociaż przerzedzony do połowy, niczem sfora zjadłych psów, osaczał bez wytchnienia dzikiego zwierza. Zwierz ten w miarę zbliżania się do granicy, zdawał się bardziej rozżarty i groźny, następowano nań więc coraz uparciej w szalonej nadziei zadania mu śmiertelnego ciosu.

Aż pewnego dnia, na słupie przy rozstajnych drogach przeczytał Paweł słowa:

Corvigny, 14 klm.

Ornequin, 31 klm. 400.

Granica 38 klm. 300.

Corvigny! Ornequin! Z jakimże wzruszeniem wyczytał niespodzianie te wyrazy! Zwyczajnie tak był pochłonięty walką i rozmaitemi troskami, że mało zwracał uwagi na nazwy miejscowości, przez które przechodzili, chyba, że przypadek sam nasuwał mu je przed oczy. A teraz oto, nagle, znalazł się w pobliżu zamku Ornequin! Corvigny, 14 kilometrów... Czyżby do Corvigny kierowały się oddziały francuskie, do tej małej fortecy, którą Niemcy zdobyli szturmem i zajęli wśród tak dziwnych okoliczności?

Dnia tego bój toczył się od samego świtu; opór nieprzyjaciela zdawał się słabnąć. Paweł na czele drobnego oddziału wysłany został przez kapitana do wioski Bléville, z rozkazem zajęcia tejże na wypadek, gdyby nieprzyjaciel z niej ustąpił, nie posuwania się jednakże dalej. I właśnie poza ostatnimi domkami tej wioski spostrzegł Paweł drogową.

Samolot niemiecki przeleciał ponad wsią. Można było spodziewać się zasadzki. Paweł był niespokojny.

Powróćmy do wsi, rzekł. Musimy się tam narazie okopać.

Z poza lesistego pagórka, przecinającego drogę od strony Corvigny, doleciał nagle dziwny szmer; stawał się on coraz wyraźniejszy; po chwili, Paweł rozpoznał w nim głośny turkot auta, prawdopodobnie pancernego.

— Do rowów! krzyknął na swych ludzi. Ukryć się za stogami. Bagnet na broń. I nie ruszać się!

Zrozumiał niebezpieczeństwo; auto, mknąc przez wioskę, wpadłszy w sam środek oddziału, mogło wzniecić popłoch.

Szybko wdrapał się na rozwidlony pień starego dębu i usadowił się pomiędzy gałęziami, wznosząc się tym sposobem o jakich kilka metrów ponad drogą. W tej samej prawie chwili ukazało się auto. Było w istocie opancerzone, olbrzymie, potworne w swej żelaznej skorupie, zbudowane jednak wedle starego systemu, tak, że z poza płyt stalowych wyzierały kaski i głowy ludzkie.

Zbliżało się szybko, gotowe do skoku na wypadek alarmu. Wewnątrz zgięci, pochyleni żołnierze. Było ich sześciu. Z boków wyzierały dwie lufy karabinów maszynowych.

Delroze złożywszy się, skierował broń na prowadzącego auto tegoż Niemca, na którego czerwonej twarzy zdawały się widnieć plamy krwi... Strzelił. I zsuwając się z drzewa, zawołał do swych towarzyszy:

— Ognia, chłopcy!

Lecz zdobywanie szturmem auta okazało się już zgoła zbyt ciężkie. Niemiec bowiem, trafiony w pierś, miał jeszcze na tyle przytomności, że zatrzymał auto.

Żołnierze niemieccy widząc, że są otoczeni, podnieśli ręce.

— Kamerad! Kamerad!

I nagle jeden z nich zeskoczył z samochodu, a rzucając na ziemię broń, podbiegł do Pawła.

— Alzatzczyk, sierżancie! Alzatzczyk z Strassburga! Ach! sierżancie, tyle już dni czyhałem na tą chwilę!

I kiedy ludzie Pawła prowadzili jeńców do wsi, on pytał Alzatzczyka z gorączkowym pośpiechem:

— Skąd przybywa auto?

— Z Corvigny...

— Dużo tam ludzi?

— Bardzo mało. Tylina straż z dwustu pięćdziesięciu Badeńczyków zaledwie.

— A w fortach?

— To samo mniej więcej. Nie wzmocniono stanowisk i teraz są zaskoczeni. Czy będą próbowali utrzymać się, czy cofnąć ku granicy, nie wiem. Wahają się, dlatego wysłano nas na wywiad.

— Więc możemy iść?

— Tak, ale zaraz, gdyż inaczej dostaną znaczne posiłki, dwie dywizje.

— Kiedy?

— Jutro. Jutro około południa mają przejść granicę.

— Niedoczekanie ich! Niema czasu do stracenia, zawołał Paweł.

Kazawszy rozbroić i przeszukać jeńców, Paweł badał opancerzone auto, zastanawiając się nad tem, co wypada mu uczynić. W tej chwili właśnie jeden z jego ludzi, który pozostał w wsi, zbliżył się doń i oznajmił, że nadszedł oddział francuski. Prowadził go porucznik.

Oficera tego śpiesznie powiadomił Paweł o wszystkim. Wypadki wymagały natychmiastowego działania. Delroze okazał gotowość jechania na zwiady w zdobytym przed chwilą automobilu.

— Dobrze, rzekł oficer; ja zajmę wieś i zarządzę wszystko, aby uprzedzić jak najprędzej dywizję.

Auto pomknęło w kierunku Corvigny. Usadowiło się w niem ośmiu ludzi. Dwaj z pośród nich, przydzieleni do karabinów maszynowych, badali je pilnie. Jeniec alzacki jechał stojąc, tak, aby kask jego i mundur zewsząd były widoczne.

Wszystko to postanowiono i wykonano w przeciągu kilku minut, bez omawiania drobnych szczegółów wyprawy.

— No, dzięki Bogu! — zawołał Paweł, kiedy przejechali już kawał drogi. Chłopcy! gotowi jesteście przeprowadzić rzecz całą aż do końca?

— I dalej nawet, sierżancie, — ozwał się obok głos znany.

Był to Bernard d'Audeville, brat Elżbiety. Bernard należał do dziewiątej kompanji. Od chwili, gdy się spotkali, Paweł unikał wszelkiej z nim rozmowy. Wiedział jednak, że młody chłopak bił się doskonale.

— Ach! to ty Bernardzie.

— We własnej osobie, zawołał wesoło d'Audeville. Przybyłem tu z moim porucznikiem. A gdy ujrzałem, że wsiadasz do auta i bierzesz z sobą tych, którzy zgłaszają się na ochotnika, pojmiesz, jak ochotczo skorzystałem z tej sposobności!

I dorzucił tonem nieco zmieszanym :

— Sposóbności pysznej wyprawy pod twoimi rozkazami, a... także pomówienia z tobą, Pawle... gdyż dotąd nie miałem jakoś szczęścia... Zdawało mi się nawet, że jesteś wobec mnie taki jakiś dziwny, inny niż przypuszczałem...

— Ależ nie, nie — wybąkał Paweł... jednak tyle trosk...

— Z powodu Elżbiety, prawda ?

— Tak.

— Rozumiem. To wszystko nie tłumaczy przecież tego czegoś, co jest między nami... jakby naprężenia...

W tej chwili Alzatzczyk zawołał :

— Kryjmy się... Ułani !

Z poprzecznej dróżki, przy zakręcie lasu, wyłonił się patrol. Mijając go, krzyknął :

— Uciekajcie, towarzysze ! Galopem ! Francuzi tuż !

Paweł skorzystał z zamieszania, by nie dać żadnej odpowiedzi szwagrowi. Zdwoił szybkość biegu, auto mknęło z piorunującym hałasem, to w dół, to w górę, pędząc jak trąba powietrzna.

Coraz liczniej ukazywały się nieprzyjacielskie oddziały. Alzatzczyk rzucał im w biegu parę słów, lub też porozumiewawczym znakiem nakłaniał do bezzwłocznego cofnięcia się.

— Można zdechnąć ze śmiechu ! — zawołał rozweselony. Za nami szalona gonitwa.

I dorzucił :

— Upprzedzam, sierżancie, że jadąc dalej w tym tempie, wpadniemy w sam środek Corvigny. Czy taki wasz zamiar ?

— Nie, odparł Paweł, gdy zobaczymy miasto, zatrzymamy się.

— A jeżeli jesteśmy otoczeni ?

— Przez kogo ? Te bandy uciekinierów nie mogą nam chyba odciąć odwrotu.

Bernard d'Audeville rzekł po namyśle :

— Pawle, podejrzewam, że ty wogóle nie myślisz o powrocie.

— Istotnie. Boisz się ?

— Och ! co za szkaradne słowo !

Po chwili milczenia, Paweł zaczął mówić już mniej szorstko :

— Żałuję, że tu jesteś z nami, Bernardzie.

— Czyż niebezpieczeństwo większe jest dla mnie niż dla ciebie i innych?

— Nie.

— A zatem, bądź łaskaw nie troskać się o mnie.

Alzatzczyk, stojąc pochylony nad sierżantem, dawał wskazówki:

— Szczyt wieży, wychylający się naprzeciw nas z poza zasłony drzew, to Corvigny. Sądzę, że skręciwszy na wzgórze z lewej strony, moglibyśmy widzieć, co się dzieje w mieście.

— Zobaczymy to lepiej, dotarłszy do środka miasta, zauważył Paweł. Tylko, co prawda, narazimy się poważnie... Szczególnie ty, jako Alzatzczyk. Jesteś jeńcem, rozstrzelają cię. Może więc mam cię zrzucić przed Corvigny?

— Pan mnie nie zna, sierżancie!

Droga łączyła się z linią kolejową. Ukazały się domy przedmieścia. Pojawiło się też kilku żołnierzy.

— Tym ani słowa, rozkazywał Paweł, nie trzeba ich płoszyć, mogliby nam zająć na tyły w rozstrzygającej chwili.

Zobaczył dworzec silnie zapelniony. Wzdłuż ulicy, wiodącej do miasta, tam i zpowrotem przechadzali się żołnierze w kaskach.

— Naprzód! — zawołał Paweł. Jeżeli są zbiórki oddziałów, to napewno na rynku. Kulomioty gotowe? A karabiny? Pamiętaj o moim, Bernardzie. I na pierwszy znak ognia!

Auto wpadło gwałtownie w sam środek rynku. Tak, jak przewidywał Paweł, około stu ludzi było tu zgromadzonych przed bramą kościoła; przy nich bagnety ustawione w kozły. Kościół przedstawiał się jako jedno rumowisko, a prawie wszystkie domy w rynku zgruchotane były bombami.

Stojący na uboczu oficerowie, wydali radosne okrzyki, ujrawszy auto, które wysłali poprzecznie na zwiady i na powrót którego czekali widocznie, chcąc powziąć decyzję w sprawie obrony miasta. Liczba ich była wcale pokaźna; wysoka postać generała górowała nad wszystkimi. W pobliżu stały automobile.

Wybrukowana ulica łączyła się z rynkiem. W gwałtownym pedzie, jak szalony, wpadł automobil Pawła na zbitą gromadę oficerów, przewracając i młószcząc ludzi, poczem skręciwszy na ukos, zmiatając wszystkie bagnety, jak jakiś opętany, niezwyciężony potwór, siejąc śmierć

wkoło, wtargnął w sam środek oddziału. Popłoch, zamęt, potrącania, oszalała ucieczka, wycie, jęki bólu i przerażenia.

— Ognia ! — krzyknął Paweł, zatrzymując maszynę.

I z tego niezdobytego „blockhausu“, który jak z pod ziemi wyrósł nagle w samym środku rynku, rozpoczęła się straszna strzelanina, dobywał się złowrogi grzmot dwu karabinów maszynowych.

W przeciągu pięciu minut plac zasiany był trupami i rannymi. Bezwładni leżeli na ziemi generał i liczni oficerowie. Ci, którzy zostali przy życiu, ratowali się ucieczką.

— Zaprzestać ognia ! — rozkazał Paweł.

Skierował auto ku końcowi ulicy, wiodącej w stronę dworca. Zwabione odgłosem strzałów, nadbiegały oddziały stacyjne; rozprószyło je jednak kilka obrotów maszynowych karabinów.

Żywym krokiem, trzykrotnie przebiegł Paweł cały rynek dokoła ; ze wszystkich stron zmykał nieprzyjaciół przez drogi i ścieżki wiodące ku granicy. Ze wszystkich też stron mieszkańcy Corvigny wysuwali się z swych domów, dając wyraz szczerzej radości.

— Pozbierać i zaopatrzyć rannych, rozkazywał Paweł. Przywołać też dzwonnika kościelnego lub kogokolwiek, kto umie bić w dzwony. Natychmiast ! To pilne !

I rzekł do starego zakrystjana, który zgłosił się zaraz na wezwanie :

— Dzwonić na alarm, mój zuchu, dzwonić na alarm, z wszystkich sił ! A gdy się zmęczysz; niech cię kolega zastąpi ! Żywo ! Ani chwili zwłoki ! Dzwonić na alarm !

Był to znak umówiony z porucznikiem ; Paweł miał w ten sposób uwiadomić dywizję o udaniu się wyprawy i o konieczności marszu naprzód.

Była godzina druga. O piątej, brygada i sztab główny opanowały Corvigny, a nasza 75-ta rzuciła kilka granatów. O dziesiątej wieczór nadeszła reszta dywizji ; Niemcy wypędzeni z Grand-Jonas i z Petit-Jonas skoncentrowali się przed granicą. Postanowiono wypchnąć ich stamtąd o świcie.

— Pawle, rzekł Bernard do szwagra, spotkawszy się z nim po wieczornej zbiórce, chcę ci coś opowiedzieć, Pawle... coś bardzo podejrzanego... niepokoi mnie to... ciekaw jestem twego sądu. Przechadzałem się przed chwilą po jednej z małych uliczek w sąsiedztwie kościoła; zbliżyła się do mnie jakaś kobieta... nie dostrzegłem zrazu ani jej rysów, ani ubrania, było bowiem prawie zupełnie ciemno, z odgłosu jednak drewnianych sabotów, domyśliłem się,

że to wieśniaczka. Przemówiła do mnie, a sposób jej wyrażania się wydał mi się, jak na wieśniaczkę, nieco dziwny:

„— Przyjacielu, mógłbyś może udzielić mi pewnych wyjaśnień...

„A zauważywszy, że gotów jestem na jej usługi, mówiła dalej:

„— A więc posłuchaj. Mieszkam bliźutko stąd, w małej wiosce. Dowiedziawszy się o przybyciu waszych wojsk, przyszedłam tutaj, gdyż chciałabym zobaczyć żołnierza, który wchodzi w skład waszej armji. Nie znam jednak liczby jego pułku... Tyle zaszło zmian... jego listy nie przychodzą... on też prawdopodobnie nie dostał moich... Och! może ty znasz go przypadkiem!... Dobry chłopak, taki dzielny!

„Odpowiedziałem:

„— Przypadek może istotnie oddać pani usługę. Jakie nazwisko tego żołnierza?

„— Delroze, kapral Paweł Delroze“.

— Jakto?! Więc tu chodziło o mnie? — zawołał Paweł.

— Tak jest, o ciebie, Pawle, a zbieg okoliczności wydał mi się tak ciekawy, że podałem jej poprostu numer twego pułku i twojej kompanji, nie zdradzając naszego pokrewieństwa.

„— Ach! jak to dobrze! — rzekła kobieta i pułk ten jest w Corvigny?

„— Tak jest, od kilku godzin.

„— I pan zna może Pawła Delroze?

„— Z nazwiska tylko, odparłem.

„I nie umiałbym naprawdę wyjaśnić, dlaczego odpowiedziałem właśnie w ten sposób i dlaczego w dalszym ciągu tak prowadziłem rozmowę, że ona nie odgadła mego zdziwienia.

„— Został mianowany sierżantem i wymieniony był w rozkazie dziennym, tak mi przynajmniej mówiono. Czy chce pani, abym dowiedział się czegoś bliższego i zaprowadził panią?

„— Nie jeszcze, rzekła, nie jeszcze, toby zanadto mnie wzruszyło.

„Zanadto wzruszyło? Wydało mi się to coraz bardziej niejasne i podejrzanе. Jakto? Ta kobieta poszukuje cię tak gorliwie, a równocześnie opóźnia chwilę zobaczenia się z tobą?!

„Zapytałem:

„— On panią obchodzi tak żywo?

„— Tak, bardzo.

„— Czy należy może do rodziny?

„— To syn mój.

„— Syn pani!

„Aż do tej pory nie podejrzewała ani przez chwilę, że biorę ją na spytki. W tej chwili jednak moje osłupienie było tak wyraźne, że cofnęła się w cień, przyjmując jakby postawę obronną.

„Wsunąłem rękę do kieszeni i chwyciłem małą latarkę elektryczną, którą noszę zawsze przy sobie. Nacisnąłem sprężynę i zbliżając się ku niej, rzuciłem jej światło w samą twarz. Zmieszana moim ruchem, przez kilka sekund trwała nieruchomie, poczem chusteczkę, którą miała na głowie, nasunęła gwałtownie na twarz i niespodzianie uderzyła mnie w ramię z taką siłą, że wypuściłem z ręki latarkę. Bezpośrednio potem zaległa zupełna cisza. Gdzie się podziała tajemnicza kobieta? Gdzie była? Przede mną? Na prawo? Na lewo? Jakim sposobem nie słyszałem oddalających się kroków? Wkrótce wyjaśniła się ta zagadka; oto odnalazłszy i zaświeciwszy zpowrotem latarkę elektryczną, dostrzegłem jej dręwniane saboty, które zostawiła na ziemi, aby móc uciec niepostrzeżenie. Szukałem jej potem, lecz napróżno. Zniknęła bez śladu“.

Paweł słuchał opowiadania szwagra z namiętną uwagą. Po chwili zapytał:

— Widziałeś jej twarz?

— O! bardzo wyraźnie. Twarz pełna energii... brwi i oczy czarne... wyraz złośliwy... Jeżeli zaś chodzi ci o ubranie, to miała strój wieśniaczki, nieco może zbyt staranny i zdradzający przez to umyślne przebranie się.

— Ile lat mniej więcej?

— Czterdzieści.

— Czy poznałbyś ją?

— Bez wątpienia.

— Wspomniałeś przedtem o chusteczce. Jakiego była koloru?

— Czarna.

— Czy związana na węzeł?

— Nie, spięta broszką.

— Kameą?

— Tak, dużą kameą obwiedzioną złotem. Skąd wiesz o tem?

Paweł milczał przez chwilę, poczem wyszeptał:

— Pokażę ci jutro portret, zawieszony w jednym z pokoi zamku Ornequin; między portretem tym a kobietą, która cię zaczepiła, zachodzi, zdaje się, duże podo-

bieństwo... takie, jakie może zdarzyć się między dwiema siostrami... albo... albo...

Chwycił szwagra za ramię i mówił dalej gorączkowo :

— Słuchaj Bernardzie, tak w przeszłości jak i obecnie dzieją się wkoło nas rzeczy straszne... ciąży one na mojem życiu i życiu Elżbiety... a teń samem także i na twojem. Są to jakieś okropne mroki, z którymi walczę bezustannie, wśród których nieznani jacyś przeciwnicy przeprowadzają od lat dwudziestu swój plan zdradziecki, plan najzupełniej dla mnie niezrozumiały. U początku tej walki zginął mój ojciec, padłszy ofiarą morderstwa. A dzisiaj dybią na mnie. Związek mój z siostrą twoją zerwany i nic już nie potrafi zbliżyć nas do siebie, niemniej, jak nic nie wpłynie już na to, aby między tobą a mną zawiązała się przyjaźń szczerą i serdeczną, do której mamy właściwie prawo. Nie wypytuj mnie o nic, Bernardzie, nie chciej poznać narazie bliższych szczegółów. Przyjdzie może dzień, w którym dowiesz się, dlaczego dziś proszę cię o milczenie.

VI.

Co zobaczył Paweł w zamku Ornequin.

Paweł Delroze zbudził się o świcie na odgłos trąbki. I w pojedynku armatnim, który rozpoczął się na nowo, poznał odrazu krótki i suchy trzask 75-tej baterji francuskiej i ostre szczekanie 77-ej niemieckiej.

— Idziesz Pawle ? — zawołał Bernard. Kawa na dole.

Obaj szwagrowie zajmowali dwa pokoje na górze nad winiarnią. Zeszedłszy na dół, opowiedział Paweł w czasie śniadania szczegóły zajęcia Corvigny i Ornequin, które zebrał poprzedniego wieczoru.

— 19-go sierpnia, w środę, mieszkańcy Corvigny mieli jeszcze radosną nadzieję uniknięcia wszystkich okropności wojny. Walczono w Alzacji i pod Nancy. Walczono w Belgji, lecz zdawało się, że Niemcy ominą dolinę Lise-ron'u, wąską w istocie i nie przedstawiającą pozornie zbyt wielkiego znaczenia. W Corvigny brygada francuska żywo przygotowywała się do obrony. Betonowe okopy w Grand-Jonas i Petit-Jonas były już gotowe. Czekano.

— A Ornequin ? — zapytał Bernard.

— W Ornequin mieliśmy kompanję strzelców pieszych ; oficerowie jej zamieszkali zamek. Dniem i nocą

kompanja ta przy pomocy oddziału dragonów, patrolowała wzdłuż granicy.

Na wypadek alarmu miano natychmiast ostrzec forty i cofnąć się, stawiając równocześnie energiczny opór.

„Wieczór owej pamiętnej środy był najzupełniej spokojny. Dwunastu dragonów puściło się galopem poza granicę, aż do miejsca, skąd widać było małe miasteczko niemieckie, Ebrecourt. Ani po tej stronie, ani na linji kolejowej, wiodącej do Ebrecourt, nie było żadnego ruchu wojsk. Noc naogół spokojna. Żadnych strzałów. Stwierdzono, że o drugiej godzinie w nocy ani jeden żołnierz niemiecki nie przekroczył granicy. I oto z uderzeniem godziny drugiej rozległ się donośny wystrzał. A po nim cztery inne w bardzo małych odstępach czasu. Był to wybuch pięciu granatów 420-tej baterji, które zniszczyły odrazu trzy betonowe osłony Grand-Jonas i dwie Petit-Jonas“.

— Jakto? Przecież Corvigny leży o dwadzieścia cztery kilometry od granicy, a 420-ta nie niesie na taką odległość!

— A mimo to, sześć wielkich pocisków padło na Corvigny, wszystkie sześć na kościół i na rynek. I pociski te padły w dwadzieścia minut później po tamtych, a więc w chwili, w której można było przypuszczać, że wobec ogłoszonego alarmu załoga Corvigny zgromadziła się na rynku. Tak też było w istocie; możesz więc wyobrazić sobie tą straszną rzeź.

— Tak, lecz jeszcze raz powtarzam, granica jest o dwadzieścia cztery kilometry. Wobec takiej odległości, oddziały nasze miały chyba dość czasu, aby zebrać się i przygotować na atak, zapowiedziany przez owo ostrzelanie. W każdym razie miano przed sobą jakie trzy lub cztery godziny.

— Ani kwadransa. Nie ucichł jeszcze ogień artyleryjski, kiedy już zaczął się atak. Atak? Nie. Nasze oddziały stojące w Corvigny i te, które nadchodziły z obu fortów, zdziesiątkowane i w popłochu, zostały otoczone przez wroga, wyrżnięte lub też zmuszone do poddania się, zanim nawet mogły pomyśleć o stawieniu choćby najlżejszego oporu. Stało się to nagle, niespodzianie, pod oślepiającem światłem reflektorów, ustawionych niewiedomo gdzie i niewiedomo jak. Wszystko to było dziełem jednej chwili. Możliwy powiedzieć, że w przeciągu dziesięciu minut Corvigny zostało otoczone, napadnięte, zdobyte i zajęte przez nieprzyjaciela.

— Lecz skąd on przybywał? Skąd nadchodził?

— Niewiadomo.

— A nocne patrole graniczne? A warty? A kompanja umieszczona w zamku Ornequin?

— Nic. Żadnej wiadomości. O tych trzystu ludziach, którzy mieli czuwać i uprzedzić forty, nie słyszano dotąd ani słowa, powtarzam: ani słowa. Zaginął wszelki ślad po nich. Można by sprawdzić ilość załogi Corvigny bądź to z żołnierzy, którzy uciekli, bądź z trupów, które po stwierdzeniu tożsamości zostały przez mieszkańców pogrzebane. Lecz trzysta strzelców z Ornequin zniknęło bez cienia choćby śladu. Ni uciekinierów, ni rannych, ni zabitych. Nic.

— To nie do pojęcia! Czy rozpytywałeś się?

— Przesłuchałem dziesięć osób wczoraj wieczorem, dziesięć osób, które nie będąc zresztą krępowane przez tych kilku żołnierzy z obrony krajowej, pełniących straż w Corvigny, od miesiąca już prowadzą drobiazgowo badania całej tej tajemniczej sprawy i dotąd nie wpadły jeszcze choćby na ślad prawdopodobnego jakiegoś przypuszczenia. Jedno jest tylko pewne: wszystko było przygotowane oddawna i to w najdrobniejszych szczegółach. Forty, okopy, kościół, rynek były najdokładniej wysłedzone, działa oblężnicze przygotowano zgóry i ustawiono je w ten sposób, aby jednaście pocisków mogło niechybnie dosięgnąć owych jedenastu obiektów, w które postanowiono trafić. Oto wszystko. Reszta osłonięta tajemnicą.

— A zamek w Ornequin? A Elżbieta?

Paweł podniósł się. Trąbki grały na ranną zbiórkę. Zdwoiła się siła strzelaniny. Obaj mężczyźni skierowali się w stronę rynku; Paweł ciągnął dalej:

— Pod tym względem tajemnica jest również zdumiewająca, może nawet bardziej jeszcze. Jedną z dróg poprzecznych, przecinających płaszczyznę między Corvigny a Ornequin, oznaczył nieprzyjaciół jako linię graniczną, której nikt tu nie miał prawa przekroczyć pod karą śmierci.

— Cóż więc stało się z Elżbietą?... — pytał Bernard.

— Nie wiem, nic nie wiem. Straszny jest ten cień śmierci, unoszący się nad wszystkimi zdarzeniami, nad wszystkim. Podobno — nie potrafiłem dotąd sprawdzić skąd pochodzi ta pogłoska — wioska Ornequin, położona obok zamku, już nie istnieje. Została całkowicie zniszczona, zrównana z ziemią, czterystu zaś jej mieszkańców uprowadzono w niewolę. Lecz co...

Paweł zniżył głos i rzekł ze drżeniem:

— Co działo się w zamku? Sam zamek nie przestał istnieć. Zdaleka widać jego mury i wieżyczki. Lecz co

działo się w jego murach? Co stało się z Elżbietą? Niedługo już miną cztery tygodnie, odkąd ona żyje wpośród tych bestji, sama, narażona na wszelkie zniewagi. Niezsześna!...

Świtało zaledwie, gdy przybyli na zamek. Paweł został wezwany do pułkownika, który wyraził mu najgorętsze uznanie w imieniu generała, dowodzącego dywizją i oznajmił mu, że jest podany do odznaczenia i stopnia podporucznika i że od tej chwili ma objąć odrazu dowództwo swego oddziału.

— Oto wszystko, dorzucił śmiejąc się pułkownik. Chyba, że masz jeszcze jakieś życzenie?

— Nawet dwa, panie pułkowniku.

— Jakież?

— Przedewszystkiem, aby szwagier mój tu obecny, Bernard d'Audeville, został odtąd przydzielony do mego oddziału jako kapral. Zasłużył na to.

— Załatwione. A dalej?

— Aby natychmiast skoro wyślą nas ku granicy, skierowano oddział mój do zamku Ornequin, który leży na tej samej drodze.

— To znaczy, aby powierzono mu atak na zamek?

— Jakto? Atak? — rzekł Paweł z niepokojem. Przecież nieprzyjaciół rozmieścił się wzdłuż granicy, sześć kilometrów poza zamkiem...

— Tak myślano wczoraj. W rzeczywistości jednak usadowił się w samym zamku Ornequin i rozpaczliwie trzyma się tej świetnej placówki obronnej, oczekując posiłków. Najlepszym dowodem, że wciąż się stamtąd odzywa. Oto patrz: ten granat wybuchający tam, na prawo... i ten szrapnel tuż obok... dwa... trzy... szrapnele. Oni to wymyszkowali baterje, które ustawiliśmy na sąsiednich wzgórzach i zasypują je teraz sumiennie. Muszą mieć z dwadzieścia dział.

— Lecz w takim razie, wyjąkał Paweł, przeszyty potworną myślą, w takim razie strzały naszych baterij mierzą....

— Mierzą do nich, rzecz prosta. Już od godziny przynajmniej nasza 75-ta ostrzeliwuje zamek w Ornequin.

Paweł krzyknął.

— Co mówisz, panie pułkowniku? Zamek w Ornequin bombardowany?...

A za nim Bernard d'Audeville powtórzył z trwogą:

— Bombardowany? Czy to możliwe?

Żdziwiony pułkownik zapytał :

— Znasz ten zamek ? Należy może do ciebie ? Czy tak ? Są w nim może jeszcze twoi krewni ?

— Żona moja, panie pułkowniku.

Paweł był bardzo blady. Mimo, że usiłował opanować swe wzruszenie i starał się zachować zimną równowagę, ręce jego drżały, usta zaciskały się nerwowo.

Na wzgórzu Grand-Jonas zaczęły grać trzy działa ciężkiej artylerji, a odgłos ich, dołączając się do upartej strzelaniny 75-tej, nabierał po ostatnich słowach Pawła jakiegoś podwójnie okrutnego znaczenia. Milczący stał pułkownik i oficerowie, którzy byli świadkami całej rozmowy. Była to jedna z tych sytuacji, w których nieuniknione okropności wojny rozpętują się w całej swej tragicznej grozie, silniejsze nad same nawet moce przyrody, a jak one ślepe, niesprawiedliwe i nieubłagane ! Nie było tu żadnej rady. Nikt z tych ludzi nie byłby pomyślał nawet, iżby można uczynić cośkolwiek dla wstrzymania lub osłabienia czynności artylerji. A na równi z innymi nie myślał też o tem i Paweł.

Wyszeptał tylko :

— Wydaje się, jakoby ogień nieprzyjacielski nieco słabnął. Może cofają się...

Zaprzeczył temu wybuch trzech granatów w dolniej części miasta, za kościołem. Pułkownik potrząsnął głową :

— Cofają się ? Nie jeszcze. Zbyt ważna jest dla nich ta pozycja ; oczekują posiłków i nie ustąpią, aż nasze pułki puszcza się w taniec... co winno nastąpić bezzwłocznie.

I rzeczywiście, w kilka chwil później przyniesiono pułkownikowi rozkaz wyruszenia. Pułk miał pójść drogą i rozwinąć się po dolinach położonych na prawo.

— Ruszamy, panowie, rzekł do swych oficerów. Oddział sierżanta Delroze pójdzie na czele. Sierżancie, kierunek wyprawy : zamek Ornequin. Są dwie krótsze drogi. Pójdiesz tamtędy.

— Słucham, panie pułkowniku.

Cały ból i cała wściekłość Pawła przemieniły się odrazu w olbrzymią potrzebę czynu i kiedy z ludźmi swymi ruszył w drogę, odnalazł w sobie jakieś przeogromne, niewyczerpane siły, poczuł, że sam jeden zdolny jest zdobyć nieprzyjacielską pozycję. Od żołnierza do żołnierza biegł z nieustrudzonym pośpiechem psa owczarskiego, który zagania swą trzodę. Raz po raz dawał rady, rzucał słowa zachęty.

— Ty, mój dzielny chłopcze, tyś tęgi wojak, znam cię, ty się nie ugniesz... Ani ty także... tylko za dużo myślisz o swej skórze i zrządzisz, kiedy trzeba się śmiać... A co chłopcy, śmiejmy się, prawda? Mamy twarde orzech do zgryzienia; zgryziemy go.

Nad nimi granaty przelatywały w powietrzu, świszcząc, jęcząc, wybuchając raz po raz, tworząc jakby sklepienie z ognia i z żelaza.

— Padnij! Kryj się! — wołał Paweł.

On sam zaś stał obojętny na nieprzyjacielskie pociski. Z przerażeniem wsłuchiwał się w nasze, które przelatywały od tyłu, z wszystkich okolicznych pagórków i biegły naprzód, niosąc śmierć i zniszczenie. Gdzie padnie ten pocisk?... gdzie tamten?... gdzie lunie deszcz zabójczych kul i odłamków?...

Kilkakrotnie wyszeptał:

— Elżbieta! Elżbieta!

Prześladował go obraz żony, rannej, konającej. Od kilku już dni, odkąd dowiedział się, że Elżbieta postanowiła pozostać w zamku Ornequin, nie mógł o niej myśleć bez głębokiego wzruszenia, które wolne już było od wszelkich odruchów złości i porywów buntu. Nie kojarzyły się już w nim wstrętne wspomnienia przeszłości z czarowną rzeczywistością miłosnego uczucia. Kiedy myślał o znienawidzonej matce, obraz córki nie jawił się już w jego umyśle. Były to dlań teraz dwie istoty odrębnej rasy, nie mające z sobą nic wspólnego. Elżbieta mężna, narażająca własne życie, aby pójść za głosem obowiązku, który miał dla niej większą wartość od życia, nabierała w oczach Pawła jakiejś szczególnej szlachetności. Ona to była kobietą kochaną dawniej i dziś jeszcze nad wszystko drogą.

Paweł przystanął. Zapuścił się z swymi ludźmi na teren bardziej odsłonięty, bardziej widoczny, obrzucany przez nieprzyjaciela gradem ognia. Kilku żołnierzy przewróciło się.

— Stój! zakomenderował, wszyscy na ziemię!

Przyskoczył do Bernarda.

— Kładźże się mały! Poco narażać się bezcelowo?... Zostań tutaj... Ani się rusz...

Ruchem przyjacielskim przytrzymał go na ziemi, obejmując jego szyję i mówiąc doń łagodnie, jakby pragnął okazać bratu całą, coraz silniej ogarniającą go tkliwość dla swej drogiej Elżbiety. Zapomniał o przykrym tonie, którym przemawiał do Bernarda poprzedniego wieczoru i miał dlań teraz słowa ciepłe, serdeczne.

— Nie ruszaj się, mały! Widzisz, ja nie powinienem był brać cię tu z sobą do tego piekła. Odpowiedzialność spada na mnie i nie chcę... nie chcę, aby cię tknięto.

Ogień osłabł. Czołgając się, żołnierze dotarli do podwójnego rzędu drzew topolowych, wzdłuż których posuwali się dalej, które zawiodły ich łagodnym spadkiem na mały kopiec, przecięty drogą. Paweł, wdrapawszy się na tą wyniosłość, ogarniając w ten sposób wzrokiem płaszczyznę Ornequin, dostrzegł w dali ruiny wioski, zburzony kościół i na lewo stos kamieni i drzew, z których wylaniało się kilka ścian muru. Był to zamek.

Wszędzie dookoła płonęły folwarki, młyny, stodoły...

W tyle rozproszone na wszystkie strony oddziały francuskie. W cieniu sąsiedniego lasu ustawiła się baterja i strzelała bezustannie. Paweł widział, jak nad zamkiem i pośród ruin pękały pociski.

Nie mogąc znieść tego widoku, zawrócił, aby podjąć dalszy marsz na czele swego oddziału. Ustał grzmot dział nieprzyjacielskiego, zmuszony zapewne do milczenia. Kiedy jednak zbliżyli się do Ornequin na odległość trzech kilometrów, kule świstały wkoło nich i Paweł zobaczył w dal oddział niemiecki, który strzelając cofał się na Ornequin.

I ciągle grzmiały ciężkie armaty i siedmdziesiąta piąta. To było straszne.

Paweł chwycił Bernarda za ramię i wyrzekł drżącym głosem:

— Gdyby spotkało mnie nieszczęście, powiedz Elżbiecie, że proszę ją o przebaczenie, dobrze? że proszę, by mi wybaczyła...

Przejął go nagle strach, że los może nie pozwolić mu na zobaczenie się z Elżbietą i zdawał sobie sprawę, iż opuszczając ją, jako winną zbrodni, której przecież nie popełniła i wydając ją na pastwę wszelkich mąk i nędzy, postąpił wobec niej z okrucieństwem nie do darowania. I szedł szybko, a w dali za nim zdążali jego ludzie.

W miejscu, w którym ścieżka wychodzi na drogę, naprzeciw Liseron'u, dopędził go myśliwy cyklista. Pułkownik przysyłał rozkaz, aby oddział czekał na resztę pułku, dla wykonania zbiorowego szturmu.

Było to dla Pawła najcięższe zadanie.

Coraz bardziej podniecony, niespokojny, drżał z gorączki i ze złości.

— No, Pawle, mówił Bernard, uspokój się, zapanuj nad sobą! Przybędziemy na czas.

— Na czas... istotnie... lecz poco? Aby ją znaleźć nieżywą lub ranną?... lub by jej nie odnaleźć zupełnie? Czy te nasze przeklęte armaty nie mogą już zamilknąć? Kogo właściwie ostrzeliwują teraz, skoro nieprzyjaciel już nie odpowiada? Trupy... zburzone domy...

— A tylna straż, osłaniająca odwrót niemiecki?

— Czyż niema tu nas, nas piechoty? To nasza sprawa. Pójść tyraljerką, a potem atak na bagnety...

Oddział ruszył wkońcu dalej, wzmocniony resztą trzeciej kompanji i pod dowództwem kapitana. Pluton huzarów przeszedł w galop, kierując się ku wsi, aby odciąć drogę uciekającym. Kompanja poszła naukos, w stronę zamku.

Powiało ku nim wielkiem milczeniem śmierci. Może zasadzka? Czyż nie można było przypuszczać, że siły nieprzyjacielskie, dobrze ukryte i zabarykadowane, przygotowały się do ostatniego oporu?

W alei starych dębów, wiodącej na podwórze zamkowe, nic podejrzanego. Żadnych postaci, żadnego odgłosu.

Paweł i Bernard, ciągle na czele, trzymając palec na kurku od karabinu, bystrem okiem wpatrywali się w niepewny półmrok zarośli leśnych. Ponad murem, podziurawionym w szerokie szczyrby, unosiły się słupy dymu.

Zbliżając się, usłyszeli jęki, potem rozdzierającą skargę konania. Byli to ranni niemieccy.

I nagle ziemia zadrżała, jakby jakiś wstrząs wewnętrzny rozerwał jej powłokę, a z drugiej strony muru rozległ się donośny wybuch, raczej szereg wybuchów, niby powtarzający się huk piorunów. Całą przestrzeń zaciemniła chmura piasku i kurzu, siejąc gradem szczątków i odłamków. Nieprzyjaciel wysadził zamek w powietrze.

— To było dla nas przeznaczone bez wątpienia, rzekł Bernard, mieliśmy i my wylecieć równocześnie. Złe obliczono całą sprawę.

Gdy przekroczyli kratę, cofnęli się aż z przerażenia; ukazał się im potworny widok: zniszczone podwórze, podziurawione wieżyczki, zamek zburzony, ofiary ludzkie w płomieniach, skłębione ciała konających, nagromadzone stosy trupów...

— Naprzód! Naprzód! krzyknął, nadbiegając galopem pułkownik. Oddziały niemieckie musiały umknąć przez park.

Paweł znał dobrze tą drogę; przebiegł ją wszedł i wzdłuż przed kilku tygodniami w tak tragicznych warunkach... Rzucił się więc przez trawniki, między zwały ka-

mieni i drzewa powyrywane z korzeniami. Gdy jednak mijały pawilon, stojący u wejścia do lasu, zatrzymał się nagle, jakby wryty w ziemię. I Bernard i wszyscy żołnierze stanęli osłupiali, niemi ze zgrozy.

Oparte o mur pawilonu stały dwa trupy, przywiązane łańcuchem do żelaznych kółek, wbitych w mur; łańcuch ten opasywał im biodra; ramiona zwisały ku ziemi.

Jeden — trup mężczyzny, drugi kobiety. Paweł poznał w nich Hieronima i Rozalję.

Rozstrzelani.

Łańcuch, skuwający tych dwoje, ciągnął się dalej, aż do trzeciego kółka przytwierdzonego również do muru. Na ścianie domu widoczne były plamy krwi i ślady kul. Bez wątpienia była więc tu i trzecia ofiara; trupa jej uprzątnięto.

Paweł, zbliżywszy się do ściany, ujrzał wryty w nią odłamek granatu. Na brzegu wyżłobionego otworu, między tynkiem a odłamkiem pocisku, widniała garść włosów jasných, o złotawym połysku, włosów wyrwanych z głowy Elżbiety.

VII.

H. E. R. M.

Silniejsze jeszcze od rozpacz i przerażenia ogarnęło Pawła w tej chwili olbrzymie pragnienie zemsty i to zemsty natychmiastowej, za wszelką cenę. Powiódł wokół siebie wzrokiem nienawiści, jak gdyby wszyscy ci ranni, konający w parku, winni byli tego potwornego morderstwa.

— Nędznicy! syczał, mordercy!...

— Czyś pewny?... jakże Bernard... Czyś pewny, że to są włosy Elżbiety?!

— Ależ tak, tak, rozstrzelali i ją także, jak tamtych dwoje. Poznają ich przecie, to stróż zamku i jego żona. Ach! podli nędznicy...

Paweł zamierzył się kolbą na jednego z dogorywających obok Niemców, lecz w chwili gdy go miał uderzyć, stanął przed nim pułkownik.

— No i cóż Delroze? Co tu robicie? Twoja kompanja?

— Ach! pułkowniku, gdybyś pan wiedział...

Z wyrazem szaleństwa w oczach przystąpił Paweł żywo do swego zwierzchnika, potrząsając gwałtownie karabinem:

— Zabili ją, panie pułkowniku, tak, rozstrzelali moją żonę... Tu, oto, pod murem wraz z dwojgiem ludzi z jej służby... Rozstrzelali ją... Miała dwadzieścia lat, panie pułkowniku... Ach! Trzeba ubić ich wszystkich jak psy!...

W tej chwili Bernard odciągnął go na bok.

— Nie traćmy czasu, Pawle, mścijmy się na tych, co biją się jeszcze... Słyszać strzały. Najwidoczniej otoczono ich tam...

Paweł nie zdawał już sobie sprawy z tego co czynił. Porwał się z miejsca, pijany bólem i wściekłością.

W dziesięć minut później, połączywszy się z swą kompanją, znalazł się znowu na ścieżce obok kaplicy, w miejscu, gdzie przed laty zginął jego ojciec. Tam, gdzie niegdyś były małe drzwiczki w murze, przebito szeroki otwór, by ułatwić w ten sposób dowóz żywności dla zamku. Ośmset metrów dalej, w dolinie, na przecięciu drogi i gościńca, przygasła zażarta strzelanina.

Kilkudziesięciu zbiegów usiłowało przebić się przez oddział jadących drogą huzarów. Napadnięci z tyłu przez kompanję Pawła, zdołali ukryć się w czworoboku drzew i krzewów i stąd odstrzeliwali się z dziką energją. Ustępowali krok za krokiem, padał jeden po drugim.

— Czemu opierają się? szeptał Paweł, strzelając bez wytchnienia, gorączką walki tłumiąc nieco swą rozpacz. Rzekłbyś, starają się zyskać na czasie.

— Popatrz! zawołał Bernard zmienionym głosem:

Od strony granicy, z poza drzew wylaniał się automobil pełen niemieckich żołnierzy. Czyżby posiłki? Nie. Samochód zawrócił niemal w miejscu: pośrodku między nim a garstką broniących się, znajdował się oficer w szerokim szarym płaszczu, z rewolwerem w rękę, zagrzewał ich do oporu, sam cofając się równocześnie ku przysłanemu mu na pomoc samochodowi.

— Spójrz, Pawle, spójrz tylko, powtarzał Bernard.

Delroze stanął jak skamieniały. Oficer wskazany przez Bernarda, był to... Lecz nie... to niemożliwe. A jednak...

— Co chcesz powiedzieć, Bernardzie? zapytał.

— To ta sama twarz, szepnął Bernard, ta sama twarz, co wczoraj... wiesz, Pawle, twarz kobiety, która wczoraj wieczorem pytała mię o ciebie.

Paweł zaś tymczasem, bez wahania, poznawał w oficerze ową istotę tajemniczą, która usiłowała zabić go ongiś

przy małych drzwiach w parku, istotę tak dziwnie, niepojęcie podobną do morderczyni jego ojca, do kobiety z portretu w zamku, do Herminy d'Audeville, matki Elżbiety i Bernarda.

Bernard zmierzył się z karabinu.

— Nie, nie strzelaj! krzyknął Paweł przerażony ruchem szwagra.

— Dlaczego?

— Starajmy się wziąć go żywcem.

I podniecony nienawiścią, rzucił się naprzód, oficer jednak podbiegł już do samochodu. Żołnierze niemieccy, podając mu ręce, wciągali go między siebie. Celnym strzałem Paweł powalił szofera. Oficer chwycił wówczas za kierownicę w chwili, kiedy samochód uderzał już prawie o drzewo i omijając zręcznie przeszkody, zawrócił za pagórek, a stamtąd ku granicy.

Był ocalony.

Spostrzegłszy to, garstka walczących dotąd nieprzyjaciół poddała się.

Paweł dygotał z bezsilnej wściekłości. Istota owa była dlań uosobieniem zła w wszelkich jego postaciach; od pierwszej aż do ostatniej minuty tej długiej litanii dramatów, morderstw, szpiegostwa, zamachów, zdrad, rozstrzelań, które mnożyły się ciągle w tym samym duchu i kierunku, zjawiała się ona niby potężny jakiś genjusz zbrodni.

Jedynie śmierć tego człowieka mogła była nasycić nienawiść Pawła. On to bez wątpienia, on był tym potworem, który kazał rozstrzelać Elżbietę. Och! zgrozo! Elżbieta rozstrzelana! Prześladowała go ciągle ta piekielna wizja...

— Kto to jest? zakrzyknął... Jak się dowiedzieć? Jak dostać go w ręce, zadusić, zamęczyć?

— Zapytaj jednego z jeńców, rzekł Bernard.

Na rozkaz kapitana, który uważał, że rozsądniej będzie nie posuwać się dalej naprzód, kompanja cofnęła się, dla utrzymania łączności z resztą pułku, a Paweł dostał rozkaz zajęcia zamku i odprowadzenia tam jeńców.

Po drodze nie omieszkął wypytać dwu czy trzech podoficerów i kilku żołnierzy. Otrzymał jednak od nich tylko parę niejasnych pomieszanych wskazówek, przybyli bowiem do Corvigny zaledwie w wilgę tego dnia i noc jedynie przepędzili w zamku.

Nie znali nawet imienia oficera w szerokim szarym płaszczu, dla którego się poświęcali. Nazywano go majorem, oto wszystko, co wiedzieli.

— Jednakże... jednakże, nalegał Paweł, był to przecież wasz bezpośredni zwierzchnik?

— Nie. Komendant oddziału tylnej straży, któremu podlegamy, jest porucznikiem; gdyśmy uciekali, zraniono go przy wybuchu min. Chcieliśmy zabrać go z sobą. Major sprzeciwił się temu gwałtownie i z rewolwerem w ręku rozkazał nam iść przed sobą, grożąc śmiercią temu, kto by go opuścił. I podczas walki, trzymając się o dziesięć kroków w tyle, nie przestawał grozić rewolwerem, aby nas zmusić do osłaniania go. Trzech z pośród nas padło od jego kul.

— Liczył na pomoc automobilu, prawda?

— Tak jest i na posiłki, które — jak mówił — miały nas wszystkich ocalić. Lecz przybył jedynie automobil i ocalił tylko jego samego.

— Porucznik zna zapewne jego nazwisko? Czy poważnie jest ranny?

— Porucznik? Złamaną ma nogę. Położyliśmy go w pawilonie w parku.

— Pawilon, przy którym rozstrzeliwano?

— Tak jest.

Skierowali się zatem do tego pawilonu; był to rodzaj małej cieplarni, w której zimą przechowywano rośliny. Trupy Rozalji i Hieronima były już usunięte. Lecz złowrogi łańcuch wisiał wzdłuż muru, przytwierdzony do trzech kółek żelaznych, a Paweł z dreszczem przerażenia ujrzał znowu ślady kul i mały odłamek granatu, przytrzymujący w murze złote włosy Elżbiety.

Granat francuski! Powiększało to jeszcze grozę okrucieństwa tego mordu.

Tak więc, wczoraj, Paweł zdobyciem pancernego automobilu i śmiałym wypadem na Corvigny otworzył drogę wojskom francuskim i wywołał zdarzenia, które sprowadziły śmierć jego żony! Nieprzyjaciół, mszcząc się za swój odwrót, rozstrzelał mieszkańców zamku! Elżbieta przyparta do muru, skuta łańcuchem, sieczona kulami! A jakby przez straszną ironję losu trup jej ugodzony nadto odłamkami pierwszych pocisków, wysłanych przez działa francuskie z szczytu pagórków, okalających Corvigny.

Paweł wydobył z muru odłamek granatu, odczepił złoty splot i schował go nabożnie. Następnie wszedł wraz z Bernardem do pawilonu, gdzie sanitariusze urządzili już tymczasowy ambulans. Znalazł porucznika, rozciągniętego na słomie i starannie opatrzonego; rozpoczął śledztwo.

Stwierdzono natychmiast jeden szczegół, najzupełniej dokładnie i jasno: oto wojsko niemieckie, które stało załogą w zamku Ornequin, nie miało, rzecz można, żadnej łączności z tem, które w wilgę tego dnia wycofało się poza obręb Corvigny i przyległych fortów. Załoga została usunięta z chwilą nadejścia oddziałów szturmowych; bano się widocznie, by nie wydała szczegółów zajęcia zamku.

— W owej chwili, opowiadał porucznik, — była siódma wieczór — wasza 75-ta „wymacała“ już zamek; zastaliśmy w nim jedynie gromadkę generałów i wyższych oficerów. Tabory ich już odjeżdżały, automobile również były gotowe. Dano mi rozkaz utrzymania się jak najdłużej i wysadzenia zamku. Zresztą major poczynił już ku temu wszelkie przygotowania.

— Nazwisko tego majora?

— Nie znam go. Przechadzał się z młodym oficerem, do którego nawet generałowie zwracali się z szczególnym szacunkiem. Oficer ów właśnie przywołał mnie i rozkazał słuchać majora „jak samego cesarza“.

— Kto był ten młody oficer?

— Księżę Konrad.

— Jeden z synów cesarza?

— Tak jest. Wczoraj wieczór opuścił zamek.

— A major przepędził noc tutaj?

— Przypuszczam. W każdym razie był tu dziś rano. Podłożyliśmy ogień pod miny i odeszliśmy. Za późno — zostałem bowiem zraniony pod murem tego pawilonu...

Opanowując wzruszenie, spytał Paweł:

— Pod murem, przy którym rozstrzelano troje Francuzów, prawda?

— Tak jest.

— Kiedy ich rozstrzelano?

— Zdaje mi się, wczoraj wieczorem, koło szóstej, przed naszym przebyciem do Corvigny.

— Kto kazał ich rozstrzelać?

— Major.

Paweł czuł jak krople potu spływały mu z głowy na czoło i na kark. Nie omylił się zatem: rozstrzelano Elżbietę na rozkaz owej nienazwanej, niepojętej istoty, której twarz była tak łudząco podobna do twarzy Herminy d'Audeville, matki Elżbiety!

Mówił dalej głosem drżącym:

— Rozstrzelano zatem troje Francuzów, jesteś tego całkiem pewny?

— Tak jest, mieszkańców zamku, za zdradę.

— Jednego mężczyznę i dwie kobiety, prawda?

— Tak jest.

— A jednak są tylko dwa trupy pod murem pawilonu?

— Tak, dwa. Na rozkaz księcia Konrada, major polecił pochować panią z zamku.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— Lecz może wiesz dlaczego ją rozstrzelano?

Podobno bardzo ważne jakieś tajemnice dostały się w jej ręce.

— Mogli ją przecież uwięzić i wywieźć z sobą?

— Oczywiście, lecz ksiązę Konrad miał już jej dość.

— Co?!

Paweł zatrząsł się. Oficer podjął z dwuznacznym uśmiechem:

— Phi! Znamy księcia! To sławny Don Juan! Od tygodni mieszkając w zamku, zdążył podobać się... zdobyć... i... i znudzić się tem wkońcu... Major utrzymuje zresztą, że kobieta ta i oboje służący usiłowali otruć księcia. Rozumie się, zatem...

Nie dokończył. Paweł z strasznie zmienioną twarzą pochylił się nad nim i rzekł, chwytając go za gardło:

— Jeszcze słowo, a uduszę cię... Ach! Masz szczęście, że jesteś ranny... inaczej... inaczej...

Bernard, odchodząc od przytomności, rzucił się też na niego:

— Tak, masz szczęście... Ten twój ksiązę Konrad to bydlę... Powiedziałbym mu to prosto w oczy... bydlę, jak cała jego rodzina i jak wy wszyscy...

Odeszli, zostawiając porucznika oszołomionego tym nagłym wybuchem niezrozumiałej ich wściekłości.

Z chwilą, gdy znaleźli się na dworze, ogarnęła Pawła beznadziejna rozpacz. Rozpręgały się jego nerwy. Cała złość i wszystka nienawiść zmieniały się w bezbrzeżne przygnębienie. Z trudnością wstrzymywał łzy.

— Pawle, zawołał Bernard, nie wierzysz przecież...

— Nie, po tysiąckroć nie! Lecz zgaduję wszystko, co się stało. Ten bydlak cesarski z pewnością umizgał się do Elżbiety i chciał wykorzystać to, że był panem położenia... Pomyśl tylko! Kobieta sama, bezbronna, toż to zdobycz, o którą warto się pokusić! Jakie męczarnie musiała znosić, biedactwo! jakie upokorzenia! Walka codzienna... groźby... brutalne napaści... A wreszcie, w ostatniej chwili, aby ukarać ją za opór, śmierć...

— Pomścimy ją, Pawle, szepnął cicho Bernard.

— Zapewne, lecz czy zdołam zapomnieć kiedy, że to dla mnie została ona tutaj... z mojej winy? Wytłumaczę ci to później, zrozumiesz wówczas jak byłem okrutny i niesprawiedliwy... A jednak...

Zamyślił się. Prześladował go obraz majora... Powtórzył:

— A jednak... jednak... są rzeczy tak dziwne...

Przez całe poobiedzie wojska francuskie nadpływały doliną Liseron'u i wioską Ornequin, aby przygotować się do spodziewanego kontrataku nieprzyjaciela. Oddział Pawła odpoczywał. Korzystając z tego, obaj z Bernardem oddawali się drobiazgowym poszukiwaniom w parku i w ruinach zamku. Żaden jednak ślad nie wskazał im miejsca, w którym mogło być pogrzebane ciało Elżbiety.

Około godziny piątej urządzili pogrzeb Rozalji i Hieronimowi. U szczytu małego kopca, zasłanego kwieciami, wzniosły się dwa krzyże. Kapelan odprawił żałobne modły. Z wzruszeniem ukląkł Paweł nad grobem dwojga wiernych sług, których zgubiło ich przywiązanie.

I ich także poprzysiął pomścić. Pragnienie zemsty wywoływało w nim z jakąś bolesną nieomal siłą zniechędzony obraz majora, obraz, który nieodłączny był już teraz od wspomnienia hrabiny d'Audeville.

Zapytał Bernarda:

— Czy jesteś pewny, że nie omyliłeś cię, kojarząc majora z rzekomą wieśniaczką, która zaczęła się w Corvigny?

— Najzupełniej pewny.

— Chodźmy więc. Wspomniałem ci już o portrecie kobiety. Zobaczysz go teraz i opowiesz mi swoje wrażenie.

Paweł zauważył już poprzednio, że ta część zamku, w której mieścił się pokój i buduar Herminy d'Audeville, nie została zniszczona całkowicie przez wybuch min i pocisków. Może więc tym sposobem buduar zachował się w swym pierwotnym stanie.

Schody były zwalone, musieli więc wdrapać się na pierwsze piętro po rozsypanych kamieniach. W niektórych tylko miejscach można było odgadnąć ślad korytarza. Wszystkie drzwi były powyrywane, a pokoje przedstawiały jakiś nieopisany, okropny chaos.

— Oto tu, rzekł Paweł ukazując pustkę pomiędzy dwoma kawałkami muru, które trzymały się jeszcze cudem.

Był to buduar Herminy d'Audeville, zniszczony, poszarpany, zasiany gruzem; można go było rozpoznać po

meblach, które widział tu Paweł w dzień swego ślubu. Okienice przepuszczały niewiele światła, Paweł, dojrzawszy jednak w półmroku przeciwległą ścianę, krzyknął głośno:

— Niema portretu!

Ogarnęło go wielkie rozczarowanie, lecz równocześnie znalazł w tem dowód niesłychanej wagi, jaką przeciwnik przywiązywał widocznie do tego obrazu. Jeżeli go stąd zabrano, to czyż nie dla usunięcia obciążającego świadectwa?

— Przysięgam ci, rzekł Bernard, że to nie zmienia w niczem mego zdania. Pewność, którą posiadam w związku z majorem i wieśniaczką z Corvigny, nie potrzebuje sprawdzenia. Co przedstawiał ten obraz?

— Powiedziałem ci już: kobietę.

— Jaką? Czy był to portret umieszczony tu przez mojego ojca, jeden z obrazów z jego zbiorów?

— Tak, właśnie, potwierdził Paweł.

Odsunawszy okienicę, dostrzegł na nagiej ścianie duży prostokąt, zakryty ongiś przez obraz i z pewnych drobnych szczegółów wywnioskował, że zdjęcie portretu dokonano w pośpiechu. Tabliczka wyrwana z ramy leżała na ziemi. Paweł podniósł ją ukradkiem, bojąc się, by Bernard nie dojrzał wrytego na niej napisu.

Po odczepieniu drugiej okienicy, gdy uważniej przysglądał się ścianie, wydał okrzyk zdziwienia.

— Co tam? — zapytał Bernard.

— Tutaj... widzisz... ten podpis na murze... w tem samem miejscu, gdzie wisiał obraz... Podpis i data.

Na wysokości wzrostu człowieka widniały na białym tynku dwie czarne linje, zapisane ołówkiem. Data: środa wieczór, 16. września 1914. Podpis: major Hermann.

Major Hermann! Oczy Pawła nieświadomie niemal wbiły się w te wyrazy, wchłaniając przedewszystkiem drobny szczegół, w którym skupiało się całe znaczenie tych dwu linii i kiedy Bernard, zbliżając się do ściany, wpatrywał się również w tajemniczy napis, Paweł szeptał z bezgranicznym zdumieniem:

— Hermann... Hermina...

Były to prawie te same słowa! Wyraz „Hermina“ zaczynał się od tych samych liter, co imię czy nazwisko, które major wypisał na ścianie. Major Hermann! hrabina Hermina! H. E. R. M.... cztery litery wryte na ręcznie sztyletu, którym chciano go zabić, H. E. R. M...., litery wryte na sztylcie szpiega, którego uwięził w dzwonnicy kościelnej!

Mojem zdaniem, to pismo kobiece, rzekł Bernard. Lecz w takim razie...

I zamyślony ciągnął dalej :

— Lecz w takim razie... co to znaczy? Albo wczorajsza wieśniaczka i major Hermann są jedną i tą samą osobą, to znaczy, że wieśniaczka ta jest przebrany męzczyzną, lub że nim nie jest major... Albo... albo mamy do czynienia z dwiema różnymi osobami, męzczyzną i kobietą i zdaje mi się, że tak jest w istocie, mimo nadzwyczajnego podobieństwa, jakie zachodzi między nimi... Jakże bowiem przypuścić, aby ta sama osoba mogła wczoraj wieczór skreślić tutaj ten napis, przekroczyć linje francuskie i przebrana za wieśniaczkę zacząć mnie w Corvigny... a potem powrócić tu dziś rano w przebraniu niemieckiego majora, wysadzić zamek, uciec, a następnie, zabiwszy kilku z swych żołnierzy, umknąć w automobilu?

Paweł nie odpowiedział, pochłonięty myślami. Po chwili, przeszedł do sąsiedniego pokoju, dzielącego buduar od mieszkania, należącego do jego żony.

Pozostały po nim tylko gruzy. Zachował się jednak dość dobrze pokój środkowy, a umywalnia i łóżko w nieładzie wskazywały, że służył on za sypialnię i że ktoś spał w nim poprzedniej nocy.

Na stole znalazł Paweł niemieckie dzienniki i jeden francuski, datowany z 10. września, w którym komunikat, donoszący o zwycięstwie nad Marną, zamazany był dwiema grubemi kreskami czerwonym ołówkiem, obok zaś dodano słowa : „Kłamstwo ! kłamstwo !“ i podpis H.

— Jesteśmy u majora Hermanna — rzekł Paweł do szwagra.

— Dzisiejszej nocy, — odparł Bernard, spalił wszystkie kompromitujące papiery... Popatrz jaka góra popiołu w kominku !

Pochyliwszy się, wyciągnął z popiołu kilka napół spalonych kopert i kartek, na których znajdowały się pomieszane słowa i zdania bez związku.

Gdy zaś przypadkiem zwrócił wzrok na łóżko, dostrzegł pod materacem zawiniątko z ubraniem, schowanem tu lub może zapomnianem w pośpiechu. Przyciągając je ku sobie, krzyknął wzburzony :

— To już naprawdę nadzwyczajne !

— Co ? — spytał Poweł, który sam tymczasem czynił poszukiwania w pokoju.

— To ubranie... strój wieśniaczki... ten sam, który widziałem wczoraj na tej kobiecie w Corvigny. Jestem

najzupełniej pewny... ten sam odcień brązowy, ta sama materja. Poza tem, patrz, oto chusteczka z czarnej koronki, o której ci wspominałem...

— Co mówisz? — krzyknął Paweł, przyskakując szybko.

— Sam zobacz, coś w rodzaju chusteczki, jakby bardzo starej. Zniszczona i podarła! A tu, wpięta jeszcze broszka, którą ci opisałem, widzisz?

Z przerażeniem poznał ją Paweł odrazu. Jakiejże zgrozy nadawała ona odkryciu ubrania i to właśnie w pokoju majora Hermanna, obok buduaru Herminy d'Audeville! Kamea, z łabędziem o rozpostartych skrzydłach, otoczona złotym wężem z rubinowemi oczyma! Od samego dzieciństwa znał Paweł tą kameę, widział ją przy staniku kobiety, która zabiła jego ojca, ujrzał ją później z drobiazgową dokładnością na portrecie hrabiny d'Audeville. A teraz oto odnajdywał ją znowu, wpiętą w chusteczkę z czarnej koronki, wśród rzeczy wieśniaczki z Corvigny, zapomnianych w pokoju majora Hermanna!

— Mamy więc dowód niezbity, — rzekł Bernard. Ponieważ ubranie to jest tutaj, zatem kobieta, która dopytywała mnie o ciebie, powróciła dzisiejszej nocy do zamku; lecz jaki związek istnieje między nią, a tym oficerem, tak łudząco do niej podobnym? Czy osoba, która zaczęła mnie w Corvigny, jest tą samą, co w dwie godziny przedtem kazała rozstrzelać Elżbietę? Kto to jest? Co za szajka morderców i szpiegów prześladuje nas na każdym kroku?

— To Niemcy, — zawyrokował Paweł. Mordować i szpiegować, to dla nich proste i dozwolone metody wojny i to wojny, którą wszczęli w okresie pełnego pokoju. Powiedziałem ci już Bernardzie: od dwudziestu blisko lat padamy ofiarą tej wojny. Morderstwo mego ojca było początkiem dramatu. Teraz znów oplakujemy biedną naszą Elżbietę. A na tem nie koniec.

— Tymczasem uciekł — rzekł Paweł.

— Zobaczymy go jeszcze, zapewniam cię. Jeżeli nie przyjdzie sam, to ja go odszukam. A wówczas...

Paweł i Bernard postanowili przepędzić noc w tym pokoju, na dwu znajdujących się tu fotelach; nie ociągając się, zapisali swe nazwiska na murze korytarza, poczem Paweł poszedł do swych ludzi, aby zobaczyć jak rozmieścili się wpośród stodół i ocalałych od ruiny stajni i wozowni. Spotkał tam swego ordynansa, dzielnego żołnierza z Auvergne, nazwiskiem Gêriflour, który oświadczył mu,

że wygrzebał jakieś czyste materace i dwa prześcieradła w głębi domku, przelegającego do pawilonu stróża zamkowego. Łóżka były zatem przygotowane.

Paweł zgodził się na to. Postanowiono, że Gériflour wraz z jednym z swych towarzyszy pójdą do zamku i prześpią się na owych dwu fotelach.

Noc minęła spokojnie; Paweł, prześladowany wspomnieniem Elżbiety, przebył ją w bezsenności i gorączce.

Nad ranem zapadł w ciężki sen; z duszącej zmory obudził go nagle dźwięk pobudki.

Bernard już czekał.

Zbiórka odbyła się na podwórzu zamku. Nie stanęli do niej ani Gériflour, ani jego towarzysze.

— Pewnie śpią jeszcze — rzekł Paweł do Bernarda — chodźmy ich obudzić.

Poprzez rumowiska i gruzy dostali się tak jak wczoraj na pierwsze piętro.

W pokoju, który zajmował major Hermann, znaleźli na łóżku żołnierza Gériflour, zbroczonego krwią, nieżywego. Na jednym z foteli spoczywał jego towarzysz, również martwy.

Wokół trupów żadnego śladu walki, żadnego nieładu. Obu żołnierzy zabito widocznie w śnie.

Paweł ujrzał w tej chwili broń morderczą, sztylet o drewnianej ręczce, na której widniały litery: H. E. R. M.

VIII.

Dziennik Elżbiety.

To podwójne morderstwo, dokonane po całym szeregu zdarzeń tragicznych, powiązanych jakimś silnym, nierozzerwalnym węzłem, miało w sobie moc okropnej grozy, coś z wstrząsającej siły przeznaczeń; obaj młodzi ludzie nie wyrzekli ani słowa, trwali bez ruchu, w milczeniu.

Tyle razy, w ciągu walk, czuli wkoło siebie tchnienie śmierci, nigdy jednak nie ukazała się im ona dotąd w postaci równie okrutnej i ohydnej.

Śmierć! Oto zjawiała się nie jak zło zdradzieckie, uderzające przypadkiem, lecz jak widmo, które wślizguje się w mrok, śledzi przeciwnika, wybiera sposobną chwilę i z pełną świadomością podnosi ramię do ciosu. A widmo to przybierało dla nich postać i twarz majora Hermanna.

Paweł przemówił wreszcie, a głos jego miał ów dźwięk głuchy, jakby szalony, zdający się wywoływać złe siły z ciemności:

— Przyszedł tej nocy. Przyszedł i zobaczył na murze nasze nazwiska, a że Bernard d'Audeville i Paweł Delroze to dwu groźnych dlań nieprzyjaciół, skorzystał więc ze sposobności uwolnienia się od tych dwu wrogów. Przekonany, że to my obaj spaliśmy w tym pokoju, uderzył... a cios jego dotknął biednego Gêriflour'a i jego towarzysza; zamiast nas, oni ponieśli śmierć.

Po chwili milczenia wyszeptał:

— Zginęli, jak zginął mój ojciec... i Elżbieta... i stróż i jego żona... z tej samej ręki... z tej samej, słyszysz, Bernardzie! Tak, to nieprawdopodobne, ja wiem i trudno mi się z tem pogodzić... A jednak, ta sama ręka dzierży zawsze ów sztylet... wtedy i dziś ta sama.

Bernard oglądnął znaną broń i rzekł, wpatrując się w tajemnicze litery:

— Hermann, prawda? major Hermann?

— Tak, tak — potwierdził żywo Paweł... — Jakie jest właściwie jego imię, kim on jest w rzeczywistości? Nie wiem. Lecz istota, która popełniła wszystkie te zbrodnie, jest napewno tym kimś, co podpisuje się temi literami: H. E. R. M.

Dawszy sygnał alarmu ludziom swego oddziału, uprzedziwszy kapelana i lekarza-majora, Paweł postanowił poprosić o specjalne posłuchanie swego pułkownika, aby wyjawić mu całą tajemniczą historję, która mogła rzucić pewne światło na stracenie Elżbiety i zamordowanie obu żołnierzy. Dowiedział się jednak, że pułkownik wraz z swym pułkiem walczył poza linią graniczną, trzecia zaś kompanja została w pośpiechu odwołana, z wyjątkiem jednego oddziału, który miał pozostać w zamku pod rozkazami sierżanta Delroze. Paweł sam więc wraz z swymi ludźmi rozpoczął śledztwo.

Nie przyniosło ono jednak żadnego wyniku. Nie udało się uzyskać najdrobniejszej choćby wskazówki, w jaki sposób morderca wtargnął naprzód w obręb parku, następnie w ruiny zamku, a wreszcie do pokoju. Nikt z cywilnych nie przechodził tędy, czyżby więc należało przypuszczać, że sprawcą podwójnego morderstwa był jeden z żołnierzy trzeciej kompanji? Chyba nie. Jakież jednak poza tem przyjąć przypuszczenie?

Nie dowiedział się również Paweł żadnych szczegółów o śmierci swej żony, ani o tem, gdzie pogrzebano jej ciało. I to było dlań najcięższe.

Ranni Niemieccy nie umieli dać żadnych wyjaśnień, podobnie jak i jeńcy. Wszyscy oni wiedzieli o egzekucji jednego mężczyzny i dwu kobiet, wszyscy jednak przybyli do zamku już po dokonanych fackie i po odejściu wojsk okupacyjnych.

Paweł dotarł aż do wsi Ornequin. Może tu wiedziano choć cośkolwiek. Może mieszkańcy wioski słyszeli co o jego żonie, o życiu, jakie wiodła w zamku, o jej męczarniach i śmierci...

Ornequin było puste. Ani jednej kobiety, ani jednego starca. Nieprzyjaciół musiał widocznie wysłać wszystkich mieszkańców do Niemiec i to odrazu, na samym początku, chciał bowiem usunąć wszelkich świadków swoich czynów z czasów okupacji i pustką otoczyć zamek.

Trzy dni poświęcił Paweł na bezowocne poszukiwania.

— A przecież mówił do Bernarda, Elżbieta nie mogła zniknąć tak bez śladu. Jeżeli nie znajdę jej grobu, może przynajmniej trafię na jakiś ślad jej pobytu w zamku. Tu przecie żyła, tu cierpiała. Jakaś drobna choćby pamiątka po niej byłaby mi tak droga!

Zdołał wreszcie sprawdzić dokładnie, w którym miejscu znajdował się zamieszkiwany przez nią pokój, a wpośród ruin odnalazł pozostałe po nim gruzy i stos kamieni.

Szczałki salonów na parterze, na które zwały się sufity z pierwszego piętra, tworzyły jedno olbrzymie rumowisko; w tym to chaosie, pod kupą muru i mebli połamanych w drzazgi, znalazł Paweł pewnego poranku małe stłuczone lustro i sztyldkretową szczotkę i srebrny scyzoryk i nożyczki, drobne przedmioty, które były własnością Elżbiety.

Najbardziej wzruszyło go jednak odkrycie grubego kalendarza, w którym — wiedział to z dawnych lat — żona jego przed ślubem jeszcze miała zwyczaj zapisywać swe wydatki, sprawunki i wizyty, a niekiedy też ważniejsze zdarzenia swego życia.

Z kalendarza tego pozostała tylko okładka z datą 1914 i pierwsza część, obejmująca siedm pierwszych miesięcy w roku. Wszystkie kartki z ostatnich pięciu miesięcy były nie wyrwane, lecz po jednej ściągnięte z nitek, przytwierdzających je do okładki.

Odrazu przeszła Pawła myśl, iż zostały one wyjęte przez Elżbietę i to bez pośpiechu, powoli w chwili, kiedy

nic jej nie nagliło ani niepokoiło, kiedy pragnęła tylko poprostu na kartkach tych zapisywać dzień po dniu... Co? co? nic innego, jak właśnie swe najtajniejsze myśli, które kreśliła dawniej w kalendarzu, między jednym a drugim wydatkiem lub sprawunkiem.

A ponieważ po moim odejście — myślał Paweł — nie było już żadnych rachunków, a życie jej stało się od-tąd najstraszniejszym dramatem, bez wątpienia więc po-wierzała tym nieistniejącym dziś kartkom swą samotność... swe skargi... może bunt swój przeciwko mnie.

W dniu tym, Paweł w nieobecności Bernarda, po-dwoił swój zapał poszukiwania. Przeglądał wszystkie dziury, szperał pod wszystkimi gruzami. Podnosił z ziemi odłamki odbitych marmurów, szczątki potłuczonych pajaków, strzępy dywanów, kawałki zczerniałych w ogniu belek. Przez całe godziny oddawał się temu z zaciętym uporem.

Jednakże milczące gruzы i rumowiska nie odpowia-dały na jego palące pytania, rozpoczął więc cierpliwie dal-sze poszukiwania w parku.

Wysiłki bezowocne; Paweł zdawał sobie sprawę z ca-łej bezcelowości tych zabiegów. Zbyt ważne były te kartki dla Elżbiety, musiała je zniszczyć, bądź też ukryć starannie. A może...

— A może — rzekł sam do siebie — wykradziono jej te kartki. Major musiał roztaczać nad nią bezustanny nadzór. A w takim razie, kto wie...

W umyśle Pawła zarysowało się jakieś przypuszczenie.

Znalazłszy poprzednio ubranie wieśniaczki i czarną koronkową chusteczkę, nie przywiązując do nich większej wagi, pozostawił je na łóżku w pokoju i teraz zastanawiał się, czy major w nocy, kiedy zamordował dwu żołnierzy, nie wrócił z zamiarem wzięcia ubrań lub przynajmniej zawartości ich kieszeni? Nie mógł zaś tego dokonać, po-nieważ żołnierz Gériflour leżąc na tem, zakrywał sobą ubranie.

I oto przypomniał sobie Paweł, że oglądając strój wieśniaczki, poczuł jakby szelest papieru w kieszeni spod-nicy. Czy nie był to przypadkiem dziennik Elżbiety, odkryty i skradziony przez majora Hermanna?

Paweł pobiegł szybko do pokoju, w którym popeł-niono podwójne morderstwo. Schwycił gorączkowo ubranie i szukał.

— Ach! — zawołał nagle z radością, oto są!

Kartki, wyjęte z kalendarza, złożone były w dużej żółtej kopercie. Luźne, zmięte, miejscami podarte; od

pierwszego wejrzenia spostrzegł odrazu, że były to kartki tylko z sierpnia i z września, a nawet brakowało niektórych dat z tych dwu miesięcy.

I zobaczył pismo Elżbiety.

Z początku nie był to dziennik zbyt szczegółowy. Nic, tylko urywane notatki, biedne notatki, skarga złamanego serca... Czasami dłuższa, wymagająca dodatkowej kartki. Notatki kreślone w dzień lub w nocy, piórem lub ołówkiem, niekiedy zaledwie czytelne, wywołujące obraz drżącej ręki, dwojga zamglonych łzami oczu, obraz istoty oszalałej z bólu.

Nic bardziej nie mogło wzruszyć Pawła, jak ów znaleziony dziennik.

Był sam, czytał:

Niedziela 2. sierpnia.

„Nie powinien był napisać do mnie tego listu; zbyt jest okrutny. Dlaczego przytem doradza mi opuścić Ornequin? Wojna? Więc dlatego, że może przyjść do wojny, miałyby mi zabraknąć odwagi do pozostania tutaj i spełnienia mego obowiązku? Jakże on mnie nie zna! Czyżby przypuszczał, że jestem tchórzem, że jestem zdolna podejrzewać biedną moją matkę?... Pawle, mój drogi Pawle, nie powinienes był mnie opuścić...

Poniedziałek 3. sierpnia.

„Odkąd odjechała służba, Rozalja i Hieronim podwoili względem mnie swą troskliwość. Rozalja błagała mnie, abym również wyjechała. „A wy, Rozaljo“ spytałam, „czy także opuścicie Ornequin?“ „Och! my, cóż my zrobimy? Nie potrzebujemy się niczego obawiać. Zresztą, tu nasze miejsce“. Odpowiedziałam jej, że i moje także. Wiedziałam jednak, że nie mogła tego zrozumieć.

„Kiedy spotykam Hieronima, potrzasa głową i patrzy na mnie smutnemi oczyma“.

Wtorek 4. sierpnia.

„Obowiązek mój? Tak, nie przeczę temu. Wolałabym umrzeć, niż wyrzec się tego. Lecz jak go wypełnić? I jak osiągnąć prawdę? Mam dużo odwagi, a jednak nie przestaję płakać, tak, jakbym nie miała nic lepszego do roboty. Bo ciągle myślę przede wszystkim o Pawle. Gdzie on jest? Co się z nim dzieje? Gdy Hieronim powiedział

mi dziś rano, że wojna jest wypowiedziana, o mało co nie zemdlałam. Zatem Paweł będzie się bił. Będzie może raniomy, zabity! Ach! mój Boże, czy naprawdę nie powinienam być przy nim, gdzieś w mieście, nieopodal pola bitwy? Czegoż mogę się spodziewać, pozostając tutaj. Tak, obowiązek mój, wiem... moja matka. Ach, mamę przebac mi. Lecz, widzisz, ja kocham i boję się, by mu nie stało się coś złego“...

Czwartek 6. sierpnia.

„Ciągłe tylko łzy. Coraz bardziej jestem nieszczęśliwa. Lecz czuję, że gdybym miała być jeszcze nieszczęśliwszą nie ustąpiłabym. A zresztą, czyż mogłabym pojechać za nim, kiedy on już mnie nie chce, kiedy nawet nie pisze do mnie? Jego miłość? Ależ on mię nienawidzi! Jestem córką kobiety, dla której czuje bezgraniczną nienawiść. Ach! co za męka! Czy to możliwe? Jeżeli jednak myśli w ten sposób o mojej matce, a jeśli ja nie dopełnię mego zadania, nigdy już nie zobaczymy się więcej? Takież czeka mnie życie?...

Piątek 7. sierpnia.

„Dopytywałam Hieronima i Rozalję o mamę. Zнали ją zaledwie przez parę tygodni, lecz pamiętają dobrze, a wszystko co mówili, sprawiło mi tyle radości. Miała być taka dobra i taka piękna! Wszyscy ją uwielbiali.

— Niezawsze była wesoła, mówiła mi Rozalja. Czy to trawiła ją już choroba, nie wiem, ale kiedy się uśmiechała, człowieka ogarniało wzruszenie.

„Moja biedna, kochana mama!“...

Sobota 8. sierpnia.

„Dziś rano słyszeliśmy daleki bardzo odgłos armat. Biją się w odległości dziesięciu mil.

„Przed chwilą przyszli Francuzi. Często z terasy widywałam ich, jak szli w dolinę Liseron'u. Ci będą mieszkali w zamku. Kapitan ich tłumaczył się uprzejmie. Z obawy, aby nie zrobić mi kłopotu, on i jego porucznicy zajmują pawilon, w którym mieszkał Hieronim z żoną; tam też jadają“.

Niedziela 9. sierpnia.

„Ciągłe żadnych wiadomości od Pawła. Ja również nie próbuję pisać do niego. Nie chcę, aby wiedział cośkolwiek o mnie aż do chwili, w której zbiorę wszystkie dowody.

„Ale co robić? I jak znaleźć dowody rzeczy, która zdarzyła się przed szesnastu laty? Szukam, badam, rozmyślam. Nic“.

Poniedziałek 10. sierpnia.

„Armaty grzmiały ciągle w oddali. A przecież kapitan powiedział mi, że żaden z ruchów nieprzyjacielskich ataku nie zapowiadał z tej strony“.

Wtorek 11. sierpnia.

„Przed chwilą żołnierz, który stał na straży w lesie, obok małej furtki, prowadzącej do wsi, został zabity pchnięciem noża. Przypuszczają, że chciał zagrozić przejście jakiemuś indywidjum, które usiłowało wyjść z parku. Lecz jakim sposobem ten ktoś dostał się w obręb zamku?“

Środa 12. sierpnia.

„Co to znaczy? Fakt ten poruszył mię do żywego i wydaje mi się niewytłumaczony. Zdarzają się zresztą i inne, które są również niesamowite, choć nie umiałabym powiedzieć dlaczego. Dziwi mnie bardzo, że kapitan i wszyscy żołnierze, których spotykam, zdają się do tego stopnia niefrasobliwi i nawet żartują między sobą. Doznaję takiego przyniatającego wrażenia, jak przed zbliżającą się burzą. Bez wątpienia, to stan nerwowy.

„Dziś rano zatem...

Paweł przerwał czytanie. Cały dół kartki, na której nakreślone były te słowa, jak również i następne, wydarto. Czyżby major wykradłszy dziennik, wyrwał zeń, dla jakichś nieznanych przyczyn kartki, na których Elżbieta dawała pewne wyjaśnienia? Dziennik mówił dalej:

Piątek 14. sierpnia.

„Musiałam zwierzyć się kapitanowi, nie mogłam inaczej. Zaprowadziłam go do uschniętego drzewa, otoczonego bluszczem i prosiłam, aby położył się na ziemię

i słuchał. Wykonał to z wielką uwagą i cierpliwością. Lecz nie dowiedział się niczego, a ja z kolei, powtórzywszy sama owo doświadczenie, musiałam przyznać mu rację.

— „Wszak widzi pani, niema tu nic niepokojącego.

— „Przysięgam panu, kapitanie, że onegdaj w tem miejscu, wydobywał się z tego drzewa jakiś dziwny szmer. I trwało to przez kilka minut.

„Odpowiedział, uśmiechając się nieznacznie:

— „Nic łatwiejszego, jak kazać ściąć to drzewo. Lecz czy nie sądzi pani, że w tym stanie naprężenia nerwów, w jakim znajdujemy się tu wszyscy, możemy być skłonni do pewnych urojeń i przywidzeń? Skądby bowiem mógł pochodzić ów dziwny szmer?...

„Tak, istotnie, on miał słuszność. A jednak, ja słyszałam... Widziałam...”

Sobota 15. sierpnia.

„Przyprowadzono wczoraj wieczorem dwu oficerów niemieckich i zamknięto ich w zolarni przy końcu zabudowań kuchennych.

„Dziś rano znaleziono już tylko ich uniformy.

„Że wyważyli drzwi, to jeszcze można sobie wyobrazić. Lecz badania kapitana wykazały, iż uciekli przebrani w mundury francuskie, a strażom powiedzieli, że mają zlecenie do Corvigny.

„Kto dostarczył im tych mundurów? Pozatem, musieli jeszcze znać hasło... Kto im je zdradził?...

„Podobno przez kilka dni z rzędu przychodziła jakaś wieśniaczka z jajami i z mlekiem, wieśniaczka trochę za dobrze ubrana; nie widziano jej już w dniu dzisiejszym... Lecz nic nie dowodzi jej współwiny.”

Niedziela 16. sierpnia.

„Kapitan namawiał mnie żywo do odjazdu. Już się teraz nie uśmiecha. Wydaje się bardzo zatroskany.

— „Jesteśmy otoczeni szpiegami — powiedział mi. Pozatem, pewne oznaki każą przypuszczać, że niebawem mogą nas zaatakować. Nie byłby to atak zbyt silny, mający na celu zdobycie przejścia do Corvigny, lecz w każdym razie położyliby łapę na zamku. Obowiązkiem moim jest uprzedzić panią, że każdej chwili możemy być zmuszeni cofnąć się do Corvigny i że byłoby więcej niż nieroztropnie, gdyby pani tu pozostała.

„Odpowiedziałam kapitanowi, że nic nie zmienię mego postanowienia.

„Hieronim i Rozalja zaklinali mnie także, abym wyjechała. Poco? Zostanę tutaj“.

Paweł przerwał po raz drugi. W tym miejscu brakowało w kalendarzu jednej kartki, następna zaś, z 18. sierpnia, naddarta u góry i u dołu, dawała tylko urywek dziennika, nakreślony przez Elżbietę pod tą datą.

„...i to jest powód, dla którego nie mówiłam o tem w liście, wysłanym do Pawła. Dowie się, że zostaję w Ornequin, dowie się o pobudkach mego postanowienia; oto wszystko. Lecz nie powinien wiedzieć o mojej nadziei.

„Ona narazie taka niepewna, zbudowana na tak bardzo drobnym szczególe! Mimo to, jestem pełna radości. Nie rozumię znaczenia tego drobiazgu, lecz bezwiednie wyczuwam jego doniosłość. Ach! niechaj kapitan powiększa patrole, niechaj żołnierze oglądają swą broń i objawiają chęć do walki. Niechaj nieprzyjaciół sadowi się w Ebrecourt, jak powiadają! Co mnie to obchodzi? Jedną jedyną myśl mnie pochłania! Czyżbym znalazła punkt wyjścia? Czyżbym była na dobrej drodze?

„Zobaczmy. Rozważmy“...

Kartka była wydarta w tym miejscu, gdzie Elżbieta zapuszczała się w drobiazgowy rozstrząsanie. Kto to zrobił? Bez wątpienia major Hermann, lecz dlaczego?

Wydarta była również pierwsza połowa kartki z środy 19. sierpnia. 19. sierpień, wilga dnia, w którym Niemcy zdobyli szturmem Ornequin, Corvigny i całą okolicę... Jakie słowa nakreśliła Elżbieta owego popołudnia, w środę? Jakiego dokonała odkrycia? Co przygotowywało się w cieniu?

Strach ogarniał Pawła. Przypomniawszy sobie, że o drugiej godzinie nad ranem, w czwartek, pierwszy huk dział zagrzmiął nad Corvigny; z sercem ściśniętem przeczytał drugą część kartki:

Jedenasta godzina w nocy.

„Wstałam i otworzyłam okno. Z wszystkich stron słysząc ujadanie psów. Opowiadają sobie wzajem, to znów przestają szczekać, zdają się nasłuchiwać i znowu zaczynają wyć; nigdy nie słyszałam takiego ujadania. Kiedy milkną,

zapada dziwna, przejmująca cisza; wsłuchuję się w nią, aby pochwycić niewyraźne szmery, budzące czujność psów.

„I mnie również się zdaje, że słyszeć jakieś odgłosy. Nie jest to szelest liści, niema to żadnego związku z tem czemś, co ożywia zazwyczaj wielką ciszę nocy. Szmer ten dochodzi niewiadomo skąd, a wrażenie moje jest tak silne, a tak zarazem dziwnie nieokreślone, że zapytuję równocześnie sama siebie, czy nie uwodzi mnie bicie własnego serca lub czy nie odgaduję odgłosów pochodu całej armji.

„Doprawdy, jestem szalona! Armja w pochodzie!? A nasze przednie straże na granicy? A nasze warty około zamku?... Byłaby przecież walka, wymiana strzałów karabinowych“...

Pierwsza godzina w nocy.

„Nie ruszyłam się od okna. Ujadanie psów ustało. Wszystko pogrążone w śnie. A oto zobaczyłam kogoś, kto wyłonił się z pomiędzy drzew i przechodził przez trawnik. Byłabym mogła myśleć, że to jeden z żołnierzy. Lecz kiedy cień ten mijał moje okno, było dość jasno, abym mogła rozróżnić sylwetkę kobiecą. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Rozalja. Lecz nie, sylweta była wysoka, chód lekki i prędki.

Chciałam już obudzić Hieronima i zaalarmować zamek. Nie uczyniłam tego. Cień rozwiął się od strony terasy. I nagle rozległ się krzyk ptaka... wydał mi się taki dziwny... A potem jasność na niebie, jakby blask spadającej gwiazdy.

„A potem już nic. Znowu cisza, wszystko jakby zamrle. Już nic. Jednakże, od tej chwili nie mogę się już położyć. Boję się, choć sama nie wiem czego. Z wszystkich krańców horyzontu wylaniają się wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Skradają się ku mnie, opasują mnie, biorą w niewolę, duszą mnie, przytłaczają. Brak mi tchu... Boję się... boję się...

IX.

Syn cesarza.

W zaciśniętych dłoniach trzymał Paweł kurczowo żałosne kartki, w które Elżbieta przelala całą trwogę swej udrećzonej duszy.

— Ach! nieszczęsna — myślał — jak ona musiała cierpieć! A przecież to dopiero początek drogi, która wiodła ją na śmierć...

Lękał się czytać dalej. Wiedział, że na tych kartkach znajdzie opis godzin męczarni Elżbiety, groźnych i nieubłaganych i byłby chciał wołać do niej:

— Uciekaj! Nie wyzywaj losu! Zapomniałem o przeszłości. Kocham cię.

Za późno! On to sam swoim okrucieństwem skazał ją na mękę i winien był teraz aż do końca towarzyszyć wszystkim etapom krzyżowej drogi...

Obrócił gwałtownie kartki.

Ujrzał trzy białe stronic, noszące daty 20., 21. i 22. sierpnia... dni zamętu, w czasie których nie mogła pisać. Dalej brakło kartek z 23. i 24. sierpnia. Te, bez wątpienia, zawierały szczegóły niewytłumaczonego najazdu.

Dziennik rozpoczynał się na nowo w środku rozdartej kartki z wtorku, 25-go.

— „Tak, Rozaljo, czuję się już zupełnie dobrze i dziękuję ci za twą opiekę.

— „Więc niema już gorączki?

— „Nie, Rozaljo, już dobrze.

— „Pani mówiła mi to samo wczoraj, a gorączka wróciła... może z powodu tych odwiedzin... Lecz dziś już ich nie będzie... Dopiero jutro... Dostałam rozkaz zawiadomienia pani... Jutro o godzinie piątej...

„Nie odpowiedziałam. Cóż pomoże buntować się? Żadne z słów upokarzających, które będę musiała słuchać, nie zaboli mnie bardziej, niż to wszystko, na co patrzę: zdeptany trawnik, wedety konne, konie na pikiecie, w alejach wózki i skrzynki z amunicją, połowa drzew powalona, na trawniku tarzają się oficerowie, piją, śpiewają, a naprzeciwko mnie, zatknięta nad mojem oknem chorągiew niemiecka. Ach! nędznicy!

„Zamykam oczy, aby nie widzieć. A to jeszcze straszniejsze... Ach! wspomnienie tej nocy... a dziś rano, gdy słońce wstało, wizja tych wszystkich trupów. Nieszczęśni! niektórzy żyli jeszcze, a wkoło nich tańczyły te potwory; słyszałam jęki konających, którzy błagali, aby ich dobito.

„A potem... a potem... Lecz nie chcę już myśleć o tem. nie chcę myśleć o niczem, coby mogło zachwiać moją odwagę i nadzieję.

„Pawle, o tobie myśląc, piszę te słowa. Coś mi mówi, że jeżeli zdarzy mi się nieszczęście, ty będziesz to czytał,

muszę więc mieć siłę, by pisać dalej, byś znał szczegóły każdego dnia. Ty może z opowiadania mego rozumiesz już to wszystko, co dla mnie jest jeszcze takie ciemne. Jaki związek istnieje między przeszłością a teraźniejszością, między zbrodnią z dawnych dni a niewytłumaczonym napadem wczorajszej nocy? Nie wiem. Podałam ci szczegółowo tok zdarzeń i moje przypuszczenia. A ty, ty sam już wysnujesz resztę i dojdiesz do kresu prawdy“.

Sroda 26. sierpnia.

„Taki hałas w zamku! Biegają tam i zpowrotem, w wszystkich kierunkach, a szczególnie na górze, w salonnach nad moim pokojem. Przed godziną wjechało na trawnik sześć samochodów ciężarowych i sześć osobowych. Ciężarowe były puste. Z każdego osobowego wyskoczyły dwie czy trzy panie. Niemcy wymachiwali rękami i śmiali się hałaśliwie. Oficerowie wyszli na ich spotkanie, tyle było wybuchów radości. Później, wszyscy skierowali się do zamku. Co zamierzają? Jaki mają cel?

„Lecz zdaje mi się, że słyhać kroki w korytarzu... Już piąta godzina...

„Pukanie do drzwi...

„Weszło ich pięciu, naprzód on i czterech oficerów uniżonych, wpół zgiętych przed nim.

„Rzekł do nich po francusku, tonem suchym:

— „Widzicie panowie, zakazuję wam tknąć czegokolwiek, co znajduje się w tym pokoju i w mieszkaniu należącym do pani. Resztę, z wyjątkiem dwu wielkich salonów, oddaję wam. Pozostawicie tu to, co może wam być potrzebne, a zabierzcie z sobą wszystko, co się wam podoba. To wojna, to prawo wojenne“.

„Z jakimż akcentem idjotycznego przekonania wymówił te słowa: „To prawo wojenne!“ I powtórzył:

— „Zatem z mieszkania tej pani nie wolno ruszyć ani jednego mebla. Ja znam formy towarzyskie“.

„Patrzy na mnie i zdaje się mówić:

— „A co! jaki jestem rycerski! Mógłbym zabrać stąd wszystko. Lecz jestem Niemcem i jako taki, znam się na formach.

„Oczekuje podziękowania. Zwracam się doń z słowami:

— „Zaczyna się grabież? Rozumię, poco przyjechały wozy.

— „Nie grabi się tego, co z prawa wojennego przynależy do pani — odpowiada.

— „O!... A prawo wojenne nie rozciąga się na meble i dzieła sztuki z dwu tamtych salonów?

„Czerwienieje. Rzucam mu z śmiechem :

— „Ja rozumię, to zastrzeżone dla pana. Dobry wybór. Same rzeczy cenne i bardzo wartościowe. Wybiórki rozdziela między siebie pańscy żołnierze.

„Oficerowie odwracają się z złością. On staje się jeszcze bardziej czerwony. Twarz jego okrągła, czoło niskie, włosy bardzo jasne, wypomadowane, przedzielone przez środek nieskazitelnym rozdziałem. Odgaduję, jak się wysila, aby znaleźć jakąś złośliwą odpowiedź. Zbliża się wkońcu do mnie i mówi tonem zwycięskim :

„Francuzi zostali pobici pod Charleroi, i pobici pod Maubeuge, pobici wszędzie. Cofają się na całej linii. Los wojny jest ustalony.

„Mimo strasznej męki, zachowuję zupełny spokój, wyzywam go spojrzeniem i szepczę :

— „Parobek !

„Zachwiał się. Towarzysze jego dosłyszeli i widzą, jak jeden z nich podnosi rękę do szabli. Lecz on? Cóż uczyni? Cóż powie? Czuję, że jest bardzo zakłopotany, że dotknięta jest jego godność osobista.

— „Pani nie wie zapewne, kto ja jestem, — powiedział.

— „Owszem, panie. Jesteś księciem Konradem, jednym z synów cesarza. I cóż z tego?

„Nowy odruch wyniosłej dumy. Prostuje się dumnie. Czekam na groźby, na objawy złości ; lecz nie, odpowiada mi wybuch śmiechu, śmiech udany wielkiego pana, który zanedo jest pogardliwy, aby się obrażać, za inteligentny, aby się dąsać.

— „Francuzeczka ! Prawda, panowie, jaka urocza ! Słyszeliście ? Co za impertynencja ! To Paryżanka, panowie, w całej pełni swego wdzięku i złośliwości !

„I kłaniając mi się szerokim gestem, odszedł żartując :

— „Francuzeczka ! Ach ! panowie, te miłe Francuzeczki !...

Czwartek 27. sierpnia.

„Przez cały dzień ruch, przeprowadzki. Wozy naładowane zdobyczą toczą się ku granicy.

„Ślubny prezent od mego biednego ojca, wszystkie jego zbiory gromadzone tak cierpliwie i miłośnie — zni-

kają; rozwiewa się całe to rozkoszne i drogocenne tło, na którem ja i Paweł mieliśmy pędzić wspólne życie. Co za ból!

„Wieści z frontu coraz gorsze. Płakałam bardzo długo.

„Przyszedł książę Konrad. Musiałam go przyjąć, uprzedził mnie bowiem przez Rozalję, że jeżeli nie będę przyjmowała jego odwiedzin, zemści się to na mieszkańcach Ornequin'u!”

W tem miejscu Elżbieta przerwała swój dziennik. W dwa dni później, pod datą 29. sierpnia pisała dalej:

„Przyszedł wczoraj. Dziś także. Usiłuje być dowcipnym, kulturalnym. Mówi o literaturze i muzyce, Goethem, Wagnerze... Mówi zresztą ciągle sam i to wprowadza go w pasję.

— „Niechże pani odpowie coś wreszcie! — krzyknął wkońcu. — Cóż to! niema w tem nic hańbiącego, nawet dla Francuzki, aby porozmawiać z księciem Konradem!

— „Kobieta-wiezień nie rozmawia ze swym katem.

„Zaprzeczył żywo.

— „Lecz pani nie jest w więzieniu, cóż u licha!

— „Mogę więc wyjść z tego zamku?

— „Może pani przechadzać się... w parku...

— „Zatem wpośród czterech ścian, zamknięta.

— „Więc czegoż pani chce właściwie?

— „Odejść stąd i żyć... gdzie pan zażąda, choćby w Corvigny.

— „To znaczy zdala ode mnie!

„Nie dawałam odpowiedzi; pochylił się lekko i podjął cichym głosem:

— „Pani nienawidzi mnie, prawda? Och! ja to wiem. Znam dobrze kobiety. Lecz pani nienawidzi księcia Konrada, nieprawdaż? Niemca... Zwycięzcy... Bo właściwie, niema powodu, dla któregoby człowiek sam, jako taki, był pani... antypatyczny... A w tej chwili, właśnie człowiek jest w grze... i stara się podobać... Pani rozumie?... Zatem...

„Stałam naprzeciwko niego, twarzą w twarz. Nie wymówiłam ani słowa, lecz on musiał dostrzec w mych oczach taką odrazę, że z miną bezdennie głupiałą zatrzymał się w środku zdania. Po chwili, natura zwyciężyła: ordynarnie zagroził mi pięścią i mruczając przekleństwa wyszedł, trzaskając drzwiami“...

Znowu brakowało dwu kartek w dzienniku. Paweł był siny z bólu. Nigdy żadne cierpienie nie zadało mu takiej męki. Miał wrażenie, że jego droga, biedna Elżbieta żyje jeszcze i walczy pod jego wzrokiem i czuje na sobie jego spojrzenia. I nic nie mogło wstrząsnąć nim głębiej i silniej, nad ów krzyk osamotnienia i miłości, jaki dobywał się z kartki datowanej 1-szy września.

„Pawle, mój drogi Pawle, nie lękaj się. Tak, podarłam te dwie kartki, ponieważ nie chciałam, abyś dowiedział się kiedykolwiek o tych ohydnych rzeczach. Ale to nie oddali cię ode mnie, prawda? Nie jestem mniej godna kochania, dlatego, że jakiś tam barbarzyńca ośmielił się znieważyć mnie, prawda? Och! wszystko to, co on powiedział, Pawle ...wczoraj jeszcze... jego zniewagi, jego wstrętne groźby i bardziej jeszcze bezecne obietnice... i cała jego wściekłość... Nie! nie chcę ci tego powtarzać. Zwierając się temu dziennikowi, chciałam zwierzyć tobie moje myśli, uczynki moje z każdego dnia. Pragnęłam dać tylko świadectwo mojego bólu. Ale to, to zupełnie co innego — i nie mam odwagi... Daruj mi, że zamilczę. Niechaj wystarczy ci świadomość mej zniewagi, abyś mógł mnie kiedyś pomścić. Nie żądam więcej ode mnie...”

Istotnie, następnych dni Elżbieta nie opowiadała już szczegółowo o codziennych wizytach księcia Konrada, czuło się jednakże z jej słów, że wróg osaczał ją ciągle uparcie. Były to zapiski krótkie, urywane, w których nie miała już odwagi wypowiadać się tak szczerze, jak dawniej; rzucała je dorywczo na kartki dziennika, znacząc tylko dni, nie dbając o daty.

Paweł odczytywał je z drżeniem. A nowe wyznania pogłębiały jego przerażenie.

Czwartek.

„Rozalja rozpytuje ich każdego ranka. Odwrót Francuzów trwa dalej. Podobno nawet odbywa się w popłochu i Paryż ma być opuszczony. Rząd uciekł. Jesteśmy zgubieni.”

Siódma godzina wieczór.

„Swoim zwyczajem przechadza się pod moimi oknami. Towarzyszy mu jakaś kobieta; widziałam ją już kilka razy zdaleka, a zawsze ma na sobie wielką kapotę wieśniaczką, na głowie zaś koronkową chusteczkę, która zasłania jej twarz. Najczęstszym jednak towarzyszem jego przechadzek wkoło gazonu jest oficer, którego zwą majorem.

Ten również ma głowę wtuloną w kołnierz podniesiony u swego szarego płaszcza.“

Piątek.

„Żołnierze tańczą na trawniku, muzyka gra zaś hymny niemieckie, a dzwony Ornequin'u biją rozgłośnie. Świącą wkroczenie swych wojsk do Paryża. Jakżeż w to wątpić? Niestety! Ich radość jest najlepszym potwierdzeniem prawdy“.

Scbota.

„Między mojem mieszkaniem a buduaem, w którym wisi portret mamy, jest pokój, dawniej przez nią zajmowany. Mieszka w nim teraz major. Jest on zaufanym przyjaciелеm księcia i podobno wybitną osobistością, znaną żołnierzom pod imieniem majora Hermanna. Wobec księcia nie jest tak uniżony i pokorny jak inni oficerowie, przeciwnie, odnosi się doń z pewną poufałością.

„Idą oto teraz aleją, jeden obok drugiego. Księżę opiera się na ramieniu majora Hermanna. Odgaduję, że mówią o mnie i różnią się w zdaniach. Major jest jakby rozzłoszczony.“

10 godzina rano.

„Nie myliłam się. Rozalja powiedziała mi, że zaszła między nimi jakaś gwałtowna sprzeczka“.

Wtorek 8. września.

„W zachowaniu się ich wszystkich jest coś dziwnego. Księżę, major, oficerowie zdają się zdenerwowani. Żołnierze nie śpiewają już nawet. Słysząc wrzawę kłótni. Czyżby zdarzenia przybrały tok dla nas korzystny?“

Czwartek.

„Wzrasta ruch i podniecenie. Co chwila przyjeżdżają podobno kurjerzy. Oficerowie odesłali do Niemiec część swoich rzeczy. Nabieram dużej otuchy. Choć z drugiej strony...

„Ach! mój drogi Pawle, gdybyś znał mękę tych wizyt!... To już nie słodko-uprzejmy człowiek z pierwszych dni. Zrzucił maskę... Lecz nie, nie, zamilczę o tem...“

Piątek.

„Cała wieś Ornequin wysiedlona została do Niemiec. Nie chcą, aby został jeden choćby świadek tego, co działo się tu w ciągu tej okropnej nocy, którą ci opisałam.

Niedziela wieczór.

„A więc porażka, odwrót z pod Paryża. Wyznał mi to, zgrzytając z wściekłości i rzucając mi pogrożki. Jestem zakładnikiem, na którego spada cała zemsta...”

Wtorek.

„Pawle, jeżeli spotkasz się z nim kiedy w walce, zabij go jak psa. Ale czy ci ludzie biją się wogóle?! Ach! sama nie wiem już co mówię... Tracę zmysły. Dlaczegoż zostałam w zamku? Trzeba było zabrać mnie siłą, Pawle...

„Czy ty wiesz co on wymyślił?... Ach! podły... Pozostawiono dwunastu mieszkańców Ornequin'u jako zakładników i ja to, ja mam być odpowiedzialną za ich życie... Czy pojmujesz całą grozę tego? Od mego zachowania się zależy czy będą żyli, czy też zostaną rozstrzelani kolejno... Jak wierzyć w taką potworność? Czy chcecie mię tylko nastraszyć? Ach! co za podłość w tej groźbie! Co za piekło! Wolałabym umrzeć...”

Dziewiąta godzina wieczór.

„...Umrzeć? Lecz nie, poco umierać? Przyszła Rozalja. Mąż jej porozumiał się z jedną z straży, która będzie dziś w nocy trzymała wartę przy małej furtce w parku, poza kapliczką.

„O trzeciej godzinie nad ranem Rozalja obudzi mnie i uciekniemy... Hieronim zna jakąś niedostępną kryjówkę w lesie... Boże mój żeby się nam tylko udało!”

Jedenasta godzina wieczór.

„Co się stało? Dlaczego zerwałam się z snu? Wszystko to tylko mara, jestem pewna... a jednak dygocę cała jak w febrze i zaledwie mogę pisać... Ta szklanka wody na moim stoliku... Czemu nie mam odwagi napić się tej wody, jak to czynię zazwyczaj w bezsennych godzinach?

Ach! Wstrętna zmora! Czy potrafię zapomnieć kiedy to, co widziałam we śnie? Jestem pewna, że spałam; położyłam się, aby odpocząć trochę przed zamierzoną ucieczką

i w śnie zobaczyłam to widmo kobiece!... Widmo?... Ależ tak, tylko widma mogą przekraczać próg drzwi, zamkniętych na klucz. Gdy przesuwiała się przez pokój, kroki jej były tak ciche, że zaledwie dosłyszałam nieuchwytny prawie szelest jej sukni.

„Poco tu przyszła? Przy świetle nocnej lampki widziałam, jak okrążyła stół i zbliżyła się ostrożnie do mego łóżka; głowa jej tonęła w ciemnościach. Przestraszyłam się tak bardzo, iż zamknęłam oczy, aby myślała, że śpię. Lecz świadomość jej obecności wzrastała we mnie; śledziłam każde jej poruszenie. Pochyliwszy się nade mną patrzyła we mnie długo, jakby chcąc zapamiętać rysy mej twarzy. Czyż mogła nie słyszeć przyspieszonych uderzeń mego serca? Ja słyszałam wyraźnie miarowy jej oddech. Jakaż straszna męczarnia! Kto była ta kobieta? Poco przyszła?

„Przestała badać mnie wzrokiem i odsunęła się trochę. Poprzez zamknięte powieki zgadywałam, że obok mnie pochylona jest nad jakąś robotą, która pochłania ją całkowicie. Po pewnym czasie nabrałam wewnętrznej pewności, że przestała już wpatrywać się we mnie i uległam pokusie otworzenia oczu. Chciałam widzieć, choćby przez jedną sekundę jej twarz, jej ruch...

„I patrzałam.

„Boże mój, jakim cudem miałam siłę powstrzymać okrzyk, który dobywał się z całego mego jestestwa?

„Kobieta, która stała opodal mnie, której twarz w blasku lampki nocnej widziałam wyraźnie, była to...

„Och! nie mogę napisać tego bluźnierstwa! Gdybym była ujrzała ją modlącą się przy mnie, gdybym była zobaczyła nagle twarz słodką, uśmiechniętą przez łzy, nie byłabym zadrżała przed nieoczekiwaną wizją zmarłej. Lecz ten okrutny wyraz nienawiści i złości, dziki, piekielny... nic na świecie nie mogło obudzić we mnie większego przerażenia. I może właśnie dlatego, może dzięki jakiejś jakby nadnaturalności tego niezwykłego obrazu, zamarł mi krzyk na ustach; i teraz jestem prawie spokojna. Już w chwili, gdy oczy moje widziały, zrozumiałam, że padam ofiarą zmory.

„Mamo, mamó, ty nie miałaś nigdy i nie możesz mieć tego wyrazu, prawda? Ty byłaś dobra, nieprawdaż? Uśmiechnęłaś się? I gdybyś żyła jeszcze, miałabyś zawsze ten sam wyraz dobroci i słodczy? Mamo droga moja, od owego okropnego wieczoru, w którym Paweł rozpoznał twój portret, wchodziłam często do tego pokoju, aby „nauczyć się“ twojej twarzy, która zatarła mi się w pamięci —

byłam tak mała, gdy ty umarłaś mamó! — a chociaż cierpiałam nad tem, że malarz nadał ci wyraz inny od tego, jakiego byłabym pragnęła, przecież nie był on tak zły i okrutny, jak przed chwilą. Dlaczegoż miałaś mnie nienawidzieć? Jestem córką twoją. Ojciec mówił mi często, że ty i ja miałyśmy ten sam uśmiech i że gdy patrzyłaś na mnie, oczy twoje zachodziły łzami czułości. Zatem... zatem... ty nie masz do mnie nienawiści, prawda? Więc śniłam tylko...

„A jeżeli nie śniłam, widząc jakąś kobietę w moim pokoju, to w każdym razie w śnie zdawało mi się tylko, że ona ma rysy twojej twarzy. Zwidzenie... majaki... Siłą wpatrywania się w twój portret i ciągłego myślenia o tobie, nadałam nieznanej kobiecie twarz znaną mi i bliską... lecz to ona, nie ty, miała ten ohydny wyraz złości.

„Więc nie napiję się tej wody. Ona wlała tam pewno truciznę... lub coś, aby mię uśpić głęboko i wydać w ręce księcia... I przypomina mi się kobieta, która przechadza się z nim czasami...

„Lecz ja nic nie wiem... Nic nie rozumiem... Myśli moje wirują błędnie w wyczerpanym mózgu...

„...Wkrótce już trzecia godzina... Czekam na Rozalję. Noc jest spokojna. Żadnego szmeru ni w zamku ni w pobliżu.

„...Zegar wydzwania trzecią. Ach! uciec stąd!... być wolną!“

X.

75 czy 155?

Paweł Delroze trwożnie obrócił kartkę, jakby był przypuszcział, że ów plan ucieczki mógł udać się szczęśliwie i uderzył weń cios nowego bólu, gdy przeczytał pierwsze linje nakreślone następnego ranka pismem prawie nieczytelnem:

„Jesteśmy wysledzeni, zdradzeni. Dwudziestu ludzi szpiegowało nas... Rzucili się jak dzikie zwierzęta. Jestem teraz zamknięta w pawilonie w parku. Mała komórka obok służy za więzienie Hieronimowi i Rozalji. Oboje są związani i usta mają zakneblowane. Ja jestem wolna, lecz żołnierze trzymają straż przy drzwiach. Słyszę jak rozmawiają.“

Południe.

„Trudno mi jest pisać do ciebie, Pawle. Co chwila żołnierz otwiera drzwi i jestem pod bezustannym nadzorem. Nie rewidowano mnie, schowałam więc kartki mego dziennika i piszę prędko, urywkami, w ciemności...

„Dziennik mój !... Czy go znajdziesz, Pawle ?

„Czy dowiesz się o tem co przechodziłam, co stało się ze mną ?

„Oby mi go tylko nie wydarli !...

„...Przyniesiono chleb i wodę. Ciągłe jestem oddzielona od Hieronima i Rozalji. Im jeść nie dano.“

Godzina druga.

Rozalji udało się zedrzyć knebel z ust. Mówi do mnie półgłosem z swej kryjówki. Słyszała rozmowę pilnujących nas żołnierzy niemieckich ; dowiaduję się, że ksiązę Konrad odjechał wczoraj wieczorem do Corvigny, że Francuzi zbliżają się, a tu jest wielkie zaniepokojenie. Czy będą się bronić ? Czy cofną się ku granicy ?... To major Hermann udaremnił nam naszą ucieczkę. Rozalja mówi, że jesteśmy zgubieni...”

Pół do trzeciej.

„Musiałymy przerwać naszą rozmowę. Więc teraz dopiero zapytałam ją, co chciała powiedzieć... Dlaczego jesteśmy zgubieni ?... Ona utrzymuje, że major Hermann to szatańska istota.

— „Tak, szatańska, powtórzyła, a ponieważ on ma specjalne powody działania przeciwko pani...

— „Jakie powody Rozaljo ?

— „Zaraz to pani wyjaśnię... Ale proszę być pewną, że jeżeli ksiązę Konrad nie wróci na czas z Corvigny, aby nas uratować, to major Hermann skorzysta z tego i każe rozstrzelać nas wszystkich troje...”

Zawył z bólu Paweł, patrząc na to okropne słowo, skreślone ręką jego biednej Elżbiety. Było to już na ostatniej kartce. Dalej widniało tylko kilka zdań, napisanych dorywczo, wpoprzek papieru, najwidoczniej poomacku. Te zdania drżące jakby czkawka przedśmiertelna...

„...Dzwony... Wiatr niesie je z Corvigny... Co to znaczy ?... Wojska francuskie ?... Pawle, Pawle, ty może jesteś z nimi !...

„...Weszło dwu żołnierzy; śmiali się mówiąc:

— „Kaput piękna pani!... Kaput wszystko troje... Major Hermann powiedział: kaput...

„...Jeszcze jestem sama... Mamy umrzeć... Lecz Rozalja chciałaby ze mną mówić... Nie ma odwagi...“

Piąta godzina.

„...Francuskie działa... Pociski wybuchają wkoło zamku... Och! gdyby jeden z nich mógł mnie dosięgnąć!... Słyszę głos Rozalji... Co też ona chce mi powiedzieć?... Jaką tajemnicę podchwyciła?...

„...Ach! co za potworność! Co za ohydna prawda! Rozalja wyznała mi to. Boże mój, błagam cię, pozwól, bym mogła to jeszcze napisać... Pawle, nigdy nie mógłbyś przypuścić... Trzeba, abys dowiedział się, zanim ja umrę... Pawle...

Reszta kartki została wydartą, następne zaś aż do końca miesiąca były niezapisane. Czy Elżbiecie starczyło jeszcze czasu i sił na skreślenie zeznań Rozalji?

Paweł nie zadawał sobie nawet tego pytania. Cóż obchodziły go zeznania te i mroki otaczające znowu i na zawsze prawdę, której nie mógł już odkryć? Cóż obchodziła go zemsta i księżę Konrad, i major Hermann i wszyscy ci barbarzyńcy, którzy męczyli i zabijali kobiety? Elżbieta nie żyła. Własnymi oczyma, rzecz można, patrzył na jej śmierć.

Poza tą straszną rzeczywistością nie istniało dlań nic na świecie. I słaniający się z bólu, odrętwiały cierpieniem, z oczyma wpatrzonemi w kartki dziennika, na których nieszczęsna kobieta kreśliła etapy najokrutniejszej z męczarni, czuł Paweł jak ogarniało go zwołna olbrzymie pragnienie unicestwienia się, zapomnienia. Elżbieta przywoływała go. I pocóż już teraz walczyć? Czemuż nie pójść za nią?

Ktoś uderzył go w ramię. Czyjaś ręka chwyciła trzymany przezeń rewolwer. Usłyszał głos Bernarda:

— Zostaw to Pawle. Jeżeli sądzisz, że w obecnej chwili żołnierz ma prawo pozbawiać się życia, będziesz mógł to czynić swobodnie za chwilę, lecz wysłuchaj mnie przedtem...

Paweł nie sprzeciwił się. Owiała go wprawdzie pokusa śmierci, lecz niemal bez jego wiedzy i woli. I chociaż uległ jej może, w chwili szaleństwa, był jednak jeszcze

w tym stanie umysłu, w którym szybko odzyskuje się równowagę.

— Mów, odparł.

— To nie potrwa długo. Najwyżej trzy minuty wyjaśnienia. Posłuchaj.

• I Bernard zaczął mówić :

— Poznaję po piśmie, że znalazłeś dziennik, kreślony przez Elżbietę. Czy potwierdza on to, co już wiedziałeś ?

— Tak jest.

— Elżbieta piszac go, była pod grozą śmierci, na równi z Hieronimem i Rozalją, — prawda ?

— Tak.

— I wszyscy troje zostali rozstrzelani w tym samym dniu, w którym ty i ja przybyliśmy do Corvigny, to jest w środę 16-go ?

— Tak. To znaczy między piątą a szóstą godziną wieczorem, w wilję czwartku, w którym mogliśmy byli przybyć do zamku Ornequin ?

— Tak, lecz poco te pytania ?

— Poco ? Oto słuchaj, Pawle. Wziąłem od ciebie i mam w moich rękach odłamek granatu, który znalazłeś w ścianie pawilonu, w miejscu, gdzie rozstrzelano Elżbietę. Oto jest. Przyklejony był doń jeszcze pukiel włosów.

— Więc cóż z tego ?

— Otóż rozmawiałem właśnie przed chwilą z żołnierzem artylerji, który przelotnie bawi w zamku ; z słów jego wynika, że odłamek ten nie pochodzi z pocisku, wyrzuconego przez dział 75-tej baterji, lecz z pocisku dział 155-tej, z Rimailho.

— Nie rozumię.

— Nie rozumiesz, ponieważ nie wiesz lub też zapomniałeś o fakcie, który przypomniał mi właśnie ów artylerzysta. W pamiętny wieczór, w środę 16-go, działa, które otworzyły ogień i rzuciły kilka pocisków na zamek, w chwili, gdy właśnie odbywała się egzekucja, były to działa baterji 75-tej, zaś nasze Rimailhos 155-tej strzelały dopiero nazajutrz, w czwartek, podczas naszego marszu na zamek. Wobec tego, że Elżbieta została rozstrzelana i pochowana w środę koło szóstej godziny wieczorem, jest wprost fizyczną niemożliwością, aby odłamek pocisku rzuconego przez Rimailho wyrwał jej pasmo włosów, Rimailhos strzelały bowiem dopiero w czwartek rano.

— A zatem ? — szepnął Paweł zmienionym głosem.

— A zatem, jasną jest rzeczą, że odłamek pocisku z Rimailho, podniesiony z ziemi w czwartek rano, był

umyślnie wplątany w pukle włosów, uciętych poprzedniego wieczora.

— Jesteś szalony! W jakim celu zrobionoby to?

Uśmiechnął się Bernard.

— Mój Boże, w tym tylko celu, aby wywołać złudzenie, że Elżbieta została rozstrzelana, kiedy tak nie było w rzeczywistości.

Rzucił się Paweł na szwagra i chwytając go w ramiona, wołał:

— Ty coś wiesz, Bernardzie! Bo inaczej, czyż mógłbyś się śmiać? Mów więc, mów! A te kule w ścianie pawilonu? A ten łańcuch żelazny? To trzecie kółko?

— Otóż to właśnie. Za wiele reżyserji. Gdy odbywa się egzekucja, czyż widzi się tak kiedy ślady kul? A przytem, czy odnalazłeś trupa Elżbiety? Któż dowiódł ci, że po straceniu Hieronima i Rozalji nie ulitowali się nad twoją żoną? Lub może, kto wie, czyjeś wstawiennictwo...

Paweł czuł, jak ogarnia go niespodzianie promień nadziei. Skazaną przez majora Hermanna Elżbietę uratował może książę Konrad, powróciwszy z Corvigny przed wykonaniem egzekucji...

Szeptał:

— Być może... tak... być może... Oto major Hermann, wiedząc o naszej bytności w Corvigny — przypomnij sobie twe spotkanie z ową wieśniaczką — major Hermann, chcąc, aby Elżbieta była dla nas umarłą, abyśmy zaniechali poszukiwania jej, ułożył tą całą komedję. Ach! jak to sprawdzić?

Bernard, zbliżając się do szwagra, rzekł doń z powagą:

— Nie nadzieję przynoszę ci Pawle, lecz pewność. Chciałem cię do tego przygotować. Teraz słuchaj. Jeżeli badałem tego artylerzystę, to poto tylko, by sprawdzić fakty, o których już wiedziałem. Tak, przed chwilą byłem w wsi Ornequin, właśnie gdy przybył z granicy konwój niemieckich jeńców. Jeden z nich, z którym mogłem zamienić kilka słów, wchodził w skład garnizonu, zajmującego przedtem zamek. On więc widział wszystko. On wie. A więc nie rozstrzelano Elżbiety. Książę Konrad przeszkodził egzekucji.

— Co ty mówisz? Co mówisz? — krzyknął Paweł oszalały z radości... Jesteś więc pewny? Ona żyje?

— Tak, żyje... Uprowadzili ją do Niemiec.

— Lecz kiedy? Bo przecież major Hermann mógł ją dopędzić i przeprowadzić swe zamiary.

— Nie.

— Skąd wiesz o tem ?

— Od tego żołnierza jeńca. Francuzkę, którą widywał tutaj, widział również dziś rano.

— Gdzie ?

— Niedaleko od granicy, w pewnej willi w okolicy Ebrecourt, pod opieką tego, który ją wyratował, a który na pewno zdolny jest obronić ją przed majorem Hermannem.

— Co ty mówisz ? — powtórzył Paweł, tym razem głucho, z twarzą zmienioną.

— Mówię, że ksiązę Konrad, który zdaje się po amatorsku wypełnia swój zawód żołnierski — uchodzi on zresztą za kretyń, nawet wśród swojej rodziny — urządził swą kwaterę główną w Ebrecourt i codzień składa wizyty Elżbiecie, a wobec tego wszelkie obawy...

Bernard przerwał nagle i zapytał osłupiały :

— Co tobie ? Jesteś trupio błądy...

Paweł chwycił szwagra za ramiona i wyszeptał :

— Elżbieta jest zgubiona. Ksiązę Konrad rozkochał się w niej... pamiętasz, mówiono nam już o tem... a ten dziennik jej jest jednym krzykiem trwogi... Rozkochał się w niej i nie wypuści swej ofiary, rozumiesz ? Nie cofnie się przed niczem !

— Och ! Pawle, nie mogę uwierzyć...

— Przed niczem, powiadam ci. To nie tylko kretyń, to łajdak i nędznik. Jak przeczytasz ten dziennik, to zobaczysz... Zresztą dość już słów, Bernardzie. Teraz trzeba działać i to natychmiast, nie tracąc czasu na rozmyślanie.

— Co chcesz uczynić ?

— Wyrwać Elżbietę z rąk tego człowieka, wyzwolić ją...

— Niemożliwe.

— Niemożliwe ? Jesteśmy o trzy mile od miejsca, w którym żona moja jest uwięziona, narażona na zniewagi tego złoczyńcy i ty wyobrażasz sobie, że ja zostanę tutaj z założonemi rękami ? Słuchaj bracie, musiałbym chyba nie mieć krwi w żyłach ! Do dzieła, Bernardzie, a jeżeli ty się zawahasz, pójdę sam.

— Pójdiesz sam... lecz dokąd ?

— Tam. Nie potrzebuję nikogo... Nie trzeba mi żadnej pomocy. Niemiecki mundur, oto wszystko. Pójdę pod osłoną nocy. Zabiję tych, których należy zabić i jutro rano Elżbieta będzie tutaj, wolna.

Bernard potrząsnął głową i rzekł ze słodyczą :

— Mój biedny Pawle !

— Co to? Co to znaczy?

— To znaczy, że ja pierwszy zgodziłbym się na to i że poszlibyśmy razem na pomoc Elżbiecie, gdyby... Nie chodzi tu o niebezpieczeństwa. Niestety...

— Niestety?

— Otóż słuchaj Pawle. O ofenzywie silniejszej z tej strony niema mowy. Pułki rezerwowe i obrony krajowej są powołane. My zaś odchodzimy stąd.

— Odchodzimy? — wyjąkał Paweł przerażony.

— Tak jest, jeszcze dziś wieczorem. Dziś wieczór dywizja nasza zbiera się w Corvigny i idziemy w nieznanym kierunku. Reims może, albo Arras. Zachód lub północ. Widzisz więc, mój biedny Pawle, że plan twój jest niewykonalny. Lecz bądź dzielny. I nie miej tak rozpaczliwej miny. Rozdzierasz mi serce... No, no, pomyśl przecie, Elżbiecie nic nie grozi... Potrafi się obronić...

Paweł nie odpowiedział ani słowa. Przypomnił sobie to ohydne zdanie księcia Konrada, przytoczone w dzienniku Elżbiety: „To wojna... to prawo wojenne“. Olbrzymi ciężar tego prawa czuł najlepiej sam na sobie, lecz czuł równocześnie, że poddaje się temu prawu w jego najszlachetniejszej, najwznioślejszej formie: poświęceniu osobistemu dla wszystkiego, czego wymaga zbawienie narodu.

Prawo wojny? Nie. Obowiązek żołnierski jest tak święty, że nie podlega on żadnemu rozumowaniu, a choćby najbardziej nieubłagany, nie powinien nigdy wywołać ani drżenia skargi w najtajniejszej nawet głębi duszy. Fakt, że Elżbieta znajdowała się w obliczu śmierci lub hańby, musiał być obojętny dla sierżanta Pawła Delroze i nie mógł ani na sekundę jedną odwieść go z drogi, którą mu iść kazano. Był przede wszystkim żołnierzem, potem człowiekiem. Nie miał innego obowiązku nad obowiązek wobec Francji, swej ukochanej, nieszczęśliwej ojczyzny. •

Złożył starannie dziennik Elżbiety i wyszedł w towarzystwie swego szwagra.

Gdy noc zapadała, opuszczał zamek Ornequin.



CZEŚĆ DRUGA

I.

Irena... nędza.

Toul, Bar-le-Duc, Vitry-le-François... Małe miasteczka przesuwają się przed oczyma oddziału, z którym szli Bernard i Paweł ku zachodowi Francji. Przed nimi i za nimi ciągnęły niezliczone wojska i tabory. Minęli przedmieścia Paryża, poczem zwrócili się ku północy, w stronę Beauvais, Amiens, Arras.

Należało zdążyć do granicy, złączyć się z bohaterskimi Belgami i to złączyć jak najwyżej na północ. Idąc tak, co krok wydzielali coraz to nowy szmat ziemi z rąk napastnika.

Porucznik Paweł Delroze — nowy stopień otrzymał w czasie marszu — odbywał ów pochód ku północy, rzecz można, jakby w śnie; bił się codziennie, narażony każdej minuty na niebezpieczeństwo śmierci, podniecał do walki swoich ludzi z nieprzewyciężonym ogniem i zapalem, lecz robił to wszystko jakby bezwiednie, pod automatycznym jakby nakazem podświadomej woli.

Kiedy Bernard używał życia śmiejąc się, a wesołością swą i werwą podtrzymywał odwagę swych towarzyszy, Paweł był milczący, ponury i roztargniony. Niewygody, trudy, zmęczenie, wszystko mu było obojętne.

Niemniej jednakże ten marsz naprzód sprawiał mu głęboką rozkosz; wyznawał to niekiedy Bernardowi. Miał wrażenie, że zdąża do określonego celu, jedynego, jaki zajmował go istotnie: do wyswobodzenia Elżbiety. A że atakował tę granicę, a nie tamtą od wschodu, wszystko jedno, zawsze, w każdym razie, szedł z całą nienawiścią na wroga. Pobić go, tu czy tam, mniejsza o to, tak czy tak przynosiło to wolność Elżbiecie.

— Dojdziemy, — mówił mu Bernard. — Nie wątpisz chyba, że Elżbieta poradzi sobie z tym błaznem. Tymcza-

sem my bierzemy górę nad Niemcami, walimy przez Belgję, wpadamy na tyły Konrada i w mig zdobywamy Ebre-court. A co? Nie cieszy cię ta perspektywa? Nie, ja wiem, radujesz się tylko wówczas, gdy uda ci się zatłuc jakiegoś Szwaba. O! wtedy to poznaję cię zawsze po tym szczególnym ostrym śmiechu. I mówię sobie: „Bęc! Trafił!...” lub też: „Już go ma!” Ach! mój drogi poruczniku, jak człowiek dziczeje w czasie wojny! Śmieje się dlatego, że zabił! I pomyśleć, że śmiejąc się ma słuszość!

Roye, Lassigny, Chaulnes... Potem kanał de la Bassée i rzeka Lys... A potem wkońcu Ypres! Ypres! Zatrzymują się tu dwie linje, przedłużone aż do morza. Po rzekach francuskich, Marnie, Aisne, Oise, Somme, mały strumień belgijski, który zczzerwieni się krwią młodych żołnierzy.

Zaczyna się straszna bitwa nad Izerą.

Bernard, który zasłużył szybko na szlify sierżanta — i Paweł Delroze żyli w tem piekle aż do pierwszych dni grudnia. Wraz z sześciu Paryżanami, dwoma ochotnikami, jednym rezerwistą i jednym Belgijczykiem, nazwiskiem Lascheu, który umknął z Roulers, twierdząc, że aby snadniej bić wroga, lepiej przyłączyć się do Francuzów, stworzyli oni mały oddziałek, dla którego kule wroga szczególny jakby miały szacunek. Z całej sekcji dowodzonej przez Pawła tylko oni pozostali — i chociaż później sekcję tą uzupełniono, oni zawsze trzymali się w jednej grupie. Podejmowali się każdej najniebezpieczniejszej misji i zawsze po spełnieniu swych zadań wracali zdrowo, cało, bez żadnego choćby zadraśnięcia, jak gdyby wzajem przynosili sobie szczęście.

W czasie ostatnich dwu tygodni, pułk rzucony został na samó czoło przednich straży; flanki zaś tworzyły formacje belgijskie i angielskie. Szereg bohaterskich wysiłków. Zaciekle walki na bagnety w błocie, w wodzie wylewów. Niemcy padali tysiącami, dziesiątkami tysięcy.

Radość Bernarda nie miała granic.

— Widzisz Tommy — mówił on raz do żołnierza angielskiego, obok którego siedł pod gradem kul, a który zresztą nie rozumiał ani słowa po francusku — widzisz Tommy, nikt bardziej ode mnie nie podziwia Belgijczyków, a mimo to oni mnie nie imponują, ponieważ biją się naszym sposobem, to znaczy jak lwy. Imponujecie mi jedynie wy, albońskie chłopaki. To zupełnie co innego... Wy jakoś inaczej bierzecie się do roboty. Bez podniecenia, bez zjadłości. To wszystko jest w was ukryte. Ach! lecz jacyż

wściekli jesteście, gdy musicie się cofać, wówczas stajecie się groźni. A skutek: pludraki zbite na miazgę.

Pewnego dnia, gdy trzecia kompanja otworzyła ogień koło Dixmude, zdarzył się wypadek, który zadziwił niezmiernie obu szwagrów. Paweł poczuł nagle silny uraz z prawej strony w okolicy krzyżów. Nie miał nawet czasu, aby się tem zaniepokoić. Lecz wróciwszy do okopu, stwierdził, że kula przedziurawiła skórę futerału na rewolwer i splaszczyla się na lufie. Otóż wobec pozycji, jaką zajmował Paweł, kula ta musiała być wymierzona od tyłu, to jest przez jednego z żołnierzy jego kompanji lub też kompanji jego pułku. Był-że to przypadek? Czy niezręczność?

Nazajutrz to samo spotkało Bernarda. I jego również los ocalił szczęśliwie. Kula przeszła przez plecak i musnęła tylko kość łopatkową.

A w cztery dni później pocisk przebił czapkę Pawła i tym razem także pochodził z linii francuskich.

Nie było zatem żadnych wątpliwości. Obaj szwagrowie byli najwidoczniej celem zdradzieckich pocisków, a zdrajca, bandyta na żołdzie nieprzyjacielskim, ukrywał się w szeregach Francuzów.

— To jasne jak słońce. Naprzód ty, potem ja, a potem znowu ty. W tem wszystkiem czuć rękę Hermanna. Major musi być napewno w Dixmude.

— A może i księżę także, zauważył Paweł.

— Być może. W każdym razie ktoś z pośród ich najemników wśliznął się między nas. Jak go wykryć? Upредить pułkownika?

— Jak chcesz Bernardzie, lecz proszę cię, nie mówmy o nas i o naszej walce z majorem. Jeżeli przez chwilę miałem zamiar upредить księcia, to teraz zaniechałem tego, nie chcąc aby w całą tą przygodę wmieszano imię Elżbiety.

Nie potrzeba było zresztą przestrzegać zwierzchników. Chociaż bowiem nie ponowiły się już zamachy przeciwko obu szwagrom, to jednak codziennie mnożyły się dowody zdradzieckich zakusów. Wyśledzanie francuskich baterij, uprzedzanie ataków, wszystko świadczyło o metodycznej organizacji systemu szpiegostwa, bardziej czynnego tu, niż gdzie indziej. Jakżeż nie podejrzewać obecności majora Hermanna, najgłówniejszej widocznie sprężyny tego systemu?

— On tu jest — powtarzał Bernard, wskazując linje niemieckie. — Jest tutaj, ponieważ obecnie rozgrywa się wielka gra na tych moczarach i on ma duże pole do popisu. I jest dlatego także, że my tu jesteśmy.

— Skąd mógłby wiedzieć o tem? — zauważył Paweł. Bernard odparł:

— Dlaczego nie miałby wiedzieć?

Pewnego popołudnia w chacie, służącej pułkownikowi za kwaterę, odbyło się zebranie dowódców bataljonu i kapitanów; wezwano na nie również i Pawła. Dowiedział się tam, że generał dowodzący dywizją nakazał wzięcie małego domku, położonego na lewym brzegu kanału, domku, zamieszkałego w czasach zwyczajnych przez przewoźnika. Ufortyfikowali się tam Niemcy. Ogień ich ciężkich dział ustawionych na wzgórzu przeciwległego brzegu, bronił tę, twierdzy, o którą walczono uporczywie od wielu dni. Należało zdobyć ów domek.

— W tym celu — wyjaśniał pułkownik — zażądano z kompanij afrykańskich stu ochotników, którzy ruszą dziś wieczorem, a jutro rano przypuszczą szturm. Zadaniem naszym podtrzymać ich natychmiast i gdy raz atak się powiedzie, odepchnąć kontrataki, które będą oczywiście niesłychanie gwałtowne, zważywszy ważność placówki. Pozycję tą znacie panowie. Dzieli ją od nas bagna, w które nasi ochotnicy z Afryki rzucą się tej nocy... po sam pas, rzec można. Lecz na prawo od tego bagna, wzdłuż całego kanału idzie droga przeznaczona na holowanie statków, tą drogą właśnie my możemy zdążać z pomocą. Wymieciona przez obie artylerje jest ona w większej części wolną. Jednakże na pięćset metrów przed domkiem przewoźnika znajduje się stara wieża wodna, która dotąd zajęta była przez Niemców, a którą my przed chwilą zniszczyliśmy ogniem dział. Czy Niemcy opróżnili ją całkowicie? Czy nie grozi nam natknięcie się na wysunięty posterunek? Należałoby to zbadać. Pomyślałem o was, Delroze.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

— Misja nie jest niebezpieczna, lecz delikatna i odpowiedzialna i musi dać pewny wynik. Ruszysz tej nocy. Jeżeli wieża jest zajęta, wracaj. Jeżeli nie, niechaj podąży za tobą dwunastu zaufanych ludzi, których ukryjesz starannie aż do naszego zbliżenia się. Będzie to świetny punkt oparcia.

— Słucham, panie pułkowniku.

Paweł wziął natychmiast potrzebne polecenia; zebrał małą garstkę ochotników, którzy wraz z rezerwistą i Belgijczykiem Lascheu byli zwyczajnie jego towarzyszami, uprzedził ich, że w ciągu nocy będzie prawdopodobnie

potrzebował ich pomocy i o dziewiątej godzinie wieczór wyruszył w towarzystwie Bernarda d'Audeville.

Światło nieprzyjacielskich projektorów zatrzymało ich przez czas dłuższy nad brzegiem kanału, poza olbrzymim pnem wyrwanej z ziemi wierzby. Później otoczyły ich ciemności tak nieprzeniknione, iż nie rozróżniali już nawet linii wody.

Czołgali się raczej niż szli, w obawie niespodziewanych blasków. Lekki wiatr powiewał nad błotnemi polami i bagnami, w powietrzu drżały skargi trzcin wodnych.

— Jakoś straszno... — szepnął Bernard.

— Cicho bądź!

— Rozkaz, poruczniku.

Od czasu do czasu, bez przyczyny, grzmiały działa, jak psy, które szczekają, aby zakłócić wielką, niepokojącą ciszę, a za nimi natychmiast inne znów działa huczały zajądło, jakby i one chciały narobić wrzawy i okazać, że wcale nie śpią.

I znowu spokój, cisza. Żadnego odgłosu w przestrzeni. Zdawało się, że trzciny i trawy bagienne znieruchomiały nagle. Jednak Paweł i Bernard przeczuwali wolny pochód ochotników afrykańskich, którzy wyruszyli z nimi równocześnie, ich długie postoje wpośród zamarzniętych wód, ich uparte wysiłki.

— Coraz bardziej straszno... — jęknął Bernard.

— Ależ ty jesteś dziwnie dziś wrażliwy — zauważył Paweł.

Żywo przypadli do ziemi. Nieprzyjaciel rzucił na drogę reflektory, badając w ten sposób bagniste tereny. Spłoszono ich jeszcze dwukrotnie, poczem bez przeszkód już dotarli do starej wieży.

Było pół do dwunastej. Z niezmierną ostrożnością wśliznęli się pomiędzy zniszczone zwaliska i przekonali się wkrótce, że nieprzyjaciel opróżnił swój posterunek. Jednakże pod zburzonymi stopniami schodów odkryli otwór w ziemi i drabinę wpuszczoną do piwnicy, w której błyszczały szable i kaski, Bernard, przy świetle lampki elektrycznej, przyglądając się z góry tajemniczym cieniom, oświadczył:

— Niema obawy, to są trupy. Niemcy rzucili ich tutaj po niedawnej strzelaninie.

— Tak — odparł Paweł. Lecz należy przewidywać, że wrócą tu, aby pozabierać zwłoki. Ustaw straż od strony lżery, Bernardzie.

— A jeżeli który z tych drabów żyje jeszcze?

— Zejdę na dół i zobaczę.

— Poprzetrząsaj ich kieszenie — rzekł Bernard odchodząc — i przynieś znalezione notatki. Niema lepszych dokumentów dla stanu ich duszy... lub raczej żołądka.

Paweł zszedł na dół. Piwnica była dość obszerna. Pół tuzina ciał zaścierało ziemię, całkiem już bezwładnych i zlodowaciałych. Idąc za radą Bernarda, mimowoli poprzeglądał ich kieszenie i powyjmował zapiski. Nic ciekawego nie zwróciło jego uwagi. Lecz u szóstego z rzędu żołnierza, małego chudziaka, trafionego w samą twarz, znalazł portfel na nazwisko Rosenthala, zawierający francuskie i belgijskie banknoty i pakiet listów stemplowanych z Hiszpanji, Holandji i Szwajcarji. Listy pisane wszystkie po niemiecku, adresowane były do agenta z Niemiec, przebywającego w Francji, którego nazwisko nie było uwidocznione; ten oddał je żołnierzowi Rosenthalowi, u którego znalazł je Paweł. Żołnierz ów doręczyć miał te listy, jak również fotografię trzeciej jakiejś osobie, oznaczonej imieniem Ekscelencji.

„Służba szpiegowska“ — rzekł do siebie Paweł, przerzucając papiery. „Poufne doniesienia... Statystyka... Och! cóż za łajdackie plemię!“

Lecz otworzywszy portfel ponownie, wyjął zeń kopertę i rozdarł. W kopercie znajdowała się fotografia; spojrzawszy na nią, wydał Paweł okrzyk zdumienia.

Przedstawiała ona kobietę, której portret widział Paweł w zamkniętym pokoju zamku Ornequin, tą samą kobietę, z tą samą czarną, koronkową chusteczką i z tym samym wyrazem twarzy, w którym uśmiech nie zasłaniał właściwego jej rysom okrucieństwa. Kobieta ta nie byłaż to hrabina Hermina d'Audeville, matka Elżbiety i Bernarda?

Na fotografii widniała marka berlińska. Odwróciwszy ją, zauważył Paweł szczegół, który powiększył jeszcze jego zdumienie. Było tam napisanych kilka słów:

„Stefanowi d'Audeville, 1902“.

Stefan było to imię hrabiego d'Audeville!

Fotografia zatem została przesłana z Berlina ojcu Elżbiety i Bernarda w r. 1902, to jest w cztery lata po śmierci hrabiny Herminy. Można więc było przyjąć dwa przypuszczenia: albo fotografia zrobiona przed śmiercią hrabiny d'Audeville nosiła datę roku, w którym otrzymał ją hrabia, albo też hrabina d'Audeville żyła jeszcze...

I mimowoli obrazek ten, podobnie jak portret z zamkniętego pokoju, wywołał w zmaconym umyśle Pawła wspomnienie majora Hermanna. Hermann! Hermina! Oto

znajdował teraz fotografię Herminy na trupie szpiega niemieckiego, nad brzegami tej lżery, po których krążył przywódca szpiegostwa, będący bez wątpienia nie kim innym, jak majorem Hermannem.

— Pawle! Pawle!

To szwagier go wołał. Paweł ocknął się żywo, schował fotografię, nie chcąc nic o niej wspominać i podszedł ku otworowi w ziemi.

— No i cóż Bernardzie, co tam odkryłeś?

— Mały oddział Niemców... Myślałem z początku, że to patrol, że zmieniają strażę i że oni pozostaną po tamtej stronie. Lecz nie. Odwiązali dwie łodzie i przepływają przez kanał.

— Istotnie, słyszę ich.

— A gdyby tak zacząć strzelać? — zapytał Bernard.

— Nie, wywołalibyśmy popłoch. Obserwujmy ich lepiej! To zresztą nasze zadanie.

Lecz w tej samej chwili, z drogi, którą szli poprzednio Paweł i Bernard, rozległ się gwizd. Takim samym gwizdem odpowiedziano z łodzi, poczem wymieniono dwa nowe sygnały.

Zegar kościelny wydzwonił północ.

— Jakaś umówiona schadzka, zauważył Paweł. To zaczyna być ciekawe. Chodź. Tam na dole widziałem miejsce, w którym można skryć się przed wszelką niespodzianką.

Była to druga piwnica, oddzielona od pierwszej stosem kamieni; przecisnęli się przez szparę i założyli ją szybko gruzem.

Zaledwie dokonali tego, gdy rozległ się nad nimi odgłos kroków i doleciały ich słowa niemieckie. Oddział nieprzyjacielski musiał być dość liczny. Bernard utkwiał lufę karabinu w strzelnicę wytworzonej sztucznie w barykadzie.

— Co ty robisz? — zapytał Paweł.

— A jak nadejdą? Jestem gotowy. Możemy wytrzymać całkiem prawidłowe obłężenie.

— Nie rób głupstw Bernardzie. Słuchajmy. Może uda nam się coś pochwycić!

— Chyba ty, Pawle, bo ja nie rozumię ani jednego słowa po niemiecku...

Gwałtowny blask zaalał piwnicę. Zszedł jakiś żołnierz i na gwoździu w ścianie zawiesił dużą lampę elektryczną. Za nim przyszło dwunastu ludzi, aby pozabierać zwłoki.

Nie trwało to długo. Po upływie kwadransa w piwnicy pozostał już tylko jeden trup agenta Rosenthala.

Na górze rozkazywał głos donośny:

— Zostańcie tu i czekajcie na nas. A ty, Karolu schodź pierwszy.

Ktoś ukazał się na górnych stopniach drabiny. Paweł i Bernard ujrzeni z zdumieniem czerwone pantalone, potem niebieską kapotę, wreszcie cały mundur francuskiego żołnierza.

Indywidjum to zeskoczyło na ziemię i zawołało:

— Już tu jestem, Ekscelencjo. Proszę za mną.

Ujrzeni wówczas Belgijczyka Lascheu, lub raczej rzekomego Belgijczyka, który kazał nazywać się Lascheu, a który zaliczał się do sekcji Pawła. Teraz wiedzieli już, skąd pochodziły owe trzy strzały karabinowe, do nich skierowane. To więc był ów zdrajca. Pod blaskiem światła różniali wyraźnie jego twarz, twarz człowieka czterdziestoletniego, tłąstą, o rysach grubych, oczach otoczonych czerwoną obwódka.

Chwycił on za ramę drabiny, aby ją lepiej oprzeć o ziemię. Zszedł po niej ostrożnie oficer, otulony w szeroki szary płaszcz, z podniesionym kołnierzem.

Poznali w nim majora Hermanna.

II.

Major Hermann.

Paweł stłumił w sobie nagły odruch nienawiści, który nakazywał mu bezpośrednią, natychmiastową zemstę i oparł rękę na ramieniu Bernarda, aby i jego przywołać do rozsądku.

Jakaż jednak wstrząsała nim wściekłość na widok tego szatana! Człowiek, który był uosobieniem wszystkich zbrodni, spełnianych na ojcu jego i żonie, nasunął mu się oto pod strzał, a on, Paweł drgnąć nawet nie mógł w tej chwili! Ba! gorzej: okoliczności układały się w ten sposób, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa człowiek ten po upływie kilku minut miał podążyć szlakiem nowych zbrodni, a on, Paweł nie miał możliwości unieszkodliwienia go.

— Doskonale, Karolu — przemówił major po niemiecku, zwracając się do fałszywego Lascheu'a, doskonale, przybywasz punktualnie na schadzkę. A zatem, cóż tam nowego?

— Przedewszystkiem Ekscelencjo — odparł Karol, zdając się traktować majora z szacunkiem, połączonym

z pewną poufałością, jaką się ma wobec kogoś wyższego, który jest zarazem swoim współnikiem — przedewszystkiem proszę pozwolić...

Zdjął swój niebieski mundur, włożył bluzę jednego z zmarłych i rzekł, oddając ukłon wojskowy:

— Uf!... Widzi Ekscelencja, ja jestem dobrym Niemcem. Nie wzdygam się przed żadną robotą. Lecz pod tym uniformem duszę się.

— Dezerterujesz zatem?

— Ekscelencjo, ten rodzaj pracy zbyt jest niebezpieczny. Bluza wieśniaka francuskiego, owszem; kurtka żołnierza francuskiego, nie. Ludzie ci nie boją się niczego, a ja będąc zmuszony iść za nimi, narażam się na śmierć od kuli niemieckiej.

— Lecz obaj szwagrowie?

— Trzykrotnie mierzyłem do nich w plecy i trzykrotnie chybiłem. Trudna rada, mają szczęście. To też, jak mówi Ekscelencja, dezerteruję i skorzystałem z tego draba, który pośredniczy między mną a Rosenthalem, aby wyznaczyć tą schadzke.

— Rosenthal odesłał mi twój list do głównej kwatery.

— Lecz tam była także i wiadoma fotografia, jak również i pakiet listów otrzymanych od pańskich agentów z Francji. Na wypadek gdyby mnie wysłiedzono, nie chciałem, aby znaleziono przy mnie takie dowody.

— Rosenthal miał mi to wręczyć osobiście. Na nie szczęście zrobił wielkie głupstwo.

— Jakże, Ekscelencjo?

— Zginął.

— Ależ!

— Oto masz u swych nóg jego trupa.

Karol wzruszył ramionami i rzekł tylko:

— Idjota!

— Tak, on nigdy nie umiał dać sobie rady. Wyjm jego portfel, Karolu. Nosił go zawsze w wewnętrznej kieszeni wełnianej kamizelki.

Szpieg pochylił się nad trupem i rzekł po chwili:

— Niema go tu, Ekscelencjo.

— Widocznie zmienił system. Popatrz w innych kieszeniach.

— I tu także niema — rzekł Karol, wykonawszy polecenie.

— Jakto? Rosenthal nie rozstawał się nigdy z swym portfelem. Nawet w śnie miał go przy sobie, musiał więc mieć go i w chwili śmierci.

— Niech Ekscelencja sam poszuka.

— Więc coś się stało?

— Przyszedł tu ktoś widocznie i wziął portfel.

— Kto? Francuzi?

Szpieg wyprostował się, trwał przez chwilę w milczeniu, wreszcie zbliżając się do majora, rzekł powoli:

— Francuzi, nie, Ekscelencjo, lecz jeden Francuz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ekscelencjo, Delroze wybrał się przed chwilą na rekonesans wraz z swym szwagrem Bernardem d'Audeville. W którą stronę? Nie mogłem się dowiedzieć. Lecz teraz już wiem. Przyszedł tutaj, zwiedził ruiny wieży, a ujrawszy trupy, poprzetrząsał im kieszenie.

— To źle — wyrzucił major. — Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej. Musiał tu być nie dawniej jak przed godziną. Może nawet — dorzucił śmiejąc się Karol — może jest tu gdzie jeszcze, ukryty w jakiejś dziurze...

Obaj spojrzeli wokół siebie odruchowo, bez żadnej poważniejszej obawy, poczem major przemówił jakby w zamyśleniu:

— Ten pakiet listów otrzymanych przez naszych agentów, listów bez adresów, bez nazwisk niema właściwie żadnego znaczenia. Lecz z fotografią to już poważniejsza sprawa.

— O wiele poważniejsza, Ekscelencjo! Fotografia zrobiona w 1902 roku, której my poszukujemy wytrwale od lat dwunastu! Udało mi się po tylu wysiłkach odnaleźć ją w papierach, które hrabia Stefan d'Audeville pozostawił u siebie podczas wojny. I kiedy fotografię tą chciałeś pan właśnie odebrać hrabiemu d'Audeville, któremu dałeś ją ongiś nierozważnie, ona w chwili obecnej znajduje się już w rękach Pawła Delroze, zięcia pana d'Audeville, męża Elżbiety, a twojego śmiertelnego wroga!

— Och! mój Boże! sam wiem to dobrze — krzyknął major poirytowany. — Nie potrzebujesz tak dużo o tem rozprawiać!

— Ekscelencjo, należy zawsze spojrzeć prawdzie w oczy. Jaki był pański zamiar w odniesieniu do Pawła Delroze? Ukryć przed nim wszystko, coby mogło mu zdradzić prawdziwe twoje miano i w tym celu skierować całą jego uwagę, poszukiwania, całą jego nienawiść ku osobie majora Hermanna. O to chodziło, nieprawdaż? Wiedziony tą jedną myślą, mnożyłeś Ekscelencjo sztylety z wrytymi literami H. E. R. M., a nawet położyłeś podpis „Major Hermann“ na ścianie, na której wisiał słynny portret.

Wszystkie zatem ostrożności. Tym sposobem, z chwilą gdy uznasz za stosowne przenieść majora Hermanna do nicości, Paweł Delroze będzie mniemał, że wróg jego umarł i myśleć już o tobie przestanie. I oto co się dziś stało? To, że wraz z fotografią posiada on dowód niezbity związku, jaki istnieje między majorem Hermannem a owym słynnym portretem, który oglądał w dzień swojego ślubu, to jest między teraźniejszością a przeszłością.

— Oczywiście, lecz fotografia ta, znaleziona na jakimś tam trupie, mogłaby wówczas dopiero nabrać dlań znaczenia, gdyby poznał jej pochodzenie, gdyby na przykład mógł zobaczyć się z teściem swym hr. d'Audeville.

— Teść jego bije się w szeregach armji angielskiej, o trzy mile od Pawła Delroze.

— Czy oni wiedzą o tem?

— Nie, lecz przypadek może ich zbliżyć. Pozatem, Bernard i jego ojciec pisują do siebie i Bernard musiał już opisać ojcu zdarzenia z zamku Ornequin, choćby te tylko, o których on i Paweł Delroze mogli się dowiedzieć.

— Ech! co to znaczy, skoro nie wiedzą o innych faktach? A tamte właśnie to rzecz najważniejsza. Przez Elżbietę poznaliby całą naszą tajemnicę, odgadliby kim jestem. A jej szukać nie będą, ponieważ uważają ją za umarłą.

— Czy jesteś tego całkiem pewny, Ekscelencjo?

— Co masz na myśli?

Obaj spiskowcy wpatrywali się w siebie przenikliwie, oko w oko, major niespokojny i zirytowany, szpieg nieco drwiący.

— Mów — rzekł major — co zaszło?

— Ekscelencjo, przed chwilą wpadła mi w ręce waliza Pawła Delroze. Och! nie na długo... kilka sekund tylko... lecz wystarczyło to, aby zobaczyć dwie rzeczy...

— Prędej!

— Przedewszystkiem ulotne kartki z owego manuskryptu, którego część najważniejszą spaliłeś dla ostrożności, lecz którego urywki na nieszczęście zginęły.

— Dziennik jego żony?

— Tak jest.

Major zaklął.

— Niech mnie licho porwie! W takich wypadkach pali się wszystko! Ach! gdybym nie był tak idjotycznie ciekawy!... Cóż dalej?

— Dalej, Ekscelencjo? Och! prawie nic, drobnostka, odłamek granatu, tak, mały odłamek pocisku... lecz mam

wrażenie, że to ten sam, który polecieś mi wpakować w ścianę pawilonu, po przyklejeniu tam włosów Elżbiety. Co myślisz o tem, Ekscelencjo?

Major tupnął nogą ze złością i nowy potok wyzwisk i przekleństw rzucił na głowę Pawła Delroze.

— Co myślisz o tem, Ekscelencjo? — powtórzył szpieg.

— Masz słuszność! Z dziennika swej żony ten djabelski Francuz może domyśleć się prawdy, a ten kawałek pocisku w jego posiadaniu, to dlań dowód, że żona jego może żyje jeszcze, a tego właśnie chciałem uniknąć. Teraz będziemy go mieli ciągle na karku.

Wściekłość majora wzrastała.

— Ach! jak on mnie już obmierzł! Co to za draby on i ten smarkacz jego szwagier! Myślałem, żeś mnie już od nich wyswobodził owego wieczoru, kiedy to wróciliśmy do zamku, do pokoju, w którym spali i zobaczyliśmy imiona ich wypisane na ścianie. I nie wątpisz chyba, iż nie ustaną teraz, skoro wiedzą, że ta mała żyje. Będą szukali. Znajdą ją. A ona zna wszystkie nasze tajemnice!... Należało ją usunąć, Karolu!

— A księżę? — zaśmiał się szpieg.

— Konrad to idjota... Cała ta rodzina Francuzów przyniesie nam nieszczęście... W pierwszym rzędzie Konradowi, który jest na tyle głupi, że rozkochał się w tej dzierlatce. Należało ją usunąć bezzwłocznie — rozkazałem ci to przecie — i nie czekać na powrót księcia...

Oświetlona wyraźnie uwydatniała się twarz majora Hermanna, najokropniejsza twarz bandyty, przerażająca nie nieregularnością rysów, lub jakąś szczególną brzydotą, lecz odstrasającym, dzikim wyrazem, w którym Paweł odnajdywał wyraz hrabiny d'Audeville, znany mu z portretu i z fotografii. Na wspomnienie nieudanej zbrodni major Hermann zdawał się cierpieć śmiertelnie, jak gdyby występki zbrodniczy był jedynym motorem i warunkiem jego życia. Zgrzytał zębami. Oczy nabiegły mu krwią.

Palcami wpijając się kurczowo w ramię swego współnika, przemówił głosem zmienionym, tym razem po francusku:

— Wiesz Karolu, zdawałoby się, że my nie możemy ich osiągnąć, że cud jakiś broni ich przed nami. W tych dniach strzelając do nich, chybiłeś trzykrotnie. W zamku Ornequin zamiast ich zabiłeś dwu innych. I ja także chybiłem raz, obok małej furtki w parku... A było to w tym samym parku... obok tej samej kaplicy... pamiętasz?...

szesnaście lat temu... gdy on był zaledwie dzieckiem, a ty wbiłeś mu nóż aż po rękojęść... Dzień ten był początkiem twoich niepowodzeń.

Szpieg począł się śmiać śmiechem cynicznym i bezczelnym...

— Cóż chcesz Ekscelencjo? To był dopiero debiut w mojej karierze, nie posiadałem twojego mistrzostwa. Zbliżył się do nas ojciec z swym malcem, których na dziesięć minut wcześniej nie znaliśmy zupełnie, którzy w niczem nam nie zawinili poza tem, że niewygodni byli cesarzowi. Ręka mi zadrżała, przyznaję. Gdy tymczasem ty, Ekscelencjo... Ach! jak znakomicie wyprawiłeś ojca na tamten świat! Małe uderzenie twojej małej ręki i wszystko było gotowe!

Tym razem Paweł powoli, ostrożnie wsadził lufę swego rewolweru w ciemną szparę. Teraz po wynurzeniach Karola miał już pewność, że major zabił jego ojca. Więc to był on! A jego wspólnik dzisiejszy był już i wówczas współwinny, ów podwładny, co usiłował zabić jego, Pawła, w chwili gdy ojciec konał.

Bernard, widząc ruch szwagra, szepnął mu do ucha:

— Jesteś gotowy, co? Sprzątniemy go?

— Czekaj mego znaku — odparł szeptem Paweł — lecz ty nie strzelaj do niego, tylko do szpiega.

Mimo wszystko, pamiętał o niewytłumaczonej tajemnicy węzłów, łączących majora Hermanna z Bernardem d'Audeville i z jego siostrą Elżbietą i nie chciał ażeby właśnie Bernard był narzędziem wymiaru sprawiedliwości. Nawet on sam wahał się, jak waha się człowiek przed spełnieniem aktu, z którego doniosłości niezupełnie sobie zdaje sprawę. Kto był ów bandyta? Dziś, major Hermann i przywódca niemieckiego szpiegostwa; wczoraj, towarzysz zabaw księcia Konrada, wszechwładny w zamku Ornequin, przebierający się za wieśniaczkę i grasujący po Corvigny; niegdyś, morderca, wspólnik cesarza i właścicielki zamku Ornequin'u... Wszystkie te postacie były tylko przeistoczeniem jednej i tej samej osoby; któraż z nich była prawdziwa?

Jak oszalały, patrzył Paweł na majora, tak jak przedtem patrzył na fotografię i dawniej, w zamkniętym pokoju, na portret Herminy d'Audeville. Hermann... Hermina... mieszały mu się, te imiona.

I wpatrywał się w cienie i białe ręce; małe jak ręce kobiety. Palce wydłużone, zdobne w pierścienie z kosztownymi kamieniami. Nogi również delikatne, w wyso-

kich butach. Twarz bardzo blada, bez śladu zarostu. Lecz pewnej jakby zniewieściałości całej postaci zadawał kłam ostry dźwięk chrapliwego głosu, ociężałość ruchów i chodu i dziwna jakaś, prawdziwie barbarzyńska siła.

Major ukrył twarz w dłoniach i rozmyślał przez kilka minut. Karol patrzył na niego z pewnem politowaniem, zapytując się, czy pan jego na wspomnienie popełnionych zbrodni nie zaczynał odczuwać wyrzutów sumienia.

Lecz mistrz, otrząsając się z zadumy, wyrzekł nagle — a w głosie jego, zaledwie dosłyszalnym, drżała jedynie nienawiść:

— Tem gorzej dla nich, Karolu, tem gorzej dla tych wszystkich, którzy usiłują stanąć wpoprzek naszym zamiarom. Usunąłem, swego czasu, ojca i dobrze zrobiłem. Przyjdzie kolej i na syna... A teraz... teraz... codzi o tą małą.

— Czy chcesz Ekscelencjo, abym się tem zajął?

— Nie, jesteś mi tu potrzebny, a ja sam także muszę tu pozostać. Sprawy idą bardzo źle. Lecz udam się tam z początkiem stycznia. Dziesiątego nad ranem będę już w Ebrecourt. W czterdzieści ośm godzin potem wszystko musi być skończone. I tak będzie, przysięgam ci.

Umilkł ponownie, a szpieg tymczasem śmiał się do rozpuku. Paweł schylił się i mocniej ścisnął w dłoni rewolwer. Wahać się dłużej, byłoby grzechem. Zabić majora to znaczyło już nie tylko pomścić się i zgładzić mordercę ojca, lecz udaremnić nową zbrodnię, ocalić Elżbietę. Należało zatem działać, bez względu na wszelkie możliwe następstwa tego czynu. Zdecydował się.

— Jesteś gotowy? — spytał cichutko Bernarda.

— Tak. Czekam twego znaku.

Z najzimniejszą krwią zmierzył, lecz gdy miał już nacisnąć kurek rewolweru, usłyszał słowa, wymówione po niemiecku przez Karola:

— Czy Ekscelencja wie co się przygotowuje? Na dom przewoźnika...

— Co takiego?

— Całkiem prosto atak. Stu ochotników z kompanij afrykańskich jest już w drodze. Napadną o świcie. Pozostaje panu zaledwie tyle czasu, aby uprzedzić główną kwaterę i upewnić się o środkach ostrożności, jakie należy przedsięwziąć.

Major oświadczył krótko:

— Już zrobione.

— Co mówisz Ekscelencjo?

— Powiadam ci, że już zrobione. Uprowadzono mnie z innej strony, a ponieważ dom przewoźnika jest ważnym posterunkiem, zatelegrafowałem do komendanta placówki, iż otrzyma pomoc z trzystu ludzi o piątej godzinie rano. Ochotnicy afrykańscy wpadną w pułapkę. Ani jeden z nich żyw nie wyjdzie.

Major zaśmiał się krótkim, cynicznym śmiechem, a podniósłszy kołnierz swego płaszcza, dorzucił :

— Zresztą, aby być całkiem pewnym, sam przepędzę tam noc... tem bardziej, że zapytuję się chwilami, czy to przypadkiem nie komendant posterunku przysłał tu ludzi i pozwolił im zabrać papiery Rosenthala, o którego śmierci wiedział dobrze.

— Ależ...

— Dość gadania. Zajmij się Rosenthałem i chodźmy.

— Mam towarzyszyć Ekscelencji ?

— Bezcelowe. Jedna z łodzi przewiezie mnie przez kanał. Załedwie czterdzieści minut drogi do domu przewoźnika.

— Na wezwanie szpiega zeszli się trzej żołnierze i poczęli wyciągać trupa do góry.

Karol i major stali w milczeniu u stóp drabiny ; szpieg oświecał drogę latarką.

Bernard wyszeptał :

— Strzelamy ?

— Nie — odparł Paweł.

— Lecz...

— Zakazuję ci...

Gdy żołnierze dokonali dzieła, odezwał się major :

— Poświeć mi dobrze, a uważaj, żeby drabina nie ruszyła się.

Wyszedł na górę i zniknął.

— Już jestem — krzyknął. — Śpiesz się.

Z kolei szpieg wdrapał się po stopniach drabiny.

Słysząc było ich kroki ponad piwnicą. Kroki te oddalały się w kierunku kanału ; po chwili nastąpiła zupełna cisza.

— No i cóż ? — zawołał Bernard. — Co ci się stało ? Taka pyszna sposobność ! Obaj bandyci mogli paść za jednym zamachem.

— A my za nimi — odparł Paweł. — Było ich dwunastu na górze.

— Lecz w ten sposób ocalało się Elżbietę. Naprawdę, Pawle, ja ciebie nie rozumiem. Jaki to ?! Mamy tych potwo-

rów pod ręką i ty ich wypuszczasz!? Stoi przed tobą zabójca twego ojca, kat Elżbiety, a ty myślisz o nas!

— Bernardzie — odpowiedział Delroze — nie zrozumiałeś ich ostatnich słów. Nieprzyjaciół powiadomiony jest o ataku i o naszych zamiarach odnośnie do domu przewoźnika. Niebawem stu ochotników afrykańskich, czołgając się przez bagna, wpadnie w zastawione na nich sidła. O nich więc musimy myśleć. Ich przedewszystkiem winniśmy ocalić. Nie mamy prawa pozwolić się zabić w chwili, gdy czeka nas spełnienie obowiązku. Jestem pewny, że przyznasz mi słuszność.

— Tak jest, rzekł Bernard. Jednakowoż sposobność była wspaniała...

— Nic straconego! Zdarzy się taka sama i to może wkrótce, mówił Paweł, myśląc o domku przewoźnika, do którego miał udać się major Hermann.

— Lecz, powiedz wreszcie, jakie masz plany?

— Dopadnę oddziału ochotników... Jeżeli dowodzący nimi porucznik zgodzi się, z atakiem nie będziemy czekali aż do godziny siódmej, lecz dokona się go natychmiast. Sam wezmę w nim udział.

— A ja?

— Wracaj do pułkownika. Przedstaw mu sprawę i powiedz, że dom przewoźnika będzie wzięty dziś rano i że będziemy się tam trzymali aż do posiłków.

Rozstali się bez słowa. Paweł rzucił się odważnie w przepastne bagna.

Zadanie, na jakie się ważył, nie napotkało na przeszkody, których się spodziewał mimo wszystko. Po czterdziestu minutach marszu usłyszał szmery głosów, szepnął hasło i kazał się zaprowadzić do komendanta.

Wywody Pawła przekonały bezzwłocznie oficera; należało albo zaniechać sprawy albo ją przyśpieszyć.

Kolumna wojska ruszyła naprzód.

O godzinie trzeciej, prowadzeni przez wieśniaka, znającego przejście, w którym ludzie zapadali w bagno nie głębiej jak po kolana, zdołali dotrzeć w pobliże domu. Patrol niemiecka wszczęła popłoch. Zaczął się atak.

Jako jeden z najpiękniejszych czynów zbrojnych wojny, atak ten zbyt jest znany, aby trzeba tu podawać jego szczegóły. Gwałtowność jego posunięta była do ostatnich granic. Nieprzyjaciół odpowiedział taką samą zaciekłością. Bój szalony, pełen podstępów, zasadzek. Zapamiętała walka

u wrót domu, potem w domu samym. Francuzi zwycięscy powalili bądź też wzięli do niewoli ośmdziesięciu trzech Niemców, broniących placówki; sami ponieśli też straty; ubyla ich połowa.

Paweł pierwszy wdarł się w okopy, które ciągnęły się po lewej stronie domu, wydłużając się półkołem aż do Izery. Miał w tem swój plan: przed końcem ataku pragnął odciąć uciekającym wszelką możliwość odwrotu.

Dotarł do nadbrzeża kanału, dopadł jakiejs łodzi i wraz z trzema towarzyszącymi mu ochotnikami przedostał się w ten sposób na drugą stronę domu, gdzie — jak przewidywał — ujrzał most pontonowy.

W tej samej chwili spostrzegł jakąś sylwetkę ludzką wyłaniającą się z mroku.

— Zostańcie tutaj, rzekł do towarzyszy, niechaj nikt nie rusza się z miejsca.

Sam zaś rzucił się naprzód, przeszedł przez most i począł biec szybko za umykającą postacią.

Reflektor oświecił brzeg kanału, Paweł ujrzał ponownie ową sylwetkę na pięćdziesiąt kroków przed sobą.

Krzyknął:

— Stać! lub strzelam!

A że uciekający nie usłuchał wezwania, Delroze wypalił, lecz tak, aby nie położyć go na miejscu.

Człowiek ów przystanął nagle, wystrzelił czterokrotnie z rewolweru, lecz w tej samej chwili, Paweł zgięty w dwoje dopadł go i zwałił na ziemię.

Obezwładniony nieprzyjaciel nie stawiał żadnego oporu. Paweł owinał go szybko w swój płaszcz i chwycił za gardło.

Równocześnie w samą twarz rzucił mu światło swej latarki.

Więc nie omylił go instynkt: miał w swych rękach majora Hermanna.

III.

Dom przewoźnika.

Nie wymówił ani słowa Paweł Delroze. Związał jeńcowi ręce na plecach i popychając go przed siebie, zawrócił ku mostowi. Przelotne błyski reflektorów przeżywały ciemności.

Atak trwał ciągle. Pewną jednak część uciekinierów ochotnicy strzegący mostu przyjęli takim gradem kul, że Niemcy mniemali się być otoczeni i to przyspieszyło ich porażkę.

Gdy Paweł przybył, bój był skończony. Lecz kontratak nieprzyjaciół, wspartych przyobieczaniami komendantowi placówki posiłkami, mógł zacząć się lada chwila, natychmiast więc przygotowano obronę.

Dom przewoźnika, ufortyfikowany potężnie przez Niemców i otoczony okopami, posiadał parter i jedno piętro, na którym trzy dawne pokoje tworzyły teraz jedną całość. W głębi owego obszernego pokoju znajdowała się jakby osobna alkowa, do której wchodziło się po trzech drewnianych stopniach, a która była niegdyś mieszkaniem służącego. Tam to umieścił Paweł swego jeńca. Położył go na podłodze i przywiązał mocno sznurem do belki; gdy czynił to wszystko, ogarnęła go tak szalona nienawiść do swej ofiary, że chwycił ją nagle za gardło, jakby w chęci zaduszenia.

Opanował się jednak. Poco się śpieszyć? Zanim zabije tego człowieka lub wyda go żołnierzom, którzy rozstrzelają go przy murze, czyż może sobie odmówić tej olbrzymiej radości porozmawiania z nim?

Wszedł porucznik. Paweł przemówił doń w sposób tak dobitny, aby mogli go słyszeć wszyscy, a szczególnie major:

— Panie poruczniku, polecam ci tego nędznika: to major Hermann, jeden z przywódców niemieckiego szpiegostwa. Mam na to dowody. Gdyby zdarzyło mi się coś złego, niechaj o nim nie zapomną! A w razie gdyby trzeba stąd się wycofać...

Porucznik uśmiechnął się.

— To wykluczone. Nie cofniemy się, choćby dla tej prostej przyczyny, iż raczej wysadziłbym ten dom w powietrze. A zatem major Hermann wyleciałby wraz z nami. Bądź więc spokojny.

Obaj oficerowie porozumieli się w sprawie środków obrony i szybko zabrano się do dzieła.

Przedewszystkiem rozrzucono most pontonowy, pokopano rowy wzdłuż kanału. Paweł kazał poznosić na piętro worki z ziemią i słupami zakończonemi w obłak, kazał podeprzeć te części muru, które zdawały się słabsze, aby je umocnić.

O pół do szóstej, w oślepiającym blasku niemieckich reflektorów liczne pociski padły w okolicy. Jeden z nich dosięgnął domu przewoźnika.

Nieco przed świtem, na drodze do holowania statków, wzdłuż kanału, ukazał się oddział cyklistów. Wyprzedzał ich Bernard d'Audeville.

Oznajmił, że dwie kompanje saperów, poprzedzające cały bataljon, ruszyły już w drogę, rażone jednakże nieprzyjacielskimi granatami muszą okrążyć, wzdłuż bagien, tak, że marsz ich się opóźnia i trzebaby na nich czekać co najmniej z godzinę.

— Godzinę, to trochę długo. Cóż robić! Zatem...

I kiedy wydawał nowe rozkazy i wyznaczał cyklistom miejsca postoju, Paweł zbliżył się do Bernarda i już zaczął mu opowiadać historję pojmania majora Hermanna, gdy szwagier przerwał mu zwiastowaniem nowiny:

— Wiesz Pawle, ojciec mój jest tutaj ze mną!

Paweł zadrżał.

— Ojciec twój tutaj? Przybył z tobą?

— Tak jest i to najprościej w świecie. Wyobraź sobie, że zdawna już czekał na tą sposobność... Ach! zapomniałem ci powiedzieć, że został mianowany podporucznikiem — tłumaczem.

Paweł nie słuchał. Powtarzał tylko w myśli: „Pan d'Audeville jest tutaj... d'Audeville, mąż hrabiny Herminy. On przecież nie może nie wiedzieć, czy ona żyje czy umarła? A może aż do końca był oszukiwany przez tą intrygantkę i dotąd żywi dla niej najtkliwsze uczucia? Lecz nie, to nie do wiary, przecież istnieje fotografia, robiona w cztery lata później, którą jemu przysłano i przysłano z Berlina! Zatem on wie o wszystkim, więc...”

Paweł był poruszony do żywego. Zeznania szpiega Karola ukazały mu nagle hr. d'Audeville w zupełnie innem świetle. I oto okoliczności sprowadzały tu p. d'Audeville w tej samej chwili, w której został pojmany major Hermann!

Paweł obrócił się w stronę alkowy. Major nie ruszał się, twarzą przyklejony jakby do ściany.

— Gdzież jest twój ojciec? — spytał Paweł szwagra.

— Przybył na rowerze jakiegoś człowieka, który biegł obok nas, a który został lekko raniony. Ojciec opatrzył go.

— Idź po niego, a jeżeli porucznik nie sprzeciwi się...

Zaczęte zdanie przerwał mu wybuch szrapnela, którego odłamki posypały się na stosy wozów z ziemią. Wsta-

wał dzień. W odległości tysiąca metrów najwyżej wylaniała się z mroku nieprzyjacielska kolumna.

— Przygotowywać się! — krzyknął z dołu porucznik. — Ani jednego strzału bez mego rozkazu!

Po upływie kwadransa dopiero Paweł mógł zamienić parę słów z p. d'Audeville i to w warunkach tak niekorzystnych, że nie miał nawet możliwości zastanowienia się jaką należy mu przybrać postawę w obliczu ojca Elżbiety. Dramat z przeszłości, rola, jaką w dramacie tym mógł odegrać mąż hrabiny Herminy, wszystko to mieszało się w jego umyśle z obroną warowni. Z roztargnieniem niemal uścisnęli sobie ręce.

Paweł zatykał małe okienko materacem. Posterunek Bernarda znajdował się na drugim końcu sali.

Pan d'Audeville. spytał Pawła :

— Jesteście pewni, że przetrzymacie, prawda?

— Bezwarunkowo, ponieważ trzeba.

— Tak, trzeba. Byłem wczoraj w dywizji z angielskim generałem, do którego jestem przydzielony jako tłumacz, gdy postanowiono ten atak. Powiadają, że placówka jest pierwszorzędnej wagi i nie można jej z rąk wypuścić. I wtedy przyszło mi na myśl, że mogę skorzystać z tej sposobności, aby zobaczyć cię Pawle. Wiedziałem, że twój pułk jest tutaj. Poprosiłem więc, by mi pozwolono towarzyszyć...

Nie skończył zdania. Nowy granat przedziurawił dach i rozdarł fasadę domu od strony kanału.

— Kto ranny?

— Nikt — odpowiedziano.

W chwilę później hr. d'Audeville podjął zaczęłą rozmowę :

— Co najciekawsze, to, że tej nocy spotkałem Bernarda u waszego pułkownika. Przypuszczasz chyba z jaką radością przyłączyłem się do cyklistów. Był to jedyny sposób, aby móc tobie uścisnąć rękę. A pozatem nie miałem żadnych wiadomości od mojej biednej Elżbiety... Bernard opowiadał mi...

— Ach! — rzekł z żywością Paweł — więc Bernard opowiedział panu o wszystkim, co się działo w zamku?

— Przynajmniej to wszystko, o czym on wiedział, lecz jest mnóstwo rzeczy niewytłumaczonych, co do których, zdaniem Bernarda, ty Pawle posiadasz bliższe dane. Dla czego zatem Elżbieta została w Ornequin?

— Sama tego chciała — odparł Paweł — a ja o postanowieniu tem dowiedziałem się dopiero później, z jej listu.

— Wiem o tem. Lecz czemu, Pawle, nie zabrałeś jej z sobą?

— Opuszczając Ornequin, zarządziłem wszystko tak, aby ona mogła stamtąd wyjechać!

— W istocie. Lecz nie powinienes był opuszczać Ornequin bez niej. Wszystko zło z tego pochodzi.

Pan d'Audeville wymówił te słowa z pewną surowością w głosie, a ponieważ Paweł milczał, ciągnął dalej:

— Dlaczego więc nie zabrałeś z sobą Elżbiety? Bernard mówił mi, że zdarzyły się jakieś rzeczy bardzo ważne, że wspominałeś o jakichś wyjątkowych okolicznościach. Może mógłbyś mi dać wyjaśnienie?...

Paweł wyczuwał głuchą niechęć w hr. d'Audeville i drażniło go to tem bardziej, że zachowanie się tego człowieka wydawało mu się teraz bardzo podejrzanę.

— Czy pan sądzi, że chwila obecna nadaje się ku temu?

— Ależ tak, tak, mogą nas znowu rozdzielić...

Paweł nie dał mu dokończyć. Zwrócił się raptownie ku ojcu Elżbiety i zawołał:

— Ma pan słuszność! Ta myśl mnie przeraża. Byłoby wprost straszne, gdybym nie mógł odpowiedzieć na pańskie pytania i nie otrzymał wzamian odpowiedzi na moje. Los Elżbiety zależy może od kilku zdań, które z sobą zamienimy. Prawda jest wpośród nas. Jedno słowo może wyprowadzić ją na światło dzienne. Czas nagli. Należy pomóc o tem, bez względu na to, co się stać może.

Wzruszenie i podniecenie Pawła zdziwiło pana d'Audeville; zapytał:

— Czy nie byłoby wskazane zawołać Bernarda?

— Nie! nie! — krzyknął Paweł — za żadną cenę! Nie powinien dowiedzieć się tego, chodzi tu bowiem o...

— O kogo? — spytał p. d'Audeville, coraz bardziej zdumiony.

Obok nich padł człowiek rażony kulą. Przyskoczył doń Paweł; trafiony w czoło, był już martwy. Nowe dwie kule wpadły przez duży otwór, który Paweł zdołał zatkać tylko częściowo.

Hrabia d'Audeville, nawiązując do poprzedniej rozmowy, zapytał:

— Mówiłeś, że Bernard nie powinien słuchać tego, ponieważ chodzi tu o?...

— O jego matkę — odpowiedział Paweł.

Zdumienie p. d'Audeville nie miało granic.

— O jego matkę? Jakto?! Chodzi tu o jego matkę?...
Moją żonę?... Nie rozumiem...

Przez otwory w murze można było dostrzec trzy kulomioty nieprzyjacielskie, które szły naprzód wąskimi drogami, ponad przestrzeniami zalanymi wodą, zdążając ku kanałowi naprzeciwko domu przewoźnika.

— Gdy będą już o dwieście metrów od kanału, damy ognia — rzekł porucznik dowodzący ochotnikami, który przyszedł doglądać robót, przygotowujących obronę. Oby tylko ich armaty nie zanadto zniszczyły nam warownię!

— A nasze posiłki? — zapytał Paweł.

— Staną tu za jakie czterdzieści minut. Tymczasem nasza 75-ta dzielnie pracuje!

Pociski krzyżowały się w przestrzeni. Padały w środek kolumn niemieckich, padały też wokoło warownej baszty.

Paweł, biegając na wszystkie strony, zachęcał ludzi, dawał im wskazówki, rady.

Od czasu do czasu, zbliżając się do wgłębienia, tworzącego rodzaj alkowy w sali, badał zachowanie się majora Hermanna, poczem powracał na swój posterunek.

Ani na chwilę nie przestawał myśleć o obowiązkach, jakie miał jako oficer i obrońca twierdzy, ani na chwilę niemniej nie zapominał o tem, co winien był powiedzieć panu d'Audeville. Lecz obie te myśli mąciły do pewnego stopnia jego przytomność, sam nie wiedział jak porozumieć się z swoim teściem, jak rozwiązać tą całą bolesną gmatwaninę. Kilkakrotnie p. d'Audeville stawiał mu pytania. Paweł nie odpowiadał.

Rozległ się głos porucznika:

— Uwaga!... Ognia!...

Rozkaz powtórzył czterokrotnie.

Najbliższa kolumna nieprzyjacielska, dziesiątkowana kulami, zdawała się zachwiana.

Lecz zbliżyły się dalsze.

Dwa pociski niemieckie uderzyły w dom. Dach zerwany, zniszczona częściowo fasada, trzech ludzi zmiażdżonych.

Chwila zamętu, potem cisza. Lecz Paweł tak jasno zdawał sobie sprawę z grożącego im wszystkim niebezpieczeństwa, że nie był już w stanie odkładać dłużej rozmowy. Powziąwszy nagle postanowienie, bez żadnych wstępów zagadnął teścia:

— Jedno słowo, przedewszystkiem... muszę to wiedzieć... Czy jesteś pan całkiem pewny, że hrabina d'Audeville nie żyje?

I nie czekając na odpowiedź, dorzucił:

— Tak, wiem, pytanie to wydaje się panu szalone... Tak pan sądzi, ponieważ nic nie wiesz, niczego nie przeczuwasz. Lecz ja nie jestem wariatem, zaręczam panu i proszę cię odpowiedz mi tak, jakbym był poprzednio wyłożył panu wszystkie motywy, usprawiedliwiające owo pytanie. Czy hrabina d'Audeville umarła?

Pan d'Audeville opanował swe wzruszenie i usiłując odzyskać zupełną równowagę, powiedział:

— Czyż istnieje jakiś powód, któryby pozwalał ci przypuszczać, że moja żona jeszcze żyje?

— Są ku temu powody bardzo poważne, ośmielę się powiedzieć, powody niezaprzeczane.

Pan d'Audeville wzruszył ramionami i oświadczył głosem stanowczym:

— Żona moja skonała na moich rękach. Czułem ustami jej lodowate dłonie, to zimno śmierci, tak okropne dla kogoś, kto kocha. Sam ubrałem ją, wedle jej życzenia, w ślubną suknię i byłem przy tem, gdy trumnę zabito gwoździami. Zatem?

Słuchając tych zeznań, Paweł zastanawiał się:

— Czy on mówi prawdę? Gdyby nawet, to jakżeż mogę przypuścić...

— A zatem? — zapytał pan d'Audeville głosem rozkazującym.

— Jeszcze jedno pytanie — rzucił Paweł. Czy portret, który znajdował się w buduarze hrabiny d'Audeville był jej portretem?

— Rzecz prosta, jej portret naturalnej wielkości...

— Przedstawiający ją w czarnej koronkowej chusteczce wokoło ramion?

— Tak jest, w chusteczce, którą zwyczajnie nosiła.

— A którą spinała kamea otoczona złotym węzem?

— Tak, kamea, którą miałem po mojej matce, a z którą żona moja nie rozstawiała się nigdy.

Paweł skoczył gwałtownie. Potwierdzenia p. d'Audeville nabierały dlań wagi zeznań. Dygocąc z złości wołał:

— Panie! nie zapomniał pan chyba, że ojciec mój został zamordowany, nieprawdaż? Często mówiliśmy o tem. Był on pańskim przyjacielem. A zatem, kobieta, która go zamordowała, a którą ja widziałem, której obraz wryty jest w moim mózgu, ta kobieta miała na sobie czarną

koronkową chusteczkę wokół ramion i kameę, obwiedzioną złotym węzem. A portret tej kobiety odnalazłem w pokoju pańskiej żony... Tak, w mój poślubny wieczór, widziałem jej portret. Czy rozumiesz pan teraz?... Rozumiesz pan?

Chwila była tragiczna. Zaciskając ręce wokół swej broni, drżał pan d'Audeville. — „Lecz czemu tak drży?” — zapytywał się w duchu Paweł, którego podejrzenia wzrastały, zmieniając się w obciążające istotne zarzuty. „Czy to bunt, czy wściekłość spowodowana tem, że wykryto jego tajemnicę, przyprawia go o takie drżenie? I czyż nie mam go uważać za współnika swej żony? Bo wkońcu...”

Poczuł jak ramię jego chwycono w żelazny uścisk. Pan d'Audeville, cały siny, bełkotał:

— Ty śmiesz! Więc żona moja byłaby morderczynią twego ojca!... Jesteś pijany!... Żona moja, która była święta w oczach Boga i ludzi! I ty śmiesz?... Ach! nie wiem co mnie powstrzymuje od ścięcia ci głowy!

Paweł z trudnością wydobył się z obłęczy ściskających go ramion. Obaj wstrząsani wściekłością, podnieceni dochodzącą ich wrzawą bitwy i własną zajadłą kłótnią, byli niemal gotowi rzucić się na siebie bezprzymtomnie, w chwili, gdy wokół nich świstały kule i granaty.

Żnowu zwała się część ściany. Paweł wydawał rozkazy i równocześnie myślał o majorze Hermannie, który znajdował się tam, w kącie, a przed oblicze którego mógł sprowadzić pana d'Audeville, jak zbrodniarza, aby skonfrontować go z współnikiem zbrodni. I czemu nie robił tego?

Przypominając sobie coś nagle, wyciągnął z kieszeni fotografię hrabiny Herminy, znaną na trupie Niemca Rosenthala.

— A to — spytał, wlepiając mu fotografię w oczy — czy wiesz pan co to jest? Ta data: 1902. I pan utrzymujesz, że hrabina d'Audeville nie żyje? No cóż! Odpowiedz pan: fotografia z Berlina, którą przysłała ci żona twoja w cztery lata po swej śmierci!

Pan d'Audeville zachwiał się. Rzekłbyś cała jego złość rozwiała się, ustępując miejsca bezgranicznemu osłupieniu. Paweł wymachiwał przed nim tym kawałkiem kartonu, który stanowił tak obciążający dowód. I usłyszał nagle z namiennym szeptem:

— Kto mi to wykradł? To było w moich papierach, w Paryżu... O! dlaczegoż tego nie spaliłem?...

I szeptał jeszcze ciszej:

— Och! Hermino, moja najdroższa Hermino!...

Nie byłoż to zeznanie? Lecz cóż znaczyło zeznanie, złożone w takich słowach i z taką serdeczną czułością dla kobiety, obciążonej zbrodniami, zhańbionej?

Na dole zawył porucznik:

— Wszyscy do przednich okopów, oprócz dziesięciu ludzi. Delroze, zachowaj najlepszych strzelców i dawać ognia do woli!

Pod wodzą Bernarda ochotnicy zeszli pośpiesznie. Mimo doznanej straty, nieprzyjaciel zbliżał się ku kanałowi. Już nawet na prawo i lewo gromadki pionierów z zaciekłością usiłowały zestawić łodzie rozrzucone przy brzegu. Przeciwno grożącemu szturmowi komendant ochotników zbierał swych ludzi do pierwszych szeregów, gdy tymczasem ci, którzy pozostali w domu, mieli za zadanie strzelać bez wytchnienia. Padło kolejno pięciu strzelców.

Paweł i p. d'Audeville nie ustawali w pracy, porozumiewając się wzajem co do rozkazów, jakie należało wydawać i najpilniejszych poleceń. Zważywszy olbrzymią przewagę liczebną nieprzyjaciela — zwycięstwo mało było prawdopodobne. Lecz przetrwanie aż do nadejścia posiłków, zapewniało może utrzymanie baszty.

Dom przewoźnika był stale przedmiotem ostrzeliwania dział niemieckich, pociski pękały bezustannie.

Znowu jeden człowiek został raniony; przeniesiono go do alkowy i złożono w sąsiedztwie majora Hermanna; umarł wkrótce.

Na zewnątrz walka szalała nad wodą i w samej nawet wodzie kanału, na łodziach i wkoło łodzi. Zaciekle zmaganie się ciał ludzkich, wrzawa nieopisana, krzyki nienawiści i jęki bólu, wycie przerażenia i śpiew zwycięstwa... zamęt tak straszny, że Paweł i hr. d'Audeville nie wiedzieli wprost w jakim kierunku strzelać.

Paweł rzekł do teścia:

— Boję się, czy nie padniemy przed otrzymaniem pomocy. Muszę więc pana uprzedzić, że porucznik przygotował wszystko, aby wysadzić dom w powietrze. Ponieważ przypadek tylko przywiódł tu pana i nie masz tytułu ani obowiązków walczącego...

— Jestem tu tytułem Francuza, odparł p. d'Audeville. Pozostanę do ostatniej minuty.

— Może zatem starczy nam czasu na dokończenie rozmowy. Posłuchaj mnie panie. Postaram się mówić krótko i zwięźle. Gdyby jedno jakieś słowo mogło wyjaśnić zagadkę, proszę cię przerwij mi natychmiast.

Paweł rozumiał dobrze, że między nimi rozpościerały się niezmierzone mroki tajemnicy, i że winny czy nie, współnik zbrodni czy ofiara oszustw swej żony, p. d'Audeville musiał znać rzeczy, których on, Paweł, był nieświadomy i że rzeczy te mogły być wyjaśnione tylko przez dostateczne przedstawienie zdarzeń.

Zaczął więc mówić, spokojnie, powoli; d'Audeville słuchał w milczeniu. A podczas tego nie przestawali strzelać, nabijając broń, mierząc i znów nabijając z takim spokojem, jakby odbywali ćwiczenia. Wkoło nich i nad nimi śmierć nieubłagana dokonywała swego dzieła.

Lecz Paweł zdołał zaledwie opowiedzieć swoje przybycie z Elżbietą do Ornequin, swoje wejście do zamkniętego pokoju i przerażenie na widok portretu, gdy olbrzymi pocisk rozpęknął im nad głową, osypując ich odłamkami.

Czterej ochotnicy zostali ranieni, Paweł upadł również na ziemię, trafiony w szyję, a chociaż nie doznawał bólu, poczuł natychmiast, że wszystkie jego myśli zaciemniają się, zapadają jakby w gęstą mgłę, z której nie może ich wydobyć. Czynił jednak wszelkie możliwe wysiłki i cudem woli, resztką energii szamotał się z niemi. Ujrawszy teścia klęczącego przy sobie, zdołał jeszcze wyszeptać :

— Dziennik Elżbiety... znajdziesz go w mojej walizie... i kilka kartek przeze mnie pisanych... zrozumiesz wtedy... Lecz naprzód trzeba... słuchaj... ten oficer niemiecki, przywiązany tam... to szpieg... miej go na oku... zabij go... jeżeli nie, to 10-go stycznia... Lecz ty go zabijesz, prawda?

Nie mógł już dłużej mówić. Zobaczył zresztą, że d'Audeville, klęczący u jego nóg, nie słuchał go już prawie, lecz sam również raniony kulą, z twarzą ociekającą krwią, wił się w bólu, aż wkońcu zwałił się na ziemię, rzucając coraz bardziej głuche jęki.

W wielkiej izbie nastała głęboka cisza; za domem, trzeszczały odgłosy strzałów. Umilkły już działa niemieckie. Kontratak nieprzyjaciela osiągnął widocznie zwycięstwo i Paweł, niezdolny do wykonania żadnego ruchu, oczekiwał tylko olbrzymiej eksplozji, zapowiedzianej przez porucznika.

Kilkakrotnie wymówił imię Elżbiety. Myślał o tem, że nie grozi jej już żadne odtąd niebezpieczeństwo, ponieważ i major Hermann zginie także. Zresztą Bernard potrafi ją obronić. Lecz, po pewnym czasie, ten spokój wewnętrzny zaczął się rozwiewać, zmieniając się w jakiś ból głuchy i troskę, ustępując miejsca uczuciu, którego męka stawała się z sekundy na sekundę coraz dotkliwsza. Byłoż to przy-

widzenie, chorobliwa halucynacja? Coś dziwnego działo się tam, w stronie alkowy, w której osadził majora Hermann, gdzie leżał trup żołnierza... O! zgrozo! miał wrażenie, że major przeciął krępujące go więzy, podniósł się i rozglądał wokół siebie.

Z wszystkich sił rozwarł Paweł oczy i wszystkimi siłami starał się trzymać je tak, otwarte.

Lecz coraz gęstsza jakby mgła przysłaniała mu wzrok, a poprzez tą zasłonę rozróżniał wyraźnie, jak major Hermann wyswobadzał się z więzów płaszcza, jak pochylił się nad trupem żołnierza, zdjął zeń niebieską sukienną kurtkę, włożył ją na siebie, jak włożył również czapkę zmarłego, obwiązał szyję jego krawatką, wziął jego bagnet, karabin, naboje i tak przebrany zstępował z trzech stopni drewnianych schodów.

Potworna wizja! Paweł byłby chciał wątpić i uwierzyć w ukazanie się jakiejś zmy, wywołanej gorączką... Lecz wszystko, niestety, potwierdzało niezaprzeczoną rzeczywistość tego obrazu. I w tem była dlań właśnie najpiekniejsza męczarnia! Major ratował się ucieczką!

Zbyt osłabiony i wyczerpany był Paweł, aby móc ogarnąć istotę położenia. Pragnął-że major zabić jego i hr. d'Audeville? Wiedział-że major, że oni obaj ranni znajdowali się tu, pod jego ręką? Pytań tych nie stawiał sobie Paweł. Jedyna myśl prześladowała jego omdlewający mózg: major Hermann uciekał! Dzięki przywdzianemu mundurowi mógł mieszać się z ochotnikami francuskimi! Dótrze do Niemców! Będzie wolny! I rozpocznie przeciw Elżbiecie swe dzieło prześladowania, dzieło śmierci!

Ach! gdybyż nastąpił wybuch! Gdyby tak dom przevoźnika wyleciał w powietrze, a z nim i major.

Paweł czepiał się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Jednakże jego władze umysłowe zaćmiewały się... Myśli plątały się coraz bezradniej... Nagle pograżył się w ciemnościach, w których nic się już nie widzi, nic nie słyszy...

W trzy tygodnie później, generał naczelny wódz armji wysiadł z autobusu przed gankiem starego pałacu Boullonnais, przekształconego w szpital wojskowy.

Oficer kierujący szpitalem oczekiwał go przy drzwiach.

— Czy porucznik Delroze uprzedzony jest o mojem przybyciu?

— Tak jest, panie generale.

— Zaprowadź mnie do jego pokoju.

Paweł Delroze miał wprawdzie szyję obandażowaną, lecz twarz spokojną, bez śladu zmęczenia.

Wzruszony do głębi obecnością wielkiego wodza, którego energja i zimna krew zbawiły Francję, stanął natchniony w pozycji wojskowej. Lecz generał wyciągnął doń rękę i zawołał serdecznie przyjaznym głosem :

— Siadaj-że, poruczniku Delroze... Mówię: poruczniku, taki bowiem od wczoraj jest twój stopień. Nie, nie, bez podziękowań. Nie dbam o to. Jesteśmy zresztą sami. No, cóż tam ? więc już wstajesz ?

— Tak, panie generale. Rana nie była zbyt ciężka.

— Tem lepiej. Jestem zadowolony z wszystkich moich oficerów. Lecz w każdym razie, zuchów podobnych tobie nie zliczysz na tuziny. Twój pułkownik zdał mi o tobie raport tak dodatni, wymieniający cały szereg czynów wprost niezrównanych, że waham się, czy nie odstąpię tym razem od przyjętej przeze mnie zasady i czy nie ogłoszę tego raportu publicznie.

— O ! nie, panie generale, proszę o to.

— Masz słuszość, przyjacielu. Szlachetność bohaterstwa polega na tem, aby ono było ciche i nieznane, w obecnej chwili cała sława powinna przypaść tylko Francji, a nie poszczególnym ludziom. Zadowolę się więc jedynie tem, że wymienię cię znowu w rozkazie do armji i że nadam ci krzyż zasługi.

— Panie generale, nie wiem jak mam...

— Poza tem, mój przyjacielu, jeżeli masz jakie życzenie, wyjaw je, a będę szczęśliwy, mogąc ci zrobić jakąś przyjemność.

Paweł potrząsnął głową z uśmiechem. Miła mu była ta życzliwość i uwaga generała.

— A jeżeli będę zbyt wymagający, generale ?

— No ! bez wahania !

— A więc dobrze, panie generale. Oto moja prośba. Przedewszystkiem proszę jako rekonwalescent o urlop dwutygodniowy, począwszy od soboty 9-go stycznia, to jest od dnia, w którym opuszczę szpital.

— To nie jest żadna łaska. To ci się należy.

— Tak jest, panie generale. Lecz urlop ten będę miał prawo przepędzić, tam gdzie sam zechcę ?

— Rzecz prosta.

— Proszę też o upoważnienie do przejazdów, napisane pańską ręką, generale, mocą którego miałbym swobodę przechodzenia tam i zpowrotem przez linje fran-

cuskie i możliwość zażądania wszelkiej pomocy, jakaby mi była potrzebna.

Generał przypatrzył się przez chwilę Pawłowi i rzekł:

— To czego żądasz, Delroze, jest dość ważne.

— Wiem o tem, generale. Lecz ważne jest także i to, co chcę przedsięwziąć.

— Niechże będzie. Zgoda. A dalej?

— Panie generale, szwagier mój, sierżant Bernard d'Audeville równie jak ja brał udział w całej sprawie domu przewoźnika. Jak i ja ranny, został przeniesiony do tego samego szpitala, skąd, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie mógł wyjść równocześnie ze mną. Chciałbym, aby i on dostał taki sam urlop i prawo towarzyszenia mi.

— Owszem. Cóż dalej?

— Ojciec Bernarda, hrabia Stefan d'Audeville, podporucznik-tłumacz przy armji angielskiej, również został raniony tego samego dnia, przy moim boku. Dowiedziałem się, że rana jego, chociaż poważna, nie grozi niebezpieczeństwem życiu i że przeniesiono go do jakiegoś szpitala angielskiego... Do którego, nie wiem. Prosiłbym, by pan generał sprowadził go stamtąd, z chwilą, gdy wyzdrowieje i zatrzymał go w swoim sztabie głównym, dopóki ja nie powrócę i nie zdam sprawy z tego, co przedsięwzięję obecnie.

— Zgadzam się. To wszystko?

— Prawie wszystko, panie generale. Pozostaje mi tylko podziękować panu generałowi za jego dobroć, prosząc równocześnie o listę dwudziestu więźniów francuskich, zatrzymanych w Niemczech, którymi generał żywo się interesuje. Więźniowie ci będą wolni najdalej za dwa tygodnie.

— Co?

Mimo całej swej zimnej krwi, generał zdawał się nieco poruszony. Powtórzył:

— Wolni za dwa tygodnie?! Dwudziestu więźniów!

— Podejmuję się tego.

— Gadanie!

— Jak mówię, tak będzie.

— Bez względu na ich stopnie wojskowe, bez względu na ich stanowiska społeczne?

— Tak jest, generale.

— Sposobem legalnym, dozwolonym?

— Sposobem, przeciwko któremu nie można podnieść żadnego zarzutu.

General spojrział znowu badawczo na Pawła, wzrokiem dowódcy, który umie osądzać ludzi i oceniać ich wedle istotnej wartości. Wiedział, że ten z którym mówił, nie był zdolny przechwalania się, że był to człowiek silnej woli i czynu, idący prosto przed siebie i dotrzymujący swoich obietnic.

Odpowiedział więc:

— Dobrze, przyjacielu. Lista ta będzie ci jutro wręczona.

IV.

Arcydzieło „kultury“.

Rankiem 10. stycznia, w niedzielę, porucznik Delroze i sierżant d'Audeville wysiadłszy na stacji Corvigny, po przedstawieniu się komendantowi placu, kazali zawieźć się powozem do zamku w Ornequin.

— W chwili, gdy zostałem raniony odłamkiem szrapnela między Izerą a domem przewoźnika — rzekł Bernard — nie przypuszczałem naprawdę, że rzeczy przybiorą podobny obrót. Bo też to było piekło prawdziwe! Wierzaj mi Pawle, że gdyby posiłki nasze były opóźniły się o pięć minut, bylibyśmy gotowi! Można to istotnie nazwać szczęściem!

— Tak — odparł Paweł — naprawdę szczęście! Uświadomiłem to sobie nazajutrz, obudziwszy się w ambulansie francuskim.

— Wścieka się jednak człowiek na myśl — zaczął Bernard — że ten bandyta przeklęty, major Hermann zdołał umknąć! Więc ty sam wzięłeś go jako jeńca? I sam widziałeś jak wyswabadzał się z więzów i uciekał? A to bestja! Zaręczam ci, że potrafił przemknąć się przez strażę bez żadnych przeszkód.

Paweł szepnął:

— Nie wątpię w to, jak nie wątpię również, że wykona teraz swoje groźby i przeprowadzi plany odnośnie do Elżbiety.

— No! Mamy jeszcze czterdzieści ośm godzin czasu, na 10-go stycznia bowiem wyznaczył swemu współnikowi Karolowi dzień swego przybycia, a ma zacząć działać dopiero w dwa dni później.

— Jednakże to już dzisiaj! — rzekł Paweł zmienionym głosem.

Mimo całej trwogi, jaką odczuwał, droga wydała mu się krótka. Zbliżał się nareszcie i tym razem już całkiem realnie, do celu, od którego oddalał go dzień każdy od czterech miesięcy: Ornequin, to była granica, a o kilka kroków za nią — Ebre-court. Nie chciał nawet myśleć o tych wszystkich przeszkodach, jakie spiętrzą się przed nim jeszcze, zanim dotrze do Ebre-court, zanim odnajdzie kryjówkę Elżbiety i będzie mógł ocalić swą żonę. Żył. I ona żyła. Między nią a nim żadnej już zapory.

Zamek Ornequin, a raczej to, co z niego pozostało — gdyż nawet i ruiny zamku ostrzeliwano ponownie w listopadzie — służył za miejsce postoju wojskom terytorjalnym, których okopy ciągnęły się wzdłuż granicy.

Bój od tej strony był dość słaby, przeciwnik bowiem, dla względów taktycznych, nie wysuwał się tutaj zbyt naprzd. Z jednej i z drugiej strony jednak nadzorowano ściśle linię graniczną.

Takie przynajmniej szczegóły otrzymał Paweł od porucznika armji terytorjalnej, któremu rano towarzyszył przy śniadaniu.

— Kochany kolego — oświadczył oficer, któremu Paweł zwierzył się z celu swego przedsięwzięcia, jestem cały na twoje usługi, lecz jeżeli idzie o przejście z Ornequin do Ebre-court, zaręczam ci, nie dokonasz tego.

— Przejde.

— Droga powietrzną, chyba? — zaśmiał się oficer.

— Nie.

— Zatem drogą podziemną?

— Może.

— Nie łudź się. Próbowaliśmy zbudować takie przejście. Napróżno. Znajdujemy się tu na terenie starych, twardych skał, których nie można przebić.

Z kolei uśmiechnął się Paweł.

— Drogi kolego, bądź tak dobry dać mi na godzinę tylko czterech silnych ludzi, uzbrojonych w drągi z okuciem i łopaty, a dziś wieczór jeszcze będę w Ebre-court.

Och! och! ażeby wyźłobić w skale tunel na przestrzeni dziesięciu kilometrów czterech ludzi tylko i godzina czasu?

— Nic więcej. Naturalnie proszę o najściślejszą tajemnicę i co do moich usiłowań i co do ciekawych odkryć, jakie one niechybnie sprowadzą. Dowie się o nich jedynie wódz naczelny, z raportu, który mam mu przedłożyć.

— Zgoda. Sam wybiorę czterech zuchów. Dokąd mam ich dostawić?

— Na terasie, obok zamkowej wieżycy.

Terasa ta ciągnie się na wysokości czterdziestu do pięćdziesięciu metrów nad Liseron'em, a dzięki skrętowi rzeki znajduje się akuratnie naprzeciwko Corvigny, którego wzgórza i dzwonnice można stąd zdaleka zobaczyć. Z wieżycy zamkowej pozostała tylko jej olbrzymia podstawa, która łączy się dalej z murami fundamentów i z skałami naturalnymi, podtrzymującami terasę. Stary ogród ściele aż do stóp muru swe grube drzewa laurowe.

Tam to udał się Paweł. Kilkakrotnie przebiegł dziedziniec, pochylając się nad rzeką i badając oplecione bluszczem rozsypane wały wieżycy.

— A zatem — rzekł porucznik, przybywający z swymi ludźmi — czy to ma być punkt wyjścia? Upprzedzam pana, że jesteśmy zwrócenii tyłem do granicy.

— Phi! — odparł Paweł tym samym żartobliwym tonem — wszystkie drogi prowadzą do Berlina!

Wbijając kołki w ziemię, wyznaczył koło, a zachęcając ludzi do roboty, rzekł:

— No zaczynajcie, przyjaciele!

W dwudziestu minutach, na obwodzie mniej więcej trzech metrów wyłobili w ziemi dziurę na półtora metra głęboką. Na tej głębokości natrafili na warstwę kamieni spojonych z sobą i praca ich stała się o wiele uciążliwsza, cement bowiem był nieprawdopodobnie twardy i nie można go było rozłupać inaczej, jak wpuszczając w szpary ostro zakończone żelazo drągów. Paweł śledził robotę z natężoną uwagą i niepokojem.

— Stać! — zawołał po upływie godziny.

Zszedł do wydrążonej jamy i sam począł wiercić dalej, powoli, jakby badając skutek każdego uderzenia.

— Gotowe! — rzekł podnosząc się.

— Co? — zapytał Bernard.

— Teren, na którym znajdujemy się, jest piętnem rozległych zabudowań, które niegdyś sąsiadowały z starą wieżycą, zabudowań zniesionych od wieków, a na których założono ten ogród.

— Cóż z tego?

— Otóż, drążąc w ziemi, natrafiłem na sufit jednej z starożytnych sal. Patrz!

Chwycił kamień, włożył go w sam środek wywierconego przez siebie wąskiego otworu i spuścił go. Kamień zniknął. A prawie równocześnie usłyszano głuchy odgłos.

— Teraz tylko rozszerzyć ten otwór. Tymczasem trzeba wydobyć skądś drabinę i światło... jak najwięcej światła...

— Mamy żywiczne pochodnie — rzekł oficer.

— Doskonale!

Paweł nie omylił się. Spuszczono drabinę; zszedłszy na dół wraz z Bernardem i porucznikiem, ujrzeni salę o bardzo dużych rozmiarach, której sklepienie wspierało się na grubych słupach, dzielących ją, jakby kościół na dwie nawy główne i węższe boczne.

Paweł zwrócił natychmiast uwagę swych towarzyszy na podłogę tych dwóch naw głównych.

— Widzicie? Z betonu... A tu, patrzcie... tak jak przypuszczałem: szyny, które biegną wzdłuż galerji naokoło jednej z naw!... A oto drugie szyny, w drugiej galerji!

— Lecz cóż to wszystko znaczy? — zawołali równocześnie Bernard i porucznik.

— To znaczy, całkiem prosto — oświadczył Paweł — że mamy przed sobą wyjaśnienie dokładne wielkiej tajemnicy, osłaniającej zdobycie Corvigny i jego dwu fortów.

— Jakto?

— Corvigny i jego dwa forty zostały zniszczone w kilku minutach, prawda? Skądże przychodziły te strzały armatnie, skoro Corvigny znajduje się o sześć mil od granicy, a żadne z dział nieprzyjacielskich granicy tej nie przekroczyło? Strzały te szły zatem stąd, z tej właśnie podziemnej fortecy.

— Niemożliwe!

— Na tych oto szynach przesuwano dwie olbrzymie armaty, które dokonały zniszczenia.

— Zastanów się! Nie można przecież ostrzeliwać z dna piwnicy! Gdzież są otwory strzelnicze?

— Szyny nas zaprowadzą. Świeć porządnie, Bernardzie. Patrzcie, oto ruchoma platforma. A tu druga.

— Lecz gdzież otwory?

— Przed tobą, Bernardzie.

— To mur...

— Tak, mur, który współ z skałą pagórka podtrzymuje terasę ponad Liseron'em, naprzeciw Corvigny. A w tym murze zrobione były i zatkane następnie dwa okrągłe otwory. Można jeszcze rozróżnić wyraźnie ślad widoczny, niemal świeży, wykonanych zabiegów.

Zdumienie Bernarda i porucznika nie miało granic.

— Lecz to olbrzymia praca! rzekł oficer.

— Szalona! odparł Paweł; niech to jednak pana zbytnio nie dziwi, kochany kolego. Mojem zdaniem, zaczęto ją przed szesnastu lub siedmnastu laty. A zresztą, jak już wam mówiłem, część roboty była gotowa, ponieważ znajdujemy się w podziemnych salach starych zabudowań Ornequin'u; wystarczyło je tylko wykryć i przygotować do przeznaczonego celu. Istnieje jednak coś, co jest jeszcze bardziej olbrzymie i zdumiewające.

— To znaczy?

— Tunel, który musieli wybudować, aby sprowadzić tu te dwa ogromne działa.

— Tunel?

— Do licha! A którądyż wyobrażałeś sobie, że one tu przybyły? Idźmy wzdłuż szyn w przeciwnym kierunku, a dojdziemy do celu.

Istotnie, nieco w tyle, dwie drogi żelazne łączyły się z sobą i ujrzeli ziejącą paszczę otworu tunelowego, szerokiego na dwa i pół metra mniej więcej i takiej samej wysokości. Zagłębiał się pod ziemię, bardzo łagodnym spadkiem. Ściany były z cegły. Na murze nie znać było ani śladu wilgoci, a i grunt pod nogami zupełnie był suchy.

— Kolej do Ebrecourt, rzekł śmiejąc się Paweł. Jedenaście kilometrów ukrytych przed słońcem. Widzi się teraz w jaki sposób ograbiono nas z ręcznie z warowni w Corvigny. Naprzód weszło tu kilka tysięcy ludzi, wyrznęli małą załogę Ornequin'u i strażę graniczną, a potem szli dalej ku miastu. W tym samym czasie sprowadzono dwa potworne działa i ustawiono je na miejscach poprzednio ku temu wyznaczonych. Z chwilą dokonania dzieła, armaty odprowadzono, a dziury zatkano. Wszystko to nie trwało dłużej nad dwie godziny.

— Lecz dla tych dwu godzin, zauważył Bernard, król pruski pracował przez siedmnaście lat!

— I zdarza się tak, dorzucił Paweł, że w istocie dla nas właśnie pracował król pruski!

— Błogosławmy go i w drogę!

— Czy chcecie, aby moi ludzie szli z wami? zapytał porucznik.

— Dziękuję kolego. Lepiej, abyśmy z szwagrem moim poszli sami. Jeżeli zaś przypadkiem nieprzyjaciel zniszczył swój tunel, wrócilibyśmy prosić o pomoc. Lecz toby mnie żdziwiło. Nietylko bowiem przedsięwziął wszelkie środki

ostrożności, aby nie można odkryć istnienia tunelu, lecz poza tem zachował go prawdopodobnie na wypadek, w którym on sam mógłby go znowu potrzebować.

Tak więc o trzeciej godzinie po południu obaj szwagrowie zapuszczali się w tunel cesarskiej, jak go nazwał Bernard. Byli dobrze zaopatrzeni w żywność i amunicję i zdecydowani prowadzić sprawę aż do końca.

Prawie odrazu, bo o jakieś dwieście metrów dalej, światło ich kieszonkowej latarki ukazało im stopnie schodów, po prawej stronie.

— Pierwsze rozszczepienie, zauważył Paweł. Wedle mojej rachuby jest ich co najmniej trzy.

— A te schody ?...

— Wiodą najwidoczniej do zamku. A jeżeli mnie spytasz do której części zamku, powiem ci : do pokoju z portretem. Tędy niezaprzeczenie major Hermann przyszedł do zamku w wieczór szturm. Towarzyszył mu wspólnik jego Karol. Ujrawszy nazwiska nasze, skreślone na ścianie, zasztyletowali dwu niewinnych żołnierzy, śpiących w tym pokoju : Gériflour'a i jego towarzysza.

Bernard d'Audeville przystanął.

— Słuchaj Pawle, zdumiewasz mnie do ostateczności. Jesteś jakby jasnowidzący ! Poszedłeś odrazu na miejsce, w którym należało kopać w ziemi, opowiedziałeś wszystko, co się tu działo, jak gdybyś był świadkiem tego, wszystko wiesz, wszystko przewidujesz. Istotnie nie wiedziałem, że posiadasz takie zdolności ! Czy uczęszczałeś na naukę do Sherlock'a Holmes'a ?

— Nawet nie do Arsène'a Lupin, odparł Paweł, ruszając w dalszą drogę. W czasie mej choroby zastanawiałem się nad tem wszystkim. Różne ustępy dziennika Elżbiety, w których wspomina o swych niepokojących odkryciach, nasunęły mi pewne przypuszczenia. I tak powoli, po nitce do kłębka, wnikając w przeszłość i w teraźniejszość, przypominając sobie swoje spotkanie z cesarzem Niemiec i wiele innych rzeczy, wiążących się bezpośrednio z sobą, doszedłem do tego, że powiedziałem sobie : pomiędzy dwiema stronami granicy musi istnieć jakieś tajemne przejście, wychodzące akuratnie w tem miejscu, z którego można strzelać na Corvigny. I wydało mi się, że miejscem tem musiała być terasa, upewniłem się zaś w tem przypuszczeniu całkowicie, ujrawszy na owej terasie zwalone drzewo, obrosłe bluszczem, koło którego Elżbieta zdawawała się słyszeć jakieś szmery, płynące z pod

ziemi. Od tej chwili nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć się do roboty.

— A celem twoim? — spytał Bernard.

— Mam jeden tylko: oswobodzenie Elżbiety.

— Plan zaś?

— Nie mam żadnego. Wszystko zależeć będzie od okoliczności, lecz mam to przekonanie, że jestem na dobrej drodze.

Istotnie sprawdzały się wszystkie jego przypuszczenia. Po upływie dziesięciu minut doszli do miejsca, w którym drogi rozgałęziały się i na prawo biegł drugi tunel, również wyposażony w szyny.

— Drugie rozwidlenie — rzekł Paweł — droga do Corvigny. Tędy to szli Niemcy ku miastu, aby zaskoczyć nasze szeregi i tędy także przeszła wieśniaczka, która za czepiła cię wtedy wieczorem. Wyjście znajduje się prawdopodobnie w pewnej odległości od miasta, może wśród jakiegoś folwarku, należącego do owej rzekomej wieśniaczki.

— A trzecie rozgałęzienie dróg? — zapytał Bernard.

— Otóż i ono — odpadł Paweł.

— To znowu jakieś schody.

— Tak jest i nie wątpię, że prowadzą one do kaplicy. Jakżeż nie przypuszczać, że w dniu, w którym ojciec mój został zamordowany, cesarz niemiecki przybył tu zbadać postęp prac przez niego planowanych, a wykonywanych pod rozkazami tej kobiety, która mu towarzyszyła? Kaplica ta — wówczas nie otaczały jej jeszcze mury parku — jest naturalnie jednym z punktów wyjścia z owej tajemnej sieci, główną zaś tej sieci arterję stanowi droga, którą teraz właśnie idziemy.

Te rozgałęzienia wprowadziły Pawła na dwa nowe jeszcze, a umiejscowienie ich i kierunek kazały się domyślać, że wychodzą one w pobliżu granicy, uzupełniając w ten sposób cały cudowny system udoskonalonego szpiegostwa.

— To nadzwyczajne — mówił Bernard. — Oto jeszcze jeden przykład „kultury“! Widać, ci ludzie posiadają zmysł wojenny. Żadnemu Francuzowi nie wpadłby nigdy do głowy pomysł kopania przez dwadzieścia lat tunelu, dla ewentualnego zbombardowania małej forteczki. Potrzeba na to pewnego stopnia cywilizacji, do którego my nie dośliśmy jeszcze. Ach! łajdaki!

Zdumienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy przekonał się, że górna część tunelu zaopatrzona była w wen-

tylatory. Paweł kazał mu milczeć, lub co najmniej mówić ciszej.

— Jeżeli uważali za stosowne utrzymać swe linje komunikacyjne, to musieli też zabezpieczyć się, aby nie mogły służyć Francuzom. Ébre-court niedaleko stąd. Możliwe, że rozstawili tu w różnych miejscach swoje strażę. Ci ludzie niczego nie zostawiają na los szczęścia i przypadku.

Pomiędzy szynami Paweł spostrzegł płyty żelazne, pod którymi ukryte były miny, zgóry przygotowane na to, by jedną iskrą elektryczną spowodować wybuch.

Pierwsza oznaczona była liczbą 5, druga liczbą 4 i tak dalej. Idąc, omijali je starannie; kroki ich stawały się coraz powolniejsze, tylko rzadka. bowiem i przelotnie odważali się zapalać swe latarki.

Około godziny siódmej usłyszeli, lub raczej zdawało im się, że słyszą nieokreślone szmery, jakie wytwarza na powierzchni ziemi ruch i życie. Ogarnęło ich silne wruszenie. Nad nimi rozciągała się ziemia niemiecka, a echo przynosiło im odgłosy życia nieprzyjaciela.

— To ciekawe jednakże — zauważył Paweł — że tunel ten nie jest strzeżony i że możemy bez przeszkód iść tak daleko.

— Zasługują na zły stopień — rzekł Bernard — „kultura“ coś się psuje.

Jednakże wzdłuż ścian tunelu zaczynały przelatywać jakieś żywsze podmuchy z zewnątrz. Wcisnął się prąd świeżego powietrza; w mroku ujrzeli nagle dalekie światło. Światło to nie drżało, jakby jeden z tych nieruchomych sygnałów, które umieszcza się wzdłuż dróg żelaznych. Wokół wszystko zdawało się spokojne.

Zbliżając się do tego miejsca, zdali sobie sprawę, że było to światło lampki elektrycznej, która znajdowała się wewnątrz baraku, zbudowanego przy samem wyjściu tunelu, rzucając jasność na wielkie, białe skały i na góry z piasku i kamienia.

Paweł wyszeptał:

— To są złomy. Umieszczając tutaj wejście do tunelu, mogli bezpiecznie w czasach pokoju prowadzić swe prace, bez zwrócenia na się uwagi. Możesz być pewny, że eksploatacja tych rzekomych złomów odbywała się skrycie, w zamkniętem kole wtajemniczonych robotników.

— Co za „kultura“! — powtórzył Bernard.

W tej chwili poczuł jak ręka Pawła chwyciła go gwałtownie za ramię. Obok światła coś przesunęło się.

jakby sylwetka, która wylania się i natychmiast potem znika.

Z niesłychaną ostrożnością przyczołgali się do baraku i podnieśli się zlekka, tak, by oczami dosięgnąć wysokości szyb.

Leżało tam, a raczej tarzało się na ziemi sześciu żołnierzy, wśród pustych flaszek, brudnych talerzy, zatłuszczonych papierów i resztek wędliny.

Byli to strażnicy tunelu, spici na śmierć.

— Zawsze ta „kultura“, — rzekł Bernard.

— Mamy szczęście — odparł Paweł; teraz tłumaczę sobie brak nadzoru: to niedziela dzisiaj.

Na stole stał aparat telegraficzny. Do ściany przytwierdzony był telefon, a pod płytą grubego szkła zauważył Paweł tablicę, na niej zaś pięć miedzianych rączek, które łączyły się widocznie z drutami elektrycznymi pięciu pieców wybuchowych, przygotowanych w tunelu.

Oddalając się z tego miejsca, Paweł i Bernard, szli dalej wzdłuż szyn, w głębi wąskiego wąwozu, wyżłobionego w skale, który doprowadził ich wreszcie do wolnej przestrzeni, błyszczącej mnóstwem świateł. Przed nimi rozciągała się wioska, pełna koszar i zamieszkała przez żołnierzy, przechadzających się w różnych kierunkach. Okrążyli ją. Przyciągał ich odgłos samochodów i oślepiający blask dwu na wysokich wieżach umieszczonych latarni; przeszedłszy przez ogrodzenie i gęstwinę krzaków, ujrzeli dużą, jasno oświetloną willę.

W tej chwili właśnie przed gankiem willi, na którym stali łokaje i gromadka żołnierzy, zatrzymał się automobil. Wysiadło zeń dwu oficerów i kobieta odziana w futro. Na zakręcie blask latarni ukazał obszerny ogród, zamknięty wysokim murem.

— A więc jest tak, jak przypuszczałem — rzekł Paweł. Mamy przed sobą tyły zamku Ornequin. Zarówno u wejścia do tunelu, jak i u wyjścia stacja dobrze chroniona, pozwalająca pracować bezpiecznie zdala od ciekawych spojrzeń natrętów. Wprawdzie stacja z tej strony, zamiast pod ziemią, jak z tamtej, znajduje się na wolnem powietrzu, natomiast kamieniołomy, koszary, wojska garnizonu, willa głównego sztabu, ogród, remizy, cały ten organizm wojskowy otoczony jest murami i strzeżony bez wątpienia przez zewnętrzne placówki.

I to wyjaśnia, że wewnątrz można poruszać się z taką łatwością i swobodą.

W tej chwili drugi automobil przywiózł trzech oficerów i skierował się za pierwszym, w stronę remizy.

— Odbywa się zabawa, — zauważył Bernard.

Postanowili przybliżyć się, o ile tylko możliwe, do willi, w czym dopomagały im cieniste, rozłożyste drzewa w alei otaczającej dom.

Od tylnej strony pokoi parterowych dochodziły odgłosy hałaśliwej wrzawy i śmiechów. Wywnioskowali stąd, że tam zgromadzeni byli uczujący, którzy prawdopodobnie w tej chwili właśnie zasiadali do stołu. Rozlegały się głosy, śpiewy. Na zewnątrz domu panowała cisza. Ogród był pusty.

— Miejsce jest spokojne — przemówił Paweł. Pomóżesz mi wdrapać się, a sam zostaniesz w ukryciu.

— Chcesz podejść do któregoś z okien? Lecz okiennice?

— Nie muszą być zbyt szczelne. Światło przenika przez środek.

— Jakież jest wreszcie twój cel? Niema żadnego powodu, dla którego mielibyśmy zająć się bardziej tym domem, niż jakimkolwiek innym.

— Owszem. Ty sam przecież doniosłeś mi, wedle zeznań jednego z rannych, że książę Konrad zamieszkał w willi w okolicy Ebrecourt. Otóż położenie tego właśnie domu u wejścia do tunelu jest dla mnie wskazówką...

— Nie mówiąc już nawet o tej zabawie, która ma pozory naprawdę książęce, — dorzucił z śmiechem Bernard. Masz słuszność. Próbuje.

Przeszli aleję. Przy pomocy Bernarda Paweł uchwycił się gzymsu i wspiął się aż do kamiennego balkonu.

— Doskonale — rzekł. A teraz wracaj i na wypadek popłochu: sygnał świstawki.

Stanąwszy na balkonie, wsunął palce, potem rękę w szparę okiennicy i zdołał ją nieco odchylić. Dzięki spuszczonej storom mógł działać, sam nie będąc widzianym, mały zaś trójkątny otwór w storach pozwalał mu patrzeć na to, co działo się wewnątrz sali.

A widok, który przedstawił się jego oczom, zadał mu cios tak straszny, iż nogi zadrżały pod nim i o mało nie stracił równowagi...

V.

Księżę Konrad się bawi.

Równolegle do trzech okien sali zastawiony długi stół. Na nim nieprawdopodobne nagromadzenie flaszek, karafek i szklanek, wśród nich talerze z ciastami i owocami. Tu i ówdzie butelki z szampanem, na flaszkach zaś z likierem ustawiony koszyk kwiatów.

Przy stole dwudziestu biesiadników, w tem sześć kobiet w sukniach balowych, reszta, to oficerowie, wspaniale udekorowani.

W pośrodku, zwrócony twarzą ku oknom, przewodzi uczcie książę Konrad, mając przy sobie dwie kobiety, jedną po prawej, drugą po lewej stronie. Widok tych trzech osób, związanych nieprawdopodobnym węzłem z logiką wypadków, zadawał Pawłowi najokrutniejszą mękę.

Tłumaczył sobie obecność jednej z dwu kobiet, siedzącej tu sztywnie, po prawej ręce księcia, w sukni z brązowej wełny, ukrywającej do połowy swe krótkie włosy pod czarną koronkową chusteczką. Lecz co robiła tu ta druga kobieta, ku której książę Konrad zwracał się z udaną a tak grubiańską uprzejmością, ku której Paweł kierował swój wzrok osłupiały, którą byłby pragnął zadusić własnymi rękoma? Co robiła tu Elżbieta wpośród podnieconych winem oficerów, mniej lub więcej podejrzanym Niemców, obok księcia Konrada i owej potwornej istoty, której nienawiść ścigała Pawła na każdym kroku?

Hrabina Hermina d'Audeville! Elżbieta d'Audeville! Matka i córka! Takie tylko miano mógł Paweł nadać obu towarzyszkom księcia. A myśli jego przywodził w chwilę potem głos księcia Konrada, który powstając, z kielichem szampana w dłoni, wył dziko:

— Hoch! Hoch! Hoch! Piję zdrowie naszej czujnej przyjaciółki! Hoch! Hoch! Hoch! Niech żyje hrabina Hermina!

Padły straszne słowa, a Paweł je usłyszał.

— Hoch! Hoch! Hoch! — wrzasnęła gromada gości. Zdrowie hrabiny Herminy!

Hrabina d'Audeville chwyciła w dłoń puhar, a wychylając go odrazu, poczęła rzucać słowa, których Paweł nie mógł dosłyszeć, a których usiłowali słuchać z zapalem wszyscy zebrani, mimo podniecenia trunkiem.

Słuchała i ona również, Elżbieta.

Miała na sobie suknię popielatą, którą Paweł znał dobrze, bardzo skromną, o rękawach spadających niemal aż po palce u rąk.

Lecz wokół szyi, zwiślał na piersi wspaniały naszyjnik z dużych pereł, w czterech sznurkach, a naszyjnika tego Paweł nie znał.

— Podła! podła! — szepnęła.

Uśmiechnęła się. Tak, dojrzał na ustach młodej kobiety uśmiech wywołany słowami, które wyrzekł pochylając się ku niej książę Konrad.

Wesołość księcia stawała się tak hałaśliwą, iż hrabina Hermina uderzeniem wachlarza po ręce musiała przywoływać go do spokoju.

Cała ta scena była tak straszna dla Pawła i zadawała mu tak piekielną mękę, iż w głowie jego ostała się już tylko jedna jedyna myśl: odejść stąd, zaniechać walki i z życia swego i z swoich wspomnień wygnać tą odrażającą kobietę, która nosiła miano jego żony.

— Prawdziwa córka hrabiny d'Audeville — myślał z rozpaczą.

Lecz w chwili, gdy miał już odejść, zatrzymał go drobny fakt. Elżbieta podniosła do oczu chusteczkę, zmiętą w dłoni i ocierała ukradkiem łzę, spływającą po policzku.

Zauważył równocześnie, że była śmiertelnie blada; wszystka krew, rzekłbyś, zbiegła z tej biednej twarzy. I jaki smutny w gruncie rzeczy uśmiech wykrzywił jej usta w odpowiedzi na żarty księcia!

— Lecz wobec tego, co ona tu robi? — pytał się w duchu Paweł. Nie mamże prawa sądzić, że jest winna i że to właśnie wyrzuty sumienia wydzierają jej łzy z oczu? Żądza życia, strach, groźby spodliły ją, a dzisiaj płacze...

I w myśli, w dalszym ciągu nie szczędził jej obelg; równocześnie jednak, powoli, poddawał się uczuciu litości dla tej, która nie miała dość sił, aby stawić czoło okrutnym doświadczeniom losu.

Potok słów hrabiny Herminy zdawał się niewyczerpany. Wychylała coraz to nowe kielichy wina, każdym razem rzucając szkło w tył poza siebie, na ziemię. Za jej przykładem szli oficerowie i ich żony. Entuzjastyczne „hoch“ krzyżowały się w powietrzu; w przystępie szału patriotycznego książę Konrad podniósł się i zaintonował pieśń *Deutschland über Alles*, którą pochwyliła reszta biesiadników z pijanym zapalem.

Elżbieta łokciami oparła się o stół i dłonie przyłożyła do twarzy, jakby tym sposobem szukając odosobnienia od reszty towarzystwa. Lecz książę, ciągle w postawie stojącej, chwycił ją za rękę i odsłonił twarz brutalnie.

— Bez kaprysów, moja piękna!

A widząc odruch jej odrazy, ciągnął dalej:

— Cóż to znowu? Jakieś dąsy, fochy? O! moja pani! Lecz co widzę? Kieliszek dotąd pełny!?

Chwycił szkło w rękę i drżący z złości przytknął je do warg Elżbiety.

— Na moje zdrowie, mała. Na zdrowie pana i władcy! Cóżto? Odmawia mi się?... Ach! rozumię! Szampan już nie smakuje. Precz z szampanem! Chcesz reńskiego, prawda? Pamiętasz piosenkę twoich rodaków: „Mieliśmy wasz Ren niemiecki, mieliśmy go w naszych szklankach“... Reńskie wino!

Zgodnym odruchem oficerowie, wyprostowawszy się, wrzeszczeli: „*Die Wacht am Rhein!*“ „Nie zdobędą Renu niemieckiego, chociaż kraczą jak chciwe kruki“...

— Nie będą go mieli, — dorzucił rozjątrzony książę, lecz ty się go napijesz, ty, mała!

Napełniono nowy kieliszek. I znowu chciał zmusić Elżbietę, aby wychyliła go duszkiem, gdy ona zaś odtrąciła go, zaczął szeptać jej coś do ucha, oblewając przytem winem suknię swej ofiary.

Wszyscy umilkli, jakby w oczekiwaniu jakiegoś wydarzenia. Elżbieta, bledsza jeszcze niż dotąd, siedziała bez ruchu. Pochylony nad nią książę miał twarz zwierzęcia, które naprzemian grozi i błaga i rozkazuje i znieważa. Straszne widzenie! Paweł byłby oddał swe życie, aby Elżbieta w odruchu buntu zasztyletowała napastnika. Lecz ona, odwróciwszy głowę, zamknęła oczy i omdlewająca, przyjmując kielich, wypila kilka łyków.

Książę wydał okrzyk tryumfu, a potrząsając w powietrzu kielichem, przytknął lubieżnie wargi do brzegu, na którym spoczywały usta kobiety i wychylił duszkiem.

— Hoch! Hoch! wrzasnął. Wstać, towarzysze! Stań na krzesłach i jedna noga na stół! Wstać, zwycięscy świata! Opiewajmy siłę niemiecką! Opiewajmy niemiecką galanterję! „Nie będą mieli wolnego Renu niemieckiego, dopóki śmiałkowie nasi umizgać się będą do zgrabnych dziewcząt“. Elżbieto, wypilem reńskie w twojej szklance. Znam mała, twoje myśli. Myśli miłosne, moi towarzysze! Jestem władcą!... Och! Paryżanka... Paryska kobietka... Paryża nam trzeba... Och! Paryż! Och! Paryż...

Chwiał się na nogach. Kieliszek wypadł mu z rąk i rozbił się o szyjkę flaszki. Opadł kolanami na stół, na czerepy talerzy i szklanek, a chwytając w rękę flaszkę likieru, zwałił się na ziemię bełkocząc:

— Paryża nam trzeba... Paryża i Calais... Ojciec tak powiedział... Łuk zwycięstwa... Kawiarnia angielska... Moulin-Rouge!...

Wrzawa ucichła raptownie. Silny głos hrabiny Herminy rozkazywał:

— Rozejść się! Niechaj każdy wróci do siebie! Prędej panowie, prędzej!

Oficerowie i panie ulotnili się szybko. Na dworze, z przeciwnej strony domu, rozległ się gwizd kilku świstawek. Prawie równocześnie pojawiły się samochody. Nastąpił ogólny odjazd.

Hrabina dała znak służbie, a wskazując księcia Konradą, rzekła:

— Zanieście go do jego pokoju.

W okamgnieniu wyniesiono księcia.

Wówczas hrabina Hermina zbliżyła się do Elżbiety.

Od chwili, gdy książę zwałił się pod stół, upłynęło zaledwie pięć minut; wrzawa uczty ustąpiła miejsca wielkiej ciszy; w pokoju pełnym nieładu, oprócz obu kobiet nie było nikogo.

Elżbieta ponownie ukryła twarz w dłoniach i płakała teraz dowoli; szlochanie wstrząsało całem jej ciałem. Hrabina Hermina usiadła przy niej i dotknęła lekko jej ramienia.

Obie kobiety patrzyły na siebie w głębokiem milczeniu. U obu wzrok dziwny, ciężki od wzajemnej nienawiści. Paweł nie spuszczał ich z oka. Badając tak jedną i drugą, wyczuwał dokładnie, że kobiety te nie spotykały się teraz po raz pierwszy i że słowa, które padną, będą tylko dalszym ciągiem poprzednich wyjaśnień. Lecz jakich wyjaśnień? Co wiedziała Elżbieta odnośnie do hrabiny Herminy? Czyż uważała za matkę tą kobietę, na którą spozierała z takim wstrętem?

Trudno było wyobrazić sobie dwie istoty o bardziej różnych twarzach i bardziej odmiennym wyrazie, znamionującym zasadniczą odrębność tych dwu natur. A jednakże silny był węzeł dowodów skuwających je obie! Nie były to już nawet dowody, lecz rzeczywistość tak żywa i istotna, że Paweł nie śmiał nawet zastanawiać się nad nią. Zmieszanie pana d'Audeville na widok fotografii hrabiny, fotografii zdjętej w Berlinie, w kilka lat po jej rzekomej śmierci,

czyż nie było jaskrawym dowodem, że pan d'Audeville był współnikiem całej sprawy udanej śmierci żony, współnikiem, może, wielu innych zbrodni?

I Paweł powracał znowu do nurtującego go pytania, które nasuwało mu na myśl spotkanie matki z córką; co wiedziała o tem wszystkiem Elżbieta? O ile zdawała sobie sprawę z tego potwornego splotu hańby, zdrad i występków? Czy oskarżała swą matkę? Czy czując się przytłoczoną ciężarem zbrodni, zrzucała na matkę odpowiedzialność za swe własne tchórzostwo i podłość?

— Tak, tak, bez wątpienia, mówił sobie Paweł; lecz skąd tyle nienawiści? Jedynie śmierć mogłaby nasycić straszną nienawiść, która unosi się między niemi. A gwałtowniejszą nawet żądzą morderczą dyszą może oczy Elżbiety, niż oczy tej, która przysłała tu w celu zabójstwa.

Paweł odczuwał to tak wyraźnie i dotkliwie, iż oczekiwał istotnie krwawego czynu z strony którejś z kobiet i przemyślał już nad sposobem dania pomocy Elżbiecie. Nagle zdarzyła się rzecz zupełnie niespodziewana. Oto hrabina Hermina wyjęła z kieszeni jedną z owych wielkich kart topograficznych, jakeimi posługują się automobiliści, rozłożyła ją, przebiegła palcem linję zakreśloną czerwonym ołówkiem, a zatrzymując się na pewnym punkcie, wyrzekła kilka słów, które zdały się obudzić niesłychaną radość w Elżbiecie.

Młoda kobieta chwyciła kurczowo ramię hrabiny i zaczęła mówić gorączkowo, śmiejąc się, to znów szlochając naprzemian; hrabina potrzasała głową, jakby chcąc rzec:

— Rozumie się... Zgadzaemy się w zupełności... wszystko odbędzie się wedle twego życzenia...

Paweł miał wrażenie, że Elżbieta lada chwila pochyli się dla ucałowania ręki swej ciemieżycielki, tak zdawała się pełna wdzięczności i rozczulenia i stawiał sobie trwożliwe pytanie: w jakąż nową pułapkę wpadła ta biedaczka? gdy hrabina wstała z miejsca, podeszła ku drzwiom i otworzyła je.

Uczyniwszy jakiś znak, powróciła.

Ktoś wszedł do pokoju, odziany w mundur wojskowy.

I Paweł zrozumiał wszystko. Człowiek, wprowadzony przez hrabinę Herminę, był to szpieg Karol, jej współnik, wykonawca jej planów, ten, któremu powierzyła misję zabicia Elżbiety. Godzina nieszczęsnej ofiary wybiła.

Karol skłonił się. Hrabina Hermina przedstawiła go, poczem ukazując na mapie dwa punkty, zaznaczone czerwonym ołówkiem, wytłumaczyła mu, czego odeń żądano.

Wyciągnął zegarek i jakby składając obietnicę, wyrzekł: — Wkrótce będzie spełnione.

W tej chwili, na żądanie hrabiny, Elżbieta opuściła pokój.

Mimo, że Paweł nie słyszał ani słowa z całej tej rozmowy, scena, która rozegrała się w jego oczach, nie przedstawiała dlań tajemnicy i wprawiała go w istotne osłupienie. Hrabina, korzystając z nieograniczonej swej władzy i wyzyskując to, że księżę Konrad spał, proponowała Elżbiecie plan ucieczki, prawdopodobnie w automobilu i w miejsce zgóry określone. Elżbieta z radością przyjmowała to nieoczekiwane wyzwolenie. A ucieczka miała odbyć się pod kierunkiem i opieką Karola.

Sidla były doskonale zastawione i nieszczęśliwa kobieta, oszalala z cierpienia, rzucała się w nie z jak najlepszą wiarą i ufnością; obaj współnicy, pozostawszy sami, wybuchnęli śmiechem. Rzecz cała dokonywała się istotnie zbyt łatwo i w podobnych warunkach przeprowadzenie dzieła nie przedstawiało żadnej zasługi.

Odbyła się zrazu między nimi krótka gra mimiczna, bez słowa: dwa ruchy pełne piekielnego cynizmu. Z oczyma, utkwionemi w hrabinę, szpieg Karol rozchylił kurtkę i do połowy wyciągnął z pochwy sztylet. Hrabina, nie zgadzając się najwidoczniej na ten plan, podała nędznikowi mały flakonik, on zaś schował go do kieszeni, odpowiadając wzruszeniem ramion:

— Jak pani zechce! Wszystko mi jedno!

I usiadłszy jedno przy drugim, zaczęli się porozumiewać, rozmawiając z żywością; hrabina udzielała swych wskazówek, Karol przyjmował je lub krytykował.

Paweł uświadomił sobie, że jeżeli nie opanuje swego przerażenia, Elżbieta będzie zgubiona. Ażeby ją ocalić, należało zachować pełną przytomność umysłu i przedsięwziąć, stosownie do okoliczności, bez wahania, bez namysłu, natychmiastowe postanowienia.

A postanowienia te mógł powziąć tylko przypadkiem, na chybi trafi, nie znał bowiem w rzeczywistości planów wroga. Niemniej przygotował rewolwer.

Przypuszczał, że żona jego, przysposobiwszy się do drogi, wróci do sali i stąd odejdzie wraz z szpiegiem; po chwili hrabina zadzwoniła na służącego i wydała mu

jakieś polecenie. Służący wyszedł. Paweł usłyszał wówczas dwa gwizdy świstawki, następnie zaś turkot samochodu, coraz bliższy, coraz wyraźniejszy.

Przez rozchylone drzwi Karol wpatrywał się uparcie w korytarz. Obrócił się nagle ku hrabinie, jakby mówiąc:

— Otóż i ona... Już schodzi...

Paweł zrozumiał wówczas, że Elżbieta szła od razu prosto do automobilu, gdzie miał przyłączyć się do niej Karol. Wobec tego należało działać — i to bezzwłocznie.

Przez sekundę nie wiedział co robić. Czy skorzystać z sposobności, wtargnąć do sali i wystrzałem z rewolweru zabić Karola i hrabinę Herminę? W tem było jedyne ocalenie Elżbiety, w rękach bowiem obojga bandytów spoczywało jej życie.

Obawiał się jednakże, że ta śmiała próba może się nie udać, zeskakując więc z balkonu, zawołał Bernarda.

— Elżbieta jedzie automobilem, Karol jest z nią i ma ją otruć. Idź za mną... z rewolwerem w rękę...

— Co chcesz uczynić?

— Zobaczymy.

Okrążyli willę, prześlizgując się przez krzaki, biegnące wzdłuż alei. Ogród był zupełnie pusty.

— Słyszysz? — zapytał Bernard. Automobil odjeżdża..

Paweł, zaniepokojony zrazu, zaprzeczył po chwili:

— Ależ nie, nie, to turkot motoru.

Gdy mogli już dojrzeć główną fasadę willi, zobaczyli przed gankiem automobil; latarnie jego oświecały przeciwną stronę ogrodu, pozostawiając w cieniu miejsce, w którym znajdowali się Paweł i Bernard. Wokół samochodu stała gromadka żołnierzy i służby.

Kobieta zeszła po stopniach ganku i zniknęła w automobile.

— Elżbieta — rzekł Paweł. A oto Karol...

Szpieg przystanął na ostatnim stopniu i żołnierzowi, służącemu za szofera, wydał rozkazy, których urywki doleciały do uszu Pawła.

Zbliżała się chwila odjazdu. Jeszcze minuta i jeżeli Paweł nie stawi oporu, automobil uprowadzi mordercę i jego ofiarę. Minuta straszna, Paweł Delroze czuł bowiem całe niebezpieczeństwo swego ewentualnego wtargnięcia, które nie mogłoby nawet ostatecznie zapobiec złemu, ponieważ śmierć Karola nie przeszkodziłaby hrabinie Herminie w wykonaniu jej planów.

Bernard szepnął:

— Nie masz chyba zamiaru porwania Elżbiety? Posterunki straży...

— Chcę tylko jednej rzeczy: powalić Karola.

— A potem?

— Potem? Pochwyć nas. Będzie śledztwo, skandal... Książe Konrad wmiesza się w całą sprawę...

— I rozstrzelają nas. Przyznaje, że plan twój...

— Masz inny, lepszy?

Zamilkł. Szpieg Karol z wściekłością zwymyślał swego szofera; Paweł pochwycił słowa:

— Łajdak! Idjota! Zawsze to samo! Niema benzyny! Czy przypuszczasz, że znajdziemy ją gdzie w drodze tej nocy? Gdzież jest ta benzyna? W remizie? Leć-że po nią, gamoniu! A moje futro? Zapomniałeś je naturalnie także? Galopem! Przynieś natychmiast. Sam poprowadzę auto. Z takim idjotą jak ty, to zbyt niebezpieczne...

Żołnierz pobiegł spełnić rozkazy. Paweł zorjentował się w tej chwili, że i on sam mógł niespostrzeżenie, nie opuszczając ciemności, podejść aż do remizy. Rzekł więc do Bernarda:

— Chodź ze mną, mam myśl, którą potem zrozumiesz.

Gęsta trawa trawnika głużyła ich kroki; dotarli w ten sposób do zabudowań zajętych przez stajnie i automobilowe remizy i weszli do środka nie widziani przez nikogo z zewnątrz. Żołnierz znajdował się w tylnym magazynie którego drzwi były otwarte. Z swego ukrycia widzieli go, jak zdejmował z wieszadła olbrzymią baranicę, którą zarzucił sobie na ramię, jak brał potem cztery bańki benzyny. Objuczony w ten sposób, wyszedł z magazynu i przeszedł przed Pawłem i Bernardem.

Cios został zadany raptownie i żywo. Zanim żołnierz zdołał krzyknąć, już leżał na ziemi unieruchomiony, z zakneblowanymi ustami.

— Już się stało — rzekł Paweł. — A teraz daj mi jego płaszcz i czapkę. Byłbym wolał uniknąć tego przebrania, lecz aby dopiąć celu...

— Ważysz się na wielkie niebezpieczeństwo — odparł Bernard. — Jeżeli bowiem Karol pozna, że to nie jego szofer?...

— Nie przyjdzie mu na myśl oglądać go.

— Lecz jeżeli zagada do ciebie?

— Nie odpowiem. Zresztą, z chwilą gdy znajdziemy się poza obrębem willi, nic mi już z jego strony nie grozi.

— A co ze mną?

— Ty, zwiąż starannie twego jeńca i zamknij go w jakiejś kryjówce. Potem wróć pomiędzy zarośla drzew i czekaj za balkonowym oknem. Mam nadzieję, że około północy przybędę do ciebie wraz z Elżbietą i w troje puścimy się w drogę tunelem. Gdybym przypadkiem nie nadchodził...

— Cóż wtedy?

— Idź sam przed wschodem słońca.

— Ale...

Paweł już oddalał się. Znajdował się w tym stanie umysłu, w którym człowiek nie zastanawia się już nawet nad tem, co postanowił przyprowadzić do skutku. Okoliczności, zresztą, zdawały się mu sprzyjać. Karol przyjął go wprawdzie obelgami, nie przywiązywał jednak większej uwagi do owego osobnika, dla którego żywił najgłębszą pogardę. Szpieg otulił się baranicą, zajął miejsce szofera i ujął kierownicę; Paweł usiadł przy nim.

Automobil ruszał już, gdy głos jakiś zawołał z zamku:

— Karol! Karol!

Paweł zaniepokoił się. Był to głos hrabiny Herminy. Przystąpiwszy do szpiega, rzekła doń szeptem po francusku:

— Polecam ci Karolu... Wszak twój szofer nie rozumie po francusku, prawda?

— Zaledwie trochę po niemiecku, Ekscelencjo. To prawdziwe bydlę. Może pani spokojnie mówić.

— A zatem: nalej tylko dziesięć kropel z flakonika, nie więcej, bo inaczej...

— Rozumię, Ekscelencjo. A dalej?

— Doniesiesz mi za tydzień, czy wszystko dobrze się odbyło. Pisz pod naszym adresem paryskim, lecz nie przedź, jak za tydzień, to byłoby bezcelowe.

— Pani wróci zatem do Francji, Ekscelencjo?

— Tak jest. Plan mój gotowy.

— Zawsze ten sam?

— Tak. Czas zdaje się sprzyjać. Deszcz pada już od dość dawna, a główny sztab uprzedził mię, iż będzie działał z swej strony. Będę więc tam jutro wieczór i wystarczy ruszyć palcem...

— Istotnie. Pracowałem i ja nad tem i wszystko jest na ukończeniu. Lecz Ekscelencja wspominała mi o drugim

planie, który miał być uzupełnieniem pierwszego, a przyznaje, że plan ten...

— Jest konieczny — odparła. — Szczęście odwracał się od nas. Jeżeli mi się uda, będzie to zakończeniem „czarnej serji“.

— A czy ma Ekscelencja przyzwolenie cesarza?

— Niepotrzebne. To są przedsięwzięcia, o których się tam mówi.

— To jest i niebezpieczne i straszne, Ekscelencjo.

— Tem gorzej.

— Czy jestem tam potrzebny?

— Nie. Uwolnij nas od tej małej. To wystarczy narazie. Żegnam.

— Do widzenia, Ekscelencjo.

Szpieg nacisnął korbę; automobil ruszył.

Aleja, okalająca środkowy trawnik, prowadziła przed pawilon, położony przy kracie ogrodowej, a służący za pomieszczenie dla straży. Z każdej strony wznosiły się wysokie mury obwodowe.

Jakiś oficer wyszedł z pawilonu. Karol rzucił hasło: „Hohenstaufen“. Brama otworzyła się i automobil wjechał na szeroką drogę, która przecina naprzód miasteczko Ebrecourt i wije się następnie wśród łagodnych wzgórz.

Tak więc Paweł Delroze znajdował się o jedenastej godzinie w nocy, sam z Elżbietą i szpiegiem Karolem, wśród zapadłej wsi. Jak tylko upora się z szpiegiem — a w to nie wątpił, — Elżbieta będzie wolna. Potem należy już tylko powrócić, wtargnąć przy pomocy hasła do willi księcia Konrada i złączyć się z Bernardem. Wedle planów Pawła, tunelem mieli przedostać się wszyscy troje do zamku Ornequin.

Radość ogarniała Pawła. Elżbieta była już pod jego opieką. Chociaż odwaga jego żony ugięła się pod ciężarem doświadczeń, powinien być dla niej pobłażliwy, ponieważ z jego winy była nieszczęśliwa. Zapominał, chciał zapomnieć o wszystkich złych epizodach dramatu, by myśleć tylko o bliskim rozwikłaniu, o zwycięstwie, o ocaleniu swej żony.

Badał uważnie drogę, aby nie zgubić się na zakrętach i układał plan swej napaści, pragnąc dokonać jej na pierwszym postoju, który będą musieli odbyć. Postanowił nie zabijać szpiega, lecz oszołomić go uderzeniem pięści, a następnie skrępowanego wrzucić w jakieś zarośla.

Przejeżdżali przez dość wielką miejscinę, potem przez dwie wioski, dalej przez miasto, w którym trzeba było się zatrzymać i pokazać papiery.

A potem znowu wieś i szereg małych gajów.

Słabło światło automobilowych latarek; Karol zwolnił biegu.

Mruczał z złością:

— A to bydlę! nie umie nawet dopilnować latarek! Czy dodałeś karbidu?

Paweł nie odpowiedział. Karol złorzeczył dalej. Zahamowując wreszcie, krzyknął:

— Niech cię djabli wezmą, idjoto! Niesposób jechać dalej... No, zbudź się i zapal.

Paweł zeskoczył na ziemię; auto stanęło przy brzegu drogi. Nadeszła chwila działania.

Zajął się zrazu latarką, śledząc równocześnie ruchy szpiega i unikając starannie promieni światła. Karol zsiadł z kozła, otworzył drzwiczki automobilu i rozpoczął rozmowę, której Paweł nie dosłyszał. Następnie kręcił się koło samochodu.

— No cóż, ty idjoto, może już skończysz?

Paweł odwracał się doń plecami, pochłonięty pozornie swoją robotą, czyhajac na właściwą chwilę, w której będzie mógł dosięgnąć ręką szpiega, gdy ten przybliży się o dwa kroki.

Upłynęła minuta. Zacisnął pięści. Obliczył dokładnie konieczny ruch i już miał go wykonać, gdy nagle został napadnięty z tyłu, schwycony za ramiona i rzucony o ziemię; nie był w stanie stawić najmniejszego oporu.

— A! do pioruna! — krzyknął szpieg, przytłaczając go kolanem, a więc to dlatego nie odpowiadałeś na moje pytania?... Zachowanie twoje odrazu wydało mi się podejrzanym... Lecz później, przestałem o tem myśleć... Aż oto w tej chwili latarka oświeciła twój profil. Cóż to za drab chciał mię wywieść w pole? Może to jakiś psi Francuz?

Paweł wyprostował się pod naciskiem, miał wrażenie, że zdoła się zeń wyswobodzić. Wysiłek przeciwnika słabnął. Opanowując go zlekka, wykrzyknął:

— Tak, Francuz, Paweł Delroze, ten, którego chciałeś ongiś zabić, mąż Elżbiety, twojej ofiary... Tak, to i ja wiem kto ty jesteś... rzekomy Belgijczyk Lascheu, szpieg Karol.

Umilkł. Szpieg, wyciągnawszy sztylet z za pasa, skierował go na wroga.

— Ach ! Paweł Delroze... Do pioruna, wyprawa będzie zatem owocna... Oboje, jedno po drugim... mąż... i żona... O ! wpakowałeś się w moje szpony... Masz ! Łap-że teraz, mój chłopcze...

Paweł ujrzał nad sobą błysk ostrza sztyletu ; zamknął oczy, wymawiając imię Elżbiety...

Upłynęła sekunda, a potem, jeden po drugim, rozległy się trzy wystrzały. W tyle, z poza obu zapaśników, ktoś strzelał.

Szpieg rzucił wstrętne przekleństwo. Rozluźnił się uścisk jego ramion, obejmujących przeciwnika. Broń wypadła mu z ręki i zwałił się na brzuch, jęcząc :

— Ach ! przekłeta kobieta... przekłeta kobieta... Powinienem był zadusić ją w aucie... spodziewałem się, że tak będzie...

I belkotał ciszej :

— Wszystko skończone ! Ach ! przekłeta kobieta... jak ja cierpię !...

Zamilkł. Kilka konwulsyjnych ruchów. Czkawka agonji — i to było wszystko.

Jednym skokiem Paweł powstał z ziemi. Pobiegł ku tej, która go ocaliła i która trzymała jeszcze rewolwer w dłoni.

— Elżbieto ! — zawołał, pijany radością.

Przerwał ; ramiona opadły mu bezwładnie. Dojrzał w mroku, że postać kobieca różniła się od sylwetki Elżbiety ; była wyższa i tęższa.

Szeptał z niesłychaną trwogą :

— Elżbieto... Czyż to ty ? Czy to ty ?

I równocześnie wyczuwał już odpowiedź, którą miał usłyszeć.

— Nie — rzekła nieznajoma — pani Delroze pojechała przed nami, w innym automobile. Karol i ja mieliśmy podążyć za nią.

Paweł przypomniał sobie, iż istotnie w chwili, gdy wraz z Bernardem okrążali willę, zdawało mu się, że słyszał turkot automobilu. Ponieważ zaś między odjazdem obu samochodów mogło być zaledwie kilka minut różnicy, nie tracąc odwagi, zawołał :

— Prędko, zatem, śpieszmy się. Napewno ich dopędzimy...

Lecz kobieta odparła natychmiast :

— Dopędzić ich ? To wykluczone, oba automobile jadą bowiem w przeciwnych wprost kierunkach.

— Mniejsza z tem, skoro zdążają ku temu samemu celowi. Dokąd wiozą panią Delroze?

— Do zamku, należącego do hrabiny Herminy.

— Gdzież ten zamek?...

— Ja nie wiem.

— Pani nie wie? Lecz to okropne. Zna pani przynajmniej jego nazwę?

— Karol nie powiedział mi tego. Nic zatem nie wiem.

VI.

Walka — niemożliwa!

W olbrzymiej rozpacz, w jaką wtrąciły go te ostatnie słowa, Paweł odczuł podobnie jak na widok uczty, wydanej przez księcia Konrada, potrzebę natychmiastowego działania. Bez wątpienia, wszelka nadzieja była stracona. W niwecz rozpadał się jego plan wykorzystania przejścia przez tunel, zanim obudzi się czujność wroga. Gdyby nawet udało się odnaleźć i oswobodzić Elżbietę, to piętrzyły się góry nowych trudności. Jakże potem umknąć nieprzyjacielowi i powrócić do Francji?

Nie, miał odtąd przeciwko sobie przestrzeń i czas. Po takiej porażce pozostawała mu tylko rezygnacja i oczekiwanie łaski losu...

Nie zachwiał się jednakże. Rozumiał, że słabość w tym wypadku byłaby nie do darowania. Zapał, który unosił go dotychczas, nie powinien ustać, owszem, winien nabrać większej jeszcze siły.

Przystąpił do szpiega. Kobieta, pochyliwszy się nad ciałem, przyglądała mu się przy świetle odczepionej od samochodu latarki.

— Nie żyje? prawda? — zapytał.

— Tak, skonał. Dwie kule trafiły go w plecy.

I szeptała dalej zmienionym głosem:

— To straszne, co zrobiłam. Oto ja sama go zabiłam. Lecz to nie jest morderstwo, prawda, panie? I ja miałam do tego prawo... A jednak, to straszne... Zabiłam Karola!

Twarz jej, młoda jeszcze i dość ładna, chociaż bardzo pospolita, wykrzywiona była przestradchem, oczy jakby nie mogły oderwać się od trupa.

— Kto pani jesteś? — zapytał Paweł.

Odpowiedziała szlochając:

— Byłam jego przyjaciółką... lepiej niż przyjaciółką, lub raczej gorzej... Przysiągł mi, że ożeni się ze mną... Lecz przysięgi Karola!... Co za kłamca, panie, co za gałgan!... Ach! wszystko, co ja wiem o nim... Ja sama, stopniowo, milczeniem mojem, stawiałam się jego współniczką. Bo tak strasznie się go bałam! Nie kochałam go już, lecz drżałam przed nim i słuchałam... O! z jaką nienawiścią wkońcu!... i jak on odczuwał tą moją nienawiść! Mówił mi często: „Ty byłabyś w stanie udusić mnie kiedyś”. Nie, panie... Myślałam o tem, lecz nigdy nie byłabym się na to odważyła. Tylko przed chwilą, gdy zobaczyłam, że chciał pana zabić... a przedewszystkiem, gdy usłyszałam pańskie nazwisko...

— Nazwisko moje? — dlaczego?

— Pan jesteś mężem pani Delroze.

— Więc cóż z tego?

— Ja ją znam. Nie oddawna, od dziś dopiero. Dziś rano, Karol, powróciwszy z Belgji, w przejeździe przez miasto, w którym mieszkam, zaprowadził mnie do księcia Konrada. Chodziło o to, by być pokojówką pewnej pani, Francuzki, którą mieliśmy powieźć do jakiegoś zamku. Zrozumiałam odrazu co to znaczy. I tu znowu, miałam być współniczką, wzbudzić zaufanie... I zobaczyłam tą panią Francuzkę... patrzyłam na jej łzy... a ona taka jest słodka, taka dobra, że odmieniła mi serce. Postanowiłam ją ocalić... Tylko nie wiedziałam, że to będzie w ten sposób, zabijając Karola.

Wyprostowała się nagle i wymówiła cierpkim tonem:

— Lecz tak być musiało, panie. Nie mogło być inaczej, za dobrze bowiem znałam jego sprawki. On albo ja... A więc on... tem lepiej... nic nie żałuję... Na całym świecie nie znajdziesz podobnego nędznika, a z ludźmi w jego rodzaju, nie trzeba się się wahać. Nie, nic nie żałuję, że tak się stało.

Wysłuchawszy tej opowieści, Paweł powiedział:

— On był oddany hrabinie Herminie, — nieprawdaż?

Zadrżała i zniżyła głos odpowiadając:

— Ach! nie mówmy o niej, błagam pana. Ta jest jeszcze potworniejsza i ona żyje, — ona! O! gdyby kiedy podejrzenie jej padło na mnie!

— Kto jest ta kobieta?

— Któż to wie? Przychodzi nagle i znika, a wszędzie gdzie się pojawi, jest władczynią... Słuchają jej tak, jak cesarza. Wszyscy się jej boją. Tak, jak i jej brata...

— Brata ?

— Tak, majora Hermanna.

— Jakto ? Major Hermann jest jej bratem ?

— Ależ tak ! Zresztą wystarczy popatrzeć na niego. To druga hrabina Hermina !

— Lecz czy pani widziała ich razem ?

— Naprawdę... nie przypominam już sobie... Dlaczego pyta pan o to ?

Chwila była zbyt cenna, aby Paweł nalegał w tej sprawie. Małą miało wagę to, co mogła kobieta ta myśleć o hrabinie Herminie.

Pytał dalej :

— Ona mieszka u księcia ?

— Obecnie, tak... Księżę zamieszkuje pierwsze piętro od tyłu, ona to samo piętro, lecz od frontu.

— Jeżeli każe jej powiedzieć, że Karol, uległszy wypadkowi, posyła mnie, swego szofera, aby uwiadomić ją o tem, czy mię przyjmie ?

— Bez wątpienia.

— A czy ona zna szofera Karola, tego, którego ja teraz zastąpiłem ?

— Nie. To żołnierz, którego Karol przywiózł z sobą z Belgji.

Paweł pomyślał chwilę, poczem rzekł :

— Niech mi pani pomoże.

Posunęli trupa w stronę przydrożnego rowu, zepchnęli go doń i przykryli zeszlęmi gałęziami.

— Wracam do willi, — rzekł. Pani zaś, niech idzie drogą, a spotkawszy siedziby ludzkie, niech pani zaalarmuje ludzi, opowiadając o zamordowaniu Karola przez jego szofera i o swojej ucieczce. Zanim uprzedzą policję, zanim rozpytają panią o wszystko, zatelefonują do willi, wystarczy mi czasu.

Kobieta przeraziła się :

— Lecz hrabina Hermina ?

— Niech pani nie obawia się niczego z tej strony. Przypuszczając nawet, że nie udałoby mi się unieszkodliwić jej, jakże mogłaby ona panią o coś podejrzewać, kiedy całe śledztwo wszystką winę zrzuci na mnie ? Zresztą nie mamy wyboru....

I nie słuchając już nieznajomej, wprowadził samochód w ruch, chwycił za kierownicę i odjechał mimo rozpaczliwej prośby kobiety.

Odjechał z takim zapalem i siłą postanowienia, jakby ulegał wymaganiom jakiegoś nowego planu, ustaliwszy wszystkie jego szczegóły i pewien skuteczności swego projektu.

— Zobaczę się z hrabiną, mówił do siebie. I wówczas, albo gdy potrafię zatrwożyć ją losem Karola, zechcę, abym powiózł ją do niego, albo zmuszę ją jakimkolwiek sposobem do wyjawienia mi nazwy zamku, w którym uwięziona jest Elżbieta, zmuszę ją do dania mi środka ocalenia mojej żony.

Lecz jakże to wszystko było niepewne! Wieleż piętrzyło się przeszkód! Wieleż niemożliwości! Jakże przypuszczać, aby okoliczności ułożyły się sprzyjająco aż do tego stopnia, by oślepić hrabinę i uczynić ją zupełnie bezbronną? Kobieta tego co ona typu, nie należała do tych, które dają się oszołomić słowami i zniewolić groźbą.

Mniejsza o to! Paweł nie dopuszczał do siebie zwątpienia. U kresu swego przedsięwzięcia widział zwycięstwo, i aby dopiąć jak najszybciej celu, przyśpieszał jazdę, puszczając auto jak trąbę powietrzną poprzez wsie, a zwałniając zaledwie biegu w przejeździe przez miasteczka i miasta.

— „Hohenstaufen“! — krzyknął straż, stojącej przy murze obwodowym.

Oficer służbowy, rozpytawszy przybysza, odesłał go do podoficera, patrolującego przy ganku, ten bowiem jeden jedyny miał wolny dostęp do willi i prawo uwiadomienia hrabiny o całej przygodzie.

— Umieszczę naprzód moje auto w remizie — rzekł Paweł.

Pogasił swe latarki, a gdy kierował się ku willi, przyszło mu na myśl odszukać Bernarda, zanim uda się do podoficera i zapytać szwagra, czy nie zdarzyło mu się coś godnego uwagi.

Znalazł go w tyle za willą, między drzewami, naprzeciw balkonowego okna.

— Sam jesteś? — zapytał Bernard trwożliwie.

— Tak, wyprawa zawiodła. Elżbietę wywieziono w pierwszym automobiliu.

— To straszne, co mówisz!

— Tak, lecz złe da się naprawić.

— W jaki sposób?

— Sam jeszcze nie wiem. Lecz mówmy o tobie. Czy zauważyłeś coś podejrzanego? A co z szoferem?

— W bezpiecznem ukryciu. Nikt go nie odnajdzie... przynajmniej przed rankiem, zanim inni szoferzy powrócą do remiz.

— Dobrze. Cóż więcej?

— Przed godziną była patrol w parku. Zdołałem się skryć.

— A poza tem?

— Poza tem spróbowałem zapuścić się aż do tunelu. Między ludźmi zaczynał się ruch. Była zresztą ku temu nie-mała przyczyna.

— Cóż takiego?

— Pojawienie się nagle pewnej osoby nam znajomej, kobiety, którą spotkałem w Corvigny, a która tak wściekle podobna jest do majora Hermanna.

— Robiła przegląd?

— Nie, wybierała się w drogę...

— Tak, ja wiem, ma odjechać.

— Już odjechała.

— To niemożliwe, jej wyjazd nie miał nastąpić tak szybko.

— Byłem świadkiem jej wyjazdu.

— Lecz dokąd? Którą drogą?

— A tunel? Zapomniałeś o nim? Myślisz, że on już do niczego nie służy? Otóż wybrała tą właśnie drogę, w moich oczach i w warunkach niesłychanie wygodnych... wagonik, prowadzony przez mechanika i poruszany elektrycznością. Bez wątpienia, skoro mówisz, że celem jej podróży jest Francja, musiano ją dowieźć aż do miejsca, w którym droga styka się z drogą do Corvigny. Stało się to przed dwiema godzinami. Słyszałem jak wagonik wracał.

Zniknięcie hrabiny Herminy było dla Pawła nowym ciosem. Jak teraz odnaleźć i oswobodzić Elżbietę? Jakiej chwycić się drogi w tych ciemnościach, w których wszystkie jego wysiłki ciąglą ponosiły klęskę?

Zebrał jednakże wszystkie sprężyny swej woli, postanawiając prowadzić dzieło aż do ostatecznego zwycięstwa.

Zapytał Bernarda:

— Nic pozatem nie zauważyłeś?

— Nic zupełnie.

— Żadnych kroków, zabiegów?

— Żadnych. Służba poszła spać. Światła pogaszono.

— Wszystkie?

— Oprócz jednego. Oto tu, nad nami, patrz!

Światło paliło się na pierwszym piętrze i to w oknie, położonem nad tem, przez które Paweł przyglądał się uczcie księcia Konrada. Pytał dalej:

— Czy światło to zapaliło się wówczas, gdy byłem na balkonie?

— Tak jest, pod koniec.

Paweł szepnął:

— Wedle moich wiadomości, musi to być pokój księcia Konrada. I jego pijanego tam zaniesiono.

— Widziałem istotnie w owej chwili cienie na szybie, od tej pory wszystko jest nieruchome.

— Widocznie trzeźwi się. Ach! gdyby tak można zobaczyć... dostać się do tego pokoju!

— Bardzo łatwo — rzekł Bernard.

— Którędy?

— Przez pokój sąsiedni; okno jest nieco rozchylone, prawdopodobnie, aby księżę miał trochę świeżego powietrza.

— Lecz potrzebaby drabiny.

— Na murze remizy wisi jakaś drabina. Chcesz bym ją przyniósł?

— Owszem, tak — odparł żywo Paweł. — Śpiesz się.

W umyśle jego tworzył się nowy plan, związany zresztą z poprzednim; zdawało mu się, że teraz dopnie już celu.

Upewnił się naprzód, że wokół willi, tak z prawej, jak z lewej strony było pusto i że żołnierze z straży byli w pobliżu ganku, potem zaś, gdy Bernard powrócił, ustawił drabinę w alei i oparł ją o mūr.

Weszli po niej na górę.

Rozchylone okno wiodło do ubieralni księcia. Z sąsiedniego pokoju przedzierało się światło, nie dochodził jednak żaden szmer, oprócz donośnego chrapania. Paweł wsunął głowę.

Wpoprzek łóżka, odziany w swój uniform wojskowy, wypłamiony winem, jak manekin bezwładny, spał księżę Konrad. Spał tak głęboko, że Paweł mógł swobodnie zbadać cały pokój. Był on oddzielony od korytarza jakby małym przedpokojem i dwojgiem zatem drzwi, które Paweł zamknął na klucz. Tym sposobem znajdowali się sami z księciem Konradem.

— Do roboty — rzekł Paweł.

Owinał twarz księcia skręconym ręcznikiem, którego końce starał się włożyć mu w usta; równocześnie Bernard przy pomocy innych ręczników krępował mu nogi i łokcie.

Wszystko dokonało się w ciszy. Z strony księcia nie było żadnego oporu, żadnego krzyku. Otworzył oczy i spozierał na swych napastników z miną człowieka, który zrazu nic nie rozumie, którego jednak stopniowo ogarnia coraz większy przestach, w miarę jak uświadamia sobie niebezpieczeństwo.

— Niezbyt odważny dziedzic Wilhelma — zakpił Bernard. Co za niedołęga! No, młodzieńcze, trzeba się otrzeźwić. Gdzie twój flakonik z solami?

Pawłowi udało się wtłoczyć w usta księcia połowę ręcznika.

— A teraz w drogę — rzekł.

— Co chcesz zrobić? spytał Bernard.

— Wywieźć go.

— Dokąd?

— Do Francji.

— Do Francji?

— A cóż u diabła? Mamy go, niechże nam służy!

— Nie wypuszczą go.

— A tunel?

— To niemożliwe! Zbyt silnie teraz strzeżony.

— Zobaczymy.

Chwycił w dłoń rewolwer i mierząc do księcia, rzekł:

— Słuchaj mnie. Pan masz myśli zbyt poplątane, aby zrozumieć moje pytania. Ale rewolwer jest wymowny sam przez się, prawda? Przemawia jasno i wyraźnie nawet do tego, który jest pijany i drży z strachu. A zatem, jeżeli nie zachowasz się pan cicho, jeżeli będziesz usiłował się bronić i narobić hałasu, jeżeli towarzyszy mój i ja, na chwilę choćby znajdziemy się w niebezpieczeństwie, jesteś pan zgubiony. Rewolwerem, którego lufę czujesz na swej skroni, palnę ci w łeb. Zgadzasz się?

Ksiązę skłonił głowę.

— Doskonale — rzekł Paweł. — Bernardzie, oswobodź mu nogi, lecz zwiąż ręce na plecach... Tak... dobrze... W drogę!

Szli zrazu wśród drzew aż do ogrodu, oddzielającego ogród od obszernej przestrzeni, zajętej przez koszary. Tam podali sobie księcia jeden drugiemu, jak pakunek, poczem idąc tą samą drogą, którą przybyli, zdążając ku willi, dotarli do złomów.

Noc była dostatecznie jasna, aby nie zmylić drogi, ponadto dostrzegli przed sobą światło, pochodzące prawdopodobnie z siedziby straży, u wejścia do tunelu. I istotnie

wszystkie lampy były zapalone, a ludzie, stojąc na zewnątrz baraku, pili kawę.

Przed tunelem przechadzał się żołnierz, z bronią na ramieniu.

— Jest nas dwu — szepnął Bernard. — Ich jest sześciu, a na odgłos pierwszego strzału przyłączy się do nich kilkuset plutonów, obozujących stąd o pięć minut. Walka trochę nierówna, jak sądzisz?

Położenie ich stawało się o tyle jeszcze trudniejsze, że w rzeczywistości nie byli w dwu tylko, a trzeci towarzysz-więzień był dla nich w tej chwili najstraszniejszą zawadą. Niemożliwe z nim biec, niemożliwe uciekać. Należało się chwycić jakiegoś podstępu.

Powoli, ostrożnie, uważając, aby żaden kamyk nie stoczył się z pod ich nóg lub też z pod nóg księcia, opisali, na zewnątrz oświetlonej przestrzeni koło i doszli po upływie godziny do skalistych stoków, o które opierały się pierwsze mury tunelu.

— Zostań tutaj — rzekł Paweł; mówił bardzo cicho, lecz tak, by książę mógł go słyszeć — zostań tutaj i zapamiętaj dobrze moje wskazówki. Przedewszystkiem zaopiekuj się księciem... rewolwer w garści, a lewa ręka na jego kołnierzu. Jeżeli się buntował, palniesz mu w łeb. Tem gorzej dla nas, lecz równocześnie tem gorzej i dla niego. Ja wracam w pobliże baraku i ściągam pięciu ludzi z placówki. Wówczas, albo człowiek, który tam w dole trzyma straż, przyłączy się do swych towarzyszy — w takim razie przechodzisz z księciem — albo, posłuszny rozkazom, ani drgnie — w takim razie strzelasz doń, ranisz go... i także przechodzisz.

— Tak, przechodzę, lecz Niemcy lecą za mną.

— Naturalnie.

— I dopędzą nas.

— Nie dopędzą was.

— Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej.

Z chwilą, gdy ty zapewniasz...

— Zatem rozumiesz mnie. A pan także — rzekł Paweł do księcia — zrozumiałeś mnie, prawda? Bezwzględna uległość! Wszelką bowiem nieroztropność, wszelki opór, możesz przepłacić życiem.

Bernard rzekł do ucha szwagrowi:

— Mam sznur, który przywiążę mu dokoła szyi i lada najmniejsza niekarność z jego strony, krótkim szarpnięciem

przywołam go do rzeczywistości. Jednakże, Pawle, uprzedzam cię, jeżeli przyszlaby mu fantazja bronić się, nie będę w stanie go zabić... tak sobie... z zimną krwią...

— Bądź spokojny... zanadto się boi, by był zdolny bronić się. Będzie szedł za tobą, jak pies, aż do tamtego końca tunelu.

— A wtedy, gdy dojdziemy na miejsce?

— Zamknij go w ruinach Ornequin'u, nie wyjawiając jednak nikomu jego imienia.

— A ty, Pawle?

— Nie zajmuj się mną.

— Jednakże...

— Niebezpieczeństwo jest jednakie dla nas obu. Gra, której się podejmujemy, jest straszna i wiele jest zadatków na to, że ją przegramy. Lecz, gdy wygramy, Elżbieta będzie ocalona. Idź zatem odważnie. Do widzenia, Bernardzie i to wkrótce... W dziesięciu minutach wszystko musi się rozstrzygnąć: tak lub nie.

Ucałowali się serdecznie i Paweł oddalił się.

Tak, jak powiedział, ta ostatnia próba mogła udać się tylko siłą śmiałości i pośpiechu i należało ją wykonać, tak jak dokonuje się czynu, podyktowanego rozpaczą.

Jeszcze dziesięć minut, a nastąpi rozwikłanie całego dramatu. Jeszcze dziesięć minut, a będzie zwycięską, lub padnie od kuli.

Wszystkie jego czynności od tej chwili miały pozór takiego ładu i obmyślanego zgóry porządku, jakby istotnie miał poprzednio dość czasu na staranne ich przygotowanie, zapewniające niewątpliwe zwycięstwo, gdy tymczasem, w rzeczywistości, były to plany odosobnione, które przedsiębrał stopniowo, w miarę rozwoju najtragiczniejszych okoliczności.

Trzymając się stoków pagórków, dotarł do wąwozu, łączącego złomy z obozem garnizonowym. Na ostatnim z tych pagórków potrafił przypadkowo o bryłę kamienia, która zakolysała się pod naporem. Poomacku, zdał sobie sprawę, że bryła ta zatrzymywała sobą cały zwał piasku i kamyków.

— Tego było mi potrzeba, — rzekł do siebie półgłosem.

I nie zastanawiając się długo, gwałtownem pchnięciem nogi ruszył bryłę, która stoczyła się w wąwóz z szalonym hałasem.

Jednym skokiem, Paweł zbiegł razem z spadającymi kamieniami, położył się na brzuchu i zaczął przywoływać pomocy, jakby padł ofiarą wypadku.

Z miejsca, na którem leżał, wskutek, zakrętów wąwozu, głos jego nie mógł dolecieć do koszar można go było dosłyszeć natomiast w baraku tunelowym, który znajdował się co najwyżej o sto metrów. I w rzeczywistości ludzie z straży przybiegli natychmiast.

Naliczył ich pięciu; przyskoczyli do niego, podnieśli go, zadając szereg pytań. Głosem osłabionym, nawpół niezrozumiałym, dawał podoficerowi odpowiedzi niejasne, pomieszane, z których można było wywnioskować, że został wysłany przez księcia Konrada na poszukiwanie hrabiny Herminy.

Paweł czuł dobrze, że jego podstęp może udawać mu się przez bardzo tylko krótki czas, każda jednak minuta była wprost bezcenna, korzystał z niej bowiem Bernard aby móc działać przeciwko temu szóstemu strażnikowi, który stał przed tunelem i aby móc uciekać z księciem Konradem. Może i ten szósty przyjdzie tu także... Lub może Bernard potrafi się z nim uporać bez użycia rewolweru, a zatem bez zwrócenia na się uwagi.

I Paweł, podnosząc powoli głos, trzepał dalej, udzielając chaotycznych wyjaśnień; podoficer wpadał w złość, nic bowiem nie rozumiał, gdy nagle od strony tunelu rozległ się strzał, za nim dwa inne.

Podoficer zawahał się zrazu, nie wiedząc dokładnie, skąd pochodzi ów odgłos. Odsuwając się od Pawła, ludzie nadstawili uszu. Wówczas on przesunął się środkiem między nimi i odszedł, zanim zdolali zdać sobie sprawę, że to on się oddala. Potem, od pierwszego zakrętu, począł biec, i w kilku niemal skokach dotarł do baraku.

Jednym rzutem oka ujrzał na trzydzieści kroków przed sobą, przed otworem tunelu, Bernarda walczącego z księciem Konradem, który usiłował wymknąć się. Przy nich jęcząc, leżał na ziemi strażak.

Paweł wyczuł odrazu dokładnie co należało zrobić. Szaleństwem byłoby udzielać pomocy Bernardowi i z nim razem ważyć się na niebezpieczeństwo ucieczki, ponieważ przeciwnicy dopędziliby ich bez wątpienia, a w każdym razie księżę Konrad byłby ocalony. Nie, najważniejszą rzeczą było zatrzymać najście ludzi z straży, których cienie ukazywały się już u wylotu wąwozu i umożliwić Bernardowi uporanie się z księciem.

Ukryty do połowy za barakiem, wyciągnął w ich stronę rewolwer i krzyknął:

— Stać!

Podoficer nie usłuchał i zbliżył się. Paweł strzelił. Niemiec upadł, lecz tylko zraniony; zaczął bowiem dzikim głosem wydawać rozkazy:

— Naprzód! Słyszycie? Naprzód! Stado tchórzy!

Ludzie nie ruszali się z miejsca. Paweł porwał karabin z kozła, ustawionego obok baraku i mierząc w nich, rzucił równocześnie spojrzenie poza siebie, przyczem przekonał się, że Bernard opanował wreszcie księcia Konrada i wprowadzał go w czeluście tunelu.

— Chodzi jeszcze o przetrzymanie pięciu minut, pomyślał Paweł, aby Bernard mógł zejść możliwie najdalej. I zdawał się liczyć te minuty z największym spokojem.

— Naprzód! Nacierajcie! Naprzód! wył ciągle podoficer, który, jeżeli nawet nie poznał księcia Konrada, to w każdym razie, bez wątpienia, rozróżnił w mroku sylwetki dwu uciekających postaci.

Leżąc na ziemi, strzelił jeszcze z rewolweru do Pawła; ten w odwiecie strzaskał mu ramię kulą. Lecz podoficer krzychał dalej:

— Naprzód! Dwu zbiegów uciekło w tunel! Naprzód! Oto posiłki!

Było to sześciu żołnierzy, którzy na odgłos strzałów nadbiegli z koszar. Paweł, któremu udało przedostać się do środka baraku, wybił szybę w okienku i dał trzy strzały. Żołnierze usunęli się nieco na bok, lecz nadbiegli inni, a odebrawszy rozkazy od podoficera, rozprószyli się; Paweł widział jak wdrapywali się na sąsiednie stoki wzgórz, aby go otoczyć. Dał jeszcze kilka strzałów karabinowych. Cóż z tego! Pierzchła wszelka nadzieja dłuższego oporu.

Zaciął się jednak w swym oporze, strzelał bez wyczerpania, zyskując tym sposobem na czasie aż do ostatecznej możliwości. Lecz dostrzegł wkrótce, że nieprzyjacieli, otoczywszy go, miał na celu skierować się ku tunelowi i pędzić za uciekającymi.

Paweł zdawał sobie sprawę z każdej upływającej sekundy, z wszystkich tych nieocenionych sekund, które zwiększały oddalenie się Bernarda.

Trzech ludzi rzuciło się w otwór tunelu, potem czterech, za nimi pięciu.

Poza tem na barak zaczął padać deszcz kul.

Paweł obliczał w myśli:

— Bernard musi już być o sześćset lub siedmset metrów stąd. Ci trzej żołnierze, którzy puścili się za nimi w pogoń, znajdują się o jakieś pięćdziesiąt metrów... teraz o siedmdziesiąt... Wszystko idzie dobrze.

Zbita fala Niemców rzucała się na barak. Paweł tak podwajał wysiłki obrony, że wróg nie przypuszczał, iżby on sam tylko zamknięty był wewnątrz baraku. Tym razem nie było już rady : należało się poddać.

— Już czas — pomyślał — Bernard jest poza niebezpieczeństwem.

Rzucił się nagle ku tablicy, zawierającej pięć miedzianych ręczek, połączonych drutami elektrycznymi z minami w tunelu, uderzeniem kolby roztrzaskał szybę na drobne kawałki i utracił dwie pierwsze ręczki.

Zdawało się, że ziemia zadrżała. Huk piorunu rozległ się pod tunelem i brzmiał przeciągle, jak wielokrotne echo.

Pomiędzy Bernardem d'Audeville a ścigającą go pogońią droga była przerwana. Bernard spokojnie mógł uprowadzić teraz do Francji księcia Konrada.

Wyszedł więc Paweł z baraku i wyciągając ręce, zawołał rozradowanym głosem :

— Kamarad ! Kamarad !

Otoczyło go odrazu dziesięciu ludzi, a oficer, dowodzący nimi, zawył z wściekłością :

— Rozstrzelać go !... Natychmiast... natychmiast rozstrzelać go !...

VII.

Prawo zwycięscy.

Mimo całej brutalności wroga, Paweł nie stawiał najmniejszego oporu. I gdy z rozjątrzoną wściekłością przypierano go do skały, robił spokojnie swoje obliczenia :

— Jest matematycznie pewne, że eksplozje nastąpiły w odległości trzystu i czterystu metrów. Mogę zatem przyjąć również za pewnik niezbity, iż Bernard i książę Konrad znajdowali się już poza tym pasem, a ludzie z pościgu byli właśnie w sferze niebezpieczeństwa. Wszystko więc składa się jak najlepiej.

Z łagodnością, z pewnym rodzajem ironicznej uprzejmości poddawał się przygotowaniom do swej egzekucji ; dwunastu żołnierzy, przeznaczonych do wykonania tego

działa, ustawiło się już w szeregu pod jaskrawem światłem elektrycznego reflektora ; czekali tylko na rozkaz. Podoficer, którego Paweł zranił na początku walki, przyczołgał się ku skazańcowi i szydził :

— Rozstrzelany !... Rozstrzelany !... Francuskie bydlę...

Paweł odpowiadał, śmiejąc się :

— Ależ nie, nie, te rzeczy nie odbywają się tak szybko.

— Rozstrzelany ! — powtórzył Niemiec. Herr leutnant tak powiedział.

— A zatem ! na cóż jeszcze czeka ten herr leutnant ?

Porucznik czynił gwałtowne badania u wejścia do tunelu. Ludzie, którzy zapuścili się w jego czeluście, przypędzili zpowrotem, napół uduszeni wybuchowymi gazami. Wartownik zaś, z którym Bernard musiał się uporać, tak silnie broczył krwią, iż należało wyrzec się nadziei wyciągnięcia zeń jakichś nowych szczegółów.

W tej chwili nadeszły wieści z koszar. Dowiedziano się właśnie od kurjera, wysłanego z willi, że księżę Konrad zniknął i polecono oficerom podwoić strażę i czuwać szczególnie u wylotu tunelu.

Paweł liczył właśnie na jakieś zdarzenie w tym rodzaju, które przeszkodziłoby jego egzekucji. Dzień wschodził, przypuszczał więc, że jeden z służących, któremu polecono czuwać nad śpiącym w swoim pokoju pijanym księciem Konradem, musiał, zastawszy drzwi zamknięte, narobić poplotu. Stąd natychmiastowe poszukiwania.

Niespodzianką było jednak dla Pawła to, iż nie podejrzewano zupełnie, aby księżę został uprowadzony drogą przez tunel. Wartownik omdlał z upływu krwi, nie mógł więc udzielić żadnych wyjaśnień. Ludzie, którzy dokonywali pościgu, nie spostrzegli się, że jeden z dwu uciekających, widzianych z oddali, uprowadzał drugiego. Sądzono zatem, że księżę został zamordowany. Napastnicy musieli prawdopodobnie rzucić jego ciało w jakiś zapadły kąt, wśród złomów, sami zaś ratowali się ucieczką. Jednakże dwóm tylko udało się zbiec. Trzeciego przychwycono. Takie było ogólne mniemanie. Nikomu zaś nie przyszedł nawet na myśl podstęp Pawła, którego śmiałość przewyższała wszelką wyobraźnię.

W każdym razie nie mogło być tymczasem mowy o rozstrzelaniu Delroze'a bez poprzedniego przeprowadzenia śledztwa i poznania jego wyników.

Zaprowadzono go do willi, gdzie po zdjęciu zeń niemieckiej kurtki i drobiazgowej rewizji zamknięto go w jednym z pokoi, pod strażą czterech tęgich chłopów.

Drzemiał tam sobie spokojnie, zachwycony tym odpoczynkiem, którego tak bardzo był spragniony i całkiem zresztą uspokojony, wobec bowiem śmierci Karola, nieobecności hrabiny Herminy i ukrycia Elżbiety, należało poddać się naturalnemu biegowi wypadków.

Około godziny dziesiątej odwiedził go jakiś generał; starał się wziąć na spytki skazańca, a nie otrzymując żadnej zadowalającej odpowiedzi, wpadł w złość, lecz do pewnego stopnia umiarkowaną, w czym Paweł dopatrywał się czegoś nakształt szacunku, jaki odczuwa się dla niepospolitych zbrodniarzy.

— Wszystko zatem w porządku — odpowiedział sobie. — Ta wizyta to dopiero początek, to zapowiedź jakiegoś poważniejszego ambasadora!

Z słów generała wywnioskował, że w dalszym ciągu poszukiwano ciała księcia. Poszukiwania czyniono również poza zamkniętym obwodem willi, nowe bowiem fakta, odkrycie i zeznania szofera, uwięzionego przez Pawła i przez Bernarda w remizie, jak również odjazd i powrót automobilu, oznajmiony przez strażę, rozszerzały pole śledczych dochodzeń.

W południowej porze przyniesiono Pawłowi obfity posiłek. Zaczynano otaczać go względami. Obok potraw znalazło się piwo i czarna kawa.

— Będę prawdopodobnie rozstrzelany — myślał — lecz wedle wszelkich przepisów nie wcześniej, aż dowiedzą się dokładnie, kim jest owa tajemnicza osobistość, którą mają zaszczyt rozstrzelać, nie prędzej, aż zbadają pobudki moich przedsięwzięć i uzyskane wyniki. A ja sam tylko mogę dać im wskazówki. Zatem...

Nie zdziwił się też zupełnie, gdy w godzinę potem zaprowadzono go do małego salonu, gdzie dwu jakichś dostojników, strojnych w bogate galony, kazało ponownie zrewidować go, poczem związać z niezwykle ostrożnościami.

— Chyba sam kanclerz państwa trudzi się na moją cześć... a może nawet...

W głębi duszy, rozważając wszystkie okoliczności, nie mógł oprzeć się przewidywaniom jakiejś interwencji, potężniejszej jeszcze od samego kanclerza, a gdy usłyszał pod oknami willi turkot automobilu, gdy zobaczył niepokój obu

ugałowanych dostojników, nabrał przekonania, że przypuszczenia jego potwierdzają się zdumiewająco szybko.

Wszystko było przygotowane. Zanim jeszcze pojawił się gość spodziewany, obaj dostojnicy wyprostowali się w wojskowej postawie, a żołnierze, sztywniejsi niż zazwyczaj, przybrali minę manekinów.

Otworzyły się drzwi.

Wejście odbyło się z błyskawiczną szybkością, wśród szczerku szabli i ostróg. Człowiek, który wchodził w ten sposób, sprawiał wrażenie gorączkowego pośpiechu; to co przychodziło załatwiać, pragnął widocznie załatwić w przeciągu paru minut; czas miał ograniczony; chciał pewno natychmiast odjechać.

Jeden ruch: wszyscy obecni wyszli.

Cesarz i oficer francuski pozostali sami.

I cesarz spytał natychmiast wściekłym głosem:

— Kto pan jesteś? POCO tu przyszedłeś? Gdzie są pańscy współpracownicy? Z czyjego działał pan rozkazu?

Trudno było poznać w nim człowieka, którego obraz podawały liczne fotografie i rysunki w dziennikach, tak twarz jego postarzała się, tak była zniszczona, poorana zmarszczkami, poślizgła.

Paweł drżał nienawiścią, nietyle nienawiścią osobistą, obudzoną wspomnieniem własnych cierpień, ile opartą na odrazie i pogardzie dla największego zbrodniarza, jakiego można sobie wyobrazić. I mimo, iż postanowił nie wyla mywać się z pod przepisów przyjętego zwyczaju i reguł szacunku, odpowiedział:

— Niechaj uwolnią mnie z więzów!

Cesarz skoczył oburzony. Zdarzało mu się to po raz pierwszy, iżby ktoś przemawiał doń w ten sposób. Krzyknął gniewnie:

— Zapominasz pan chyba, iż wystarczy jedno słowo, ażeby cię rozstrzelano! I pan śmiesz!

Paweł zachowywał milczenie. Cesarz chodził tam i zpowrotem przez pokój, trzymając dłoń na rękojeści szabli, którą powlóczył po dywanie. Dwukrotnie przystanął i spojrzał na Pawła, a że ten nie zmrużył nawet powiek pod jego wzrokiem, odchodził znowu z jeszcze większym oburzeniem.

I nagle nacisnął guzik elektrycznego dzwonka.

— Rozwiązać go! — rozkazał tym, którzy rzucili się na jego wezwanie.

Uwolniony z więzów Paweł wyprostował się i stanął jak żołnierz przed zwierzchnikiem.

Pokój opróżnił się ponownie. Wówczas cesarz zbliżył się, a stając za stołem, niby za wałem obronnym, zapytał głosem surowym:

— Książę Konrad?

Paweł odpowiedział:

— Książę Konrad żyje, sire i ma się dobrze.

— Ach! — odetchnął cesarz z widoczną ulgą.

I unikając jeszcze właściwego tematu, mówił:

— To nie zmienia sprawy o ile chodzi o pana: porwanie... szpiegostwo... Nie licząc morderstwa jednego z moich najlepszych poddanych...

— Szpiega Karola, nieprawdaż sire? Zabiłem go, zmuszony bronić się przed nim.

— Więc zabiłeś go? Za to morderstwo jakoteż i za resztę, zostaniesz pan rozstrzelany.

— Nie, sire. Życie księcia Konrada odpowiada za moje.

Cesarz wzruszył ramionami.

— Skoro książę Konrad żyje, odnajdzie się go.

— Nie, sire, nie odnajdzie się go.

— Niema takiej kryjówki w Niemczech, w której możnaby go skryć przed mojem poszukiwaniem — potwierdził bijąc pięścią w stół.

— Książę Konrad nie przebywa w Niemczech, sire.

— Co takiego? Co pan mówisz?

— Mówię, że książę Konrad nie przebywa w Niemczech, sire.

— Gdzież jest zatem?

— W Francji.

— W Francji!

— Tak jest, sire, w Francji, w zamku Ornequin, pod strażą moich przyjaciół. Jeżeli do jutra, do szóstej wieczorem, nie dostanę się do nich, książę Konrad będzie wydany władzom wojskowym.

Cała złość cesarza załamała się pod wpływem tych słów, był tak przerażony, iż nie starał się już nawet ukryć wrażeń, jakie cios ten wywarł na nim. Całe upokorzenie, śmieszność, jaka okryłaby jego samego, dynastję, cesarstwo, gdyby syn jego został ujęty jako więzień, szyderstwo całego świata na wieść o tem, zuchwałość, jakiej nabralby wróg, będąc w posiadaniu takiego zakładnika, wszystko to odbiło się przerażeniem w jego zaniepokojonym wzroku, w przygarbieniu ramion.

Paweł poczuł dreszcz zwycięstwa. Trzymał w swej mocy tego człowieka, tak jak trzyma się zwyciężonego, który żebrze o łaskę, a szala zwycięstwa przechyliła się tak na jego stronę, że same nawet oczy cesarza, podnoszące się niemal kornie na Pawła, dawały mu poczucie triumfu.

Cesarz przebiegał w myśli etapy dramatu, który rozegrał się ostatniej nocy, przybycie tunelem, uprowadzenie tunelem, wybuch min, wywołany dla zapewnienia ucieczki napastników.

I zmieszany był poprostu szaloną śmiałością tego przedsięwzięcia.

Szepnął:

— Kto pan jesteś?

Paweł stracił na chwilę swoją sztywną postawę. Drżącą rękę oparł o dzielący ich stół i wyrzekł uroczyście:

— Szesnaście lat temu, sire, w wrześniu wieczorem...

— Co to! Co to znaczy?... — wyjąkał cesarz, zmieszany tą przedmową.

— Pytałeś mię, sire, muszę więc odpowiedzieć.

I podjął z tą samą powagą:

— Szesnaście lat temu, w wrześniu, wieczorem, przybyłeś, sire, prowadzony przez osobę... jakby to rzec? osobę pełniącą u ciebie służbę szpiegowską, aby przyglądać się robotom przy tunelu z Ebre-court do Corvigny. W chwili, gdy wychodziłeś, sire, z kapliczki, stojącej w lasach Ornequin'u, spotkałeś dwu Francuzów, ojca i syna... Pamiętasz, sire?... deszcz padał... a spotkanie to było ci tak niemiłe, że nie potrafiłeś ukryć swego niezadowolenia. W dziesięć minut później, pani, która towarzyszyła ci, powróciła i chciała zaciągnąć jednego z Francuzów, ojca, na terytorjum niemieckie, pod pozorem nakłonienia go do rozmowy z tobą. Francuz odmówił. Kobieta ta zamordowała go w oczach jego syna. Nazywał się Delroze. Był to mój ojciec.

Cesarz słuchał z wzrastającym zdumieniem. Pawłowi zdawało się, że kolor jego twarzy stał się jeszcze bardziej żółty. Wytrzymał jednakże badawczy wzrok Pawła. Dla niego śmierć tego pana Delroze należała do tych drobnych zdarzeń, nad którymi nie zastanawia się cesarz. Czy wogóle przypominał to sobie?

Odmawiając więc wyjaśnień w sprawie tej zbrodni, która prawdopodobnie nie została spełniona za jego rozkazem, lecz której stał się współnikiem, przez swoją pobłażliwość dla zbrodniarki, po chwili milczenia, rzucił wymijające słowa:

— Hrabina Hermina jest odpowiedzialna za swoje czyny.

— Lecz odpowiedzialna chyba przed sobą samą tylko, zauważył Paweł, ponieważ prawo w jej własnym kraju nie zażądało od niej, aby zdała rachunek z tego czynu.

Cesarz wzruszył ramionami, jak człowiek, który z wzdumą patrzy na sprawy niemieckiej moralności i wyższej polityki. Spojrzał na zegarek, zadzwonił, uprzedził, iż odjazd jego nastąpi za kilka minut, a zwracając się do Pawła, rzekł:

— Więc to aby pomścić śmierć pańskiego ojca porwałś pan księcia Konrada?

— Nie, sire, to jest sprawa pomiędzy hrabiną Herminą a mną, lecz księżę Konrad wyrównuje inne rachunki.

W czasie swego pobytu w zamku Ornequin, księżę Konrad prześladował względami pewną młodą kobietę, która mieszkała w tym zamku. Odepchnięty przez nią, uprowadził ją jako więźnia tutaj do swej willi. Kobieta ta nosi moje nazwisko. Przybyłem tu po nią.

Z zachowania się cesarza było widoczne, iż nie wiedział nic o tej całej historii i że nie pochwalał „figlów” swego syna.

— Jesteś pan tego pewny? — zapytał. Ta pani jest tutaj?

— Była tu jeszcze wczoraj wieczór, sire. Lecz hrabina Hermina postanowiwszy ją usunąć, powierzyła żonę moją szpiegowi Karolowi z poleceniem ukrycia jej przed poszukiwaniami księcia Konrada i z nakazem otrucia jej.

— Kłamstwo! Wstrętne kłamstwo! — zawołał cesarz.

— Oto flaszeczka, którą hrabina wręczyła szpiegowi Karolowi.

— Cóż potem? Cóż potem? — rozkazywał cesarz zirytowanym głosem.

— Potem, sire? Wobec tego, że szpieg już nie żył, a miejsce pobytu mej żony było mi nieznane, wróciłem tutaj. Księżę Konrad spał. Z jednym z moich przyjaciół ściągnąłem go na dół z jego pokoju i wysłałem tunelem do Francji.

— Pan to uczyniłeś?

— Ja to uczyniłem, sire.

— I prawdopodobnie zamian za wolność księcia Konrada żądasz wolności twojej żony?

— Tak, sire.

— Lecz ja nie wiem gdzie ona jest, — zawołał cesarz.

— Jest w jakimś zamku, należącym do hrabiny Herminy, sire... do zamku tego można się dostać samochodem, w kilku godzinach, oddalony więc stąd o jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście kilometrów najwyżej.

W milczeniu z wściekłością cesarz uderzał o stół ręką swą szablą.

— To wszystko, czego pan żądasz? — zapytał.

— Nie, sire.

— Czegoż jeszcze?

— Uwolnienia dwudziestu jeńców francuskich, których lista została mi dziś wręczona przez generała, dowodzącego armją francuską.

Tym razem cesarz skoczył jak oparzony.

— Pan jest szalony! Dwudziestu jeńców i to oficerów zapewne? Dowódców korpusu, generałów!

— Lista obejmuje również prostych żołnierzy, sire.

Cesarz nie słuchał już dalej. Wściekłość jego wyrażała się w gorączkowych ruchach, bezładnych wykrzyknikach. Piorunował Pawła spojrzeniem. Myśl poddania się woli tego porucznika francuskiego, więźnia, który jednakowoż przemawiał jak władca, musiała wydawać mu się potworna. Zamiast ukarać bezczelnego wroga, musiał z nim rozprawiać i spuszczać głowę przed zniewagą jego propozycji! Lecz cóż robić? Nie było żadnego wyjścia. Miał przed sobą przeciwnika, którego nie ugięła nawet męczeństwo.

Paweł podjął na nowo:

— Sire, uwolnienie mojej żony wzamian za wolność księcia Konrada, to byłby targ naprawdę zbyt nierówny. Cóż może tobie, sire, zależeć na tem, czy żona moja jest więźniem, czy też wolna? Nie, słuszne jest, aby uwolnienie księcia Konrada było okupione wyższą sprawiedliwą zamianą... Dwudziestu jeńców francuskich, to nie za wiele... Zresztą, nie musi się to odbywać publicznie. Więźniowie powrócą do Francji kolejno, jeżeli taka twoja wola, sire, jako wymienieni za jeńców niemieckich tego samego stopnia... tak, że...

Co za ironja w tych słowach ugodowych, mających osłodzić gorycz porażki i ukryć pod pozorem ustępstwa cios zadawany cesarskiej pysze! Paweł rozkoszował się tą chwilą. Odczuwał żywo co człowiek ten, któremu tak drobne stosunkowo zranienie jego miłości własnej zadawało tak wielką mękę, musiał cierpieć poza tem, widząc jak poronione są jego olbrzymie plany, czując się przytłoczonym pod ciężarem przeznaczenia.

— Jestem -zatem dobrze pomszczony — myślał Paweł — a to dopiero początek mojej zemsty.

Zbliżała się kapitulacja cesarza. Oświadczył krótko :

— Zobaczę... wydam rozkazy.

Paweł sprzeciwił się :

— Niebezpiecznie byłoby czekać, sire. Ujęcie księcia Konrada mogłoby stać się głośnie w Francji...

— A więc — rzekł cesarz — sprowadź księcia Konrada, a w tym samym dniu odda ci się twoją żonę.

Lecz Paweł był nieubłagany. Wymagał zupełnego zaufania.

— Sire, nie sędzę, aby rzecz ta powinna odbyć się w ten sposób. Żona moja znajduje się w najokropniejszym położeniu, jakie tylko można sobie wyobrazić i życie jej jest w niebezpieczeństwie. Żądam, aby natychmiast mnie zaprowadzono do niej. Dziś wieczór jeszcze ona i ja będziemy w Francji. Jest nieodzownie konieczne, abyśmy tam byli dzisiajszego wieczoru.

Powtórzył te słowa najbardziej stanowczym tonem i dorzucił :

— Co się zaś tyczy jeńców francuskich, wydanie ich dokona się w takich warunkach, jakie ty, sire, wybierzesz. Oto ich lista oraz miejsce internowania,

Paweł chwycił ołówek i kartkę papieru. Gdy skończył pisać, cesarz wyrwał mu z rąk listę i równocześnie twarz jego wykrzywiła się kurczowo. Każde nazwisko, rzecz można, przyprawiało go o bezsilną wściekłość. Zmiał kartkę, zgniótł ją w kulkę, jakby postanawiając zerwać wszelkie układy.

Lecz nagle, gwałtownym ruchem, pełnym gorączkowego pośpiechu, chcąc zakończyć wreszcie tą oburzacą przeprawę, nacisnął trzy razy guzik dzwonka.

Wszedł żywo ordynansowy oficer i stanął przed nim jak wryty.

Cesarz zastanowił się jeszcze przez chwilę, poczem rozkazał :

— Zawieziesz porucznika Delroze automobilem do zamku Hildensheim, skąd odprowadzisz go wraz z jego żoną do przednich straży w Ebre-court. W tydzień później, spotkasz go na tym samym punkcie naszych linii. Jemu towarzyszyć będzie książę Konrad, tobie zaś dwudziestu jeńców francuskich, których nazwiska wypisane są na tej liście. Wymiana dokona się w sposób poufny, który ustalisz wraz z porucznikiem Delroze. Skończyłem. Zdasz mi z wszystkiego osobiście raport.

Wszystko to wymówione było tonem ostrym, wszechwładnym, jakby postanowienia te powziął cesarz sam przez się, bez najmniejszego nacisku z zewnątrz, z własnej swej, cesarskiej woli.

Załatwiwszy w ten sposób sprawę, wyszedł, z głową dumnie wzniesioną, podzwaniając zwycięską szablą i ostrogą.

— Jeszcze jedno zwycięstwo w słowie. Co za kabotyń! — pomyślał Paweł, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, ku wielkiemu zgorszeniu ordynansowego oficera.

Zawarczał cesarski automobil.

Rozmowa nie trwała nawet dziesięć minut.

W chwilę potem, on sam jechał już w stronę zamku Hildensheim.

VIII.

Wzgórze 132.

Radosna podróż! Z jakąż odbywał ją Paweł niecierpliwością! Nareszcie docierał do celu, a tym razem nie było to już jedno z owych zuchwałych przedsięwzięć, u kresu których, tak często, czeka tylko najokrutniejszy zawód i rozczarowanie, lecz było to logiczne rozwiązanie i nagroda jego wysiłków. Cień nawet powątpiewania ni niepokoju nie mącił jego radości. Są zwycięstwa — to, które odniósł nad cesarzem, było w ich rzędzie — pociągające za sobą obalenie wszelkich przeszkód i trudności. Elżbieta znajdowała się w zamku Hildensheim, a on zdążył do tego zamku i nic nie mogło już zatrzymać go w tej drodze.

W świetle dnia, zdawało mu się, że rozpoznaje krajobraz, który poprzedniej nocy skrywały ciemności. Widział wioskę, rzekę, miścinę, widział falistą linię małych lasków, zobaczył wreszcie rów, koło którego stoczył walkę z szpiegiem Karolem.

Nie trzeba już było nawet godziny, aby zdążyć na wzgórze, nad którym wznosiła się feudalna forteca Hildensheim. Poprzedzały ją szerokie fosy i most zwodzony. Ukazał się jakiś podejrzliwy stróż, lecz parę słów oficera otworzyło wszystkie bramy.

Dwu służących nadbiegło z zamku, a na pytanie Pawła odpowiedzieli, że „francuska pani“ była na przechadźce, koło stawu.

Paweł kazał wskazać sobie drogę i rzekł do oficera :
— Pójdę sam. Zaraz potem odjedziemy.

Blade słońce zimowe, wyzierając z za gęstych chmur, oświecało trawniki i drzewa. Paweł minął cieplarnię i zbliżył się do sztucznych skał, z których dobywała się wstęga wodospadu, tworzącego obszerny staw, w okolu czarnych jodeł; na wodzie kołysały się łabędzie i dzikie kaczki.

U krańca stawu znajdowała się terasa, zdobna w posągi i ławki kamienne.

Tam była Elżbieta.

Pawła ogarnęło niewypowiedziane wzruszenie. Od przedednia wojny Elżbieta była dlań stracona. Od tej chwili przechodziła przez najstraszniejsze doświadczenia i próby, a zniosła je dlatego tylko, że pragnęła w oczach swego męża okazać się kobietą bez skazy, córką nieskazitelnej matki.

I oto odnajdywał ją w chwili, kiedy żadne z oskarżeń, rzuconych na hrabinę Herminę nie mogło być cofnięte, kiedy ona sama, Elżbieta, swoją obecnością na uczcie księcia Konrada, wywołała u Pawła tak straszne oburzenie.

Lecz jakże to wszystko było już dalekie ! Jak żadnego nie miało znaczenia ! Bezceństwa księcia Konrada, zbrodnie hrabiny Herminy, węzły pokrewieństwa, mogące łączyć obie kobiety, wszystkie przetrwane przez Pawła walki, wszystkie jego obawy, bunty, nienawiści... wszystko to były nic nie znaczące szczegóły, teraz, gdy na dwadzieścia kroków przed sobą dostrzegał tą nieszczęśliwą, ukochaną kobietę. Myślał teraz tylko o wypłakanych przez nią łzach i widział tylko jej zeszczipłą postać, drżącą na zimowym wietrze.

Zbliżył się. Kroki jego zaskrzypiały na kamykach alei ; usłyszawszy je, Elżbieta odwróciła głowę.

Pozostała jednak nadal nieruchoma. Z wyrazu jej oczu zrozumiał, że nie patrzyła nań jak na osobę żywą, realną, lecz że był dla niej jakby widziadłem, które wylania się z mgieł marzenia i że widziadło to często musiało zjawiać się jej nieprzytomnym oczom.

Uśmiechnęła się nawet lekko do niego, a tak smutnie, że Paweł złożył ręce i chciał rzucić się przed nią na kolana.

— Elżbieto... Elżbieto... — wyszeptał.

Podniosła się wówczas, rękę przyłożyła do serca i stała się bledszą jeszcze, niż dnia poprzedniego wieczorem, gdy siedziała na uczcie między księciem Konradem a hrabiną

Herminą. Obraz zatracał mgliste kształty marzenia i w oczach jej i w mózgu stawał się rzeczywistością tym razem, widziała Pawła naprawdę!

Rzucił się ku niej, mając wrażenie, że ślania się bezsilna i upada. Lecz ona zdobyła się jeszcze na wysiłek, wyciągnęła ręce, jakby mu dając znak, by się nie zbliżał i patrzyła nań głęboko, chcąc przeniknąć aż do najskrytszych zakątków jego duszy i poznać jego myśli.

Paweł, drżący cały miłością, nie ruszał się.

Szepnęła :

— Ach! widzę, że kochasz mię... nie przestałeś mię kochać... teraz jestem tego pewna!

— Trzymała jednak ciągle ręce wyciągnięte przed się, niby zaporę; on się nie zbliżał. Całe ich życie i całe szczęście zamknęło się w ich oczach; wzrokiem wchłaniali się w upojeniu.

Elżbieta rzekła :

— Powiedzieli mi, że jesteś u nich w niewoli. Więc to prawda? Ach! jak ja ich błagałam, aby zaprowadzono mię do ciebie! Jak się poniżyłam dlatego! Musiałam nawet zasiąść do ich stołu i śmiać się z ich żartów i nosić ich klejnoty, naszyjniki z pereł, które mi narzucono. Wszystko to, aby ciebie zobaczyć!... A oni ciągle obiecywali... A potem, wkońcu, tej nocy, wywieźli mię aż tutaj i myślałam, że znowu zakpili ze mnie po raz nie wiem który... lub, że to była nowa pułapka... lub, że postanowili wkońcu mnie zabić... A tymczasem, jesteś!... Jesteś przy mnie!... ty, mój drogi Paweł!...

Chwyciła twarz jego w obie dłonie i zawołała nagle z rozpaczą :

— Lecz nie odejdziesz tak zaraz? Dopiero jutro, prawda? Nie odbiorą mi ciebie tak odrazu, po kilku minutach? Zostaniesz ze mną, prawda? Ach! Pawle, ja już nie mam siły... Nie opuszczaj mnie już...

Zdziwiła się niezmiernie, widząc jego uśmiech :

— Co tobie? mój Boże! taki jesteś rozpromieniony!

Zaczął się śmiać i tym razem przyciągnawszy ją już ku sobie, z stanowczością, niedopuszczającą oporu, całował jej włosy, czoło, policzki, usta i mówił :

— Śmieję się, bo w tej chwili mogę się tylko śmiać i całować cię. Śmieję się także dlatego, ponieważ nabiłem sobie do głowy całe mnóstwo rzeczy idiotycznych... Tak, tak, wyobraź sobie, wczoraj wieczór ta uczta... ujrzałem cię zdaleka i cierpiełem śmiertelne męki... Oskarżałem cię o Bóg wie co... Cóż za głupiec ze mnie!

Nie rozumiejąc jego radości, powtórzyła :

— Taki jesteś szczęśliwy ! Jak to jest możliwe ?

— Niema żadnego powodu, abym nim nie był, odparł śmiejąc się Paweł. Otóż posłuchaj... Odnajdujemy się wreszcie po wszystkich nieszczęściach, wobec których niczem są te, co uderzały ongiś w rodzinę Atrydów. Jesteśmy razem, nic już nie może nas rozdzielić, a ty chcesz, abym nie był zadowolony ?

— Więc nic już nie może nas rozdzielić ? — spytała trwożliwie.

— Nic, zapewniam cię. Czyż to takie dziwne ?

— Zostajesz ze mną ? Tu będziemy żyli, razem ?

— Ach ! nie, cóż . znowu !... Zapakujesz przedziutko swoje rzeczy i zmykamy. .

— Dokąd ?

— Dokąd ? Ależ do Francji. Tylko tam jeszcze człowiek czuje się dobrze i swobodnie.

Ponieważ w dalszym ciągu patrzyła na niego z osłupieniem, rzekł :

— A zatem, śpieszmy się. Auto czeka na nas i obiecałem Bernardowi... tak, twemu bratu Bernardowi, obiecałem mu, że jeszcze dzisiejszej nocy przyjedziemy do niego... Jesteś gotowa ? Lecz czemuż ta minka ciągle przerażona ? Trzeba ci wyjaśnień ? O ! moja najdroższa, na to, byśmy oboje udzielili sobie wszelkich wyjaśnień, potrzebaby nam nieskończonych godzin. Zawróciłaś głowę cesarskiemu księciu... A potem rozstrzelano cię... A potem... a potem No cóż ! Czy mam zażądać pomocy wojskowej, abyś zgodziła się pójść ze mną ?

Zrozumiała nagle, że mąż jej nie żartował i wpatrując się weń bezustannie, pytała :

— Więc to prawda ? Jesteśmy wolni ?

— Zupełnie wolni.

— Wracamy do Francji ?

— Bezpośrednio.

— Niczego już nie potrzebujemy się obawiać ?

— Niczego.

A wtedy i ją opanowała niepohamowana radość. I ona z kolei zaczęła się śmiać, w przystępie owej radości bez opamiętania, w której daje się upust wszelkim dzieciństwom i żartom. Mało brakowało jej do tego, by zaczęła śpiewać, tańczyć, a jednak łzy spływały jej z oczu, i szeptała nawpół nieprzytomnie :

— Wolna !... Wszystko skończone !... Cierpiałam ?... Nie... Ach ! ty wiedziałeś, że zostałam rozstrzelana ? Otóż, zaręczam ci, to nie jest takie straszne !... Opowiem ci to i tyle innych rzeczy... Ty także będziesz mi opowiadał... Lecz jakim sposobem powiodło ci się ? Jesteś więc silniejszy od nich ? Silniejszy od tego Konrada, silniejszy od cesarza ? Boże mój, jakie to dziwne ! Boże, jakie to dziwne !...

Przerwała, a ujmując go niespodzianie gwałtownie za rękę, rzekła :

— Chodźmy stąd, mój drogi. To szaleństwo zostawć tu jedną sekundę dłużej. Ci ludzie zdolni są do wszystkiego. Dla nich nie istnieją żadne obietnice, żadne przyrzeczenia. To oszuści, zbrodniarze. Chodźmy stąd... Chodźmy...

Odjechali.

Żadna przeszkoda nie zamąciła ich podróży. Przybyli wieczór na linje frontu, naprzeciw Ebrecourt.

Oficer ordynansowy, który miał wszelkie upoważnienia, kazał rzucić światło z reflektoru, sam zaś, rozporządzwszy, by powiewano białą chorągwią, odprowadził Elżbietę i Pawła do oficera francuskiego ; ten zatelefonował na tyły. Przesłano automobil.

O godzinie dziewiątej, Elżbieta i Paweł stanęli przed bramą Ornequin'u ; Paweł kazał przywołać Bernarda.

— Słuchaj Bernardzie nie rozwodźmy się długo. Sprowadzam Elżbietę. Tak, jest tutaj, w aucie. Jedziemy do Corvigny, a ty z nami. Pójdę szukać naszych walizek, ty tymczasem wydaj potrzebne rozkazy, aby strzeżono dobrze księcia Konrada. Jest w bezpiecznem schronieniu, prawda ?

— Tak jest.

— Więc śpiesz się. Chodzi o to, by dopędzić tą kobietę, którą widziałeś ostatniej nocy, w chwili, gdy zapuszczała się w tunel. Ponieważ ona jest w Francji, puścimy się za nią w pogoń.

— Czy nie sądzisz Pawle, że łatwiej trafilibyśmy na jej ślady, wracając sami do tunelu i szukając jego wylotu, w okolicach Corvigny ?

— Stracony czas. Jesteśmy w takim momencie walki, kiedy nie można się zatrzymywać, trzeba co sił starczy, iść naprzód.

— Przecież walka skończyła się, Pawle, skoro Elżbieta jest ocalona.

— Dopóki ta kobieta żyje, walka nie będzie skończona.

Lecz kto to jest, wreszcie?

Paweł nie odpowiedział.

...O godzinie dziewiątej, wszyscy troje wysiedli przed stacją w Corvigny. Nie było już żadnego pociągu. Wszystko spało. Nie zrażając się tem, Paweł udał się na posterunek wojskowy, obudził służbowego adjutanta, zawołał naczelnika stacji, zawołał pannę biurową i po drobiazgowem badaniu, udało mu się stwierdzić, że tego samego ranka, w poniedziałek, kobieta jakaś zaopatrzona w prawidłową przepustkę na nazwisko pani Antonin, wzięła bilet do Château-Thierry. Ona jedna tylko odjeżdżała sama. Miała na sobie strój pielęgniarki Czerwonego Krzyża. Opis jej twarzy i postaci zgadzał się z osobą hrabiny Herminy.

— To ona — zawyrokował Paweł, usiadłszy wraz z Elżbietą i Bernardem w pobliskim hotelu, w którym postanowili przepędzić noc. Tak, to ona. Tą drogą tylko mogła odjechać z Corvigny. I tą samą drogą, jutro rano, w wtorek, o tej samej porze, my także pojedziemy. Mam nadzieję, że nie starczy jej czasu na wykonanie planu, który sprowadza ją do Francji. W każdym razie to jedyna dla nas sposobność. Korzystajmy z niej.

A gdy Bernard powtarzał:

— Lecz kto to jest, wreszcie?

Odpowiedział:

— Kto to jest? Elżbieta ci powie. Mamy godzinę czasu na wyjaśnienie sobie pewnych szczegółów, a potem spoczynek, na który zasłużyliśmy wszyscy troje.

Odjazd nastąpił nazajutrz rano.

Ufność Pawła była niewzruszona. Chociaż nieznane były mu zupełnie intencje hrabiny Herminy, miał pewność, że jest na dobrej drodze. I rzeczywiście, kilkakrotnie mieli dowód, że pielęgniarka Czerwonego Krzyża, podróżująca samotnie, pierwszą klasą, przejeżdżała wczoraj przez te same stacje.

Przed wieczorem wysiedli w Château Thierry. Paweł zebrał informacje. Poprzedniego wieczoru, automobil Czerwonego Krzyża, który czekał przed stacją, powoził pielęgniarkę. Automobil ów, wedle świadectwa papierów, obsługiwał jeden z ambulansów, stojących za Soissons, nie można było jednakże stwierdzić dokładnie miejsca postoju owego ambulansu.

Wiadomość ta wystarczyła Pawłowi. Soissons leżało na samej linii walk.

Jedźmy tam oświadczył.

Rozkaz, który posiadał, podpisany przez głównodowodzącego generała, dawał mu wszelkie prawo zarekwirowania automobilu i przedostania się na linię bojową. Przybyli do Soissons w obiadowej porze.

Przedmieścia zbombardowane, zniszczone, stały pustką. Samo miasto również w znacznej części zdawało się wydłupione. Lecz w miarę, jak przybliżali się do środka, na ulicach uwydatniał się pewien ruch. Szybkim krokiem przechodziły kompanie wojska. Przeciągały armaty i wozy z amunicją, a w hotelu, który wyznaczono im na rynku, a w którym mieszkała spora liczba oficerów, panowało duże ożywienie, ruch i jakby pewien nieład i nieporządek.

Paweł i Bernard zasięgali wiadomości. Opowiedziano im, że od kilku dni atakowano z powodzeniem stoki wzgórz, położone naprzeciw Soissons, po drugiej stronie Aisne'y. Onegdaj, bataljony strzelców i Marokańczyków wzięły szturm wzgórze 132. Wczoraj zaś, utrzymano się przy zdobytych placówkach i zajęto okopy obok Crony.

W ciągu poprzedniej nocy, w chwili, gdy nieprzyjacieli przypuszczał gwałtowny kontratak, zdarzyła się rzecz dość dziwna. Aisne'a, wzbierająca wskutek obfitych deszczów, wylała i uniosła wszystkie mosty z Villeneuve i z Soissons.

W samym przyroście Aisne'y nie było nic nadzwyczajnego; chociaż jednak był on tak znaczny, nie usprawiedliwiał bynajmniej zerwania mostów, a zerwanie to, wypadło równocześnie z kontratakiem niemieckim i zdawało się wywołane podejrzanymi środkami, utrudniło ono niesłychanie położenie wojsk francuskich, uniemożliwiając niemal wysłanie posiłków. Cały dzień wprawdzie utrzymano się na wzgórzu, lecz z trudnością i z wielkimi stratami. W tej chwili właśnie sprowadzono część artylerji na prawy brzeg Aisne'y.

Paweł i Bernard usłyszawszy te szczegóły, nie mieli ani chwili wątpliwości. Poznali w tem wszystkim rękę hrabiny Herminy. Zerwanie mostów i ataki niemieckie, oba zdarzenia wypadły właśnie owej nocy, w której ona przybyła; jakżeż przypuszczać, iżby nie były one wynikiem powziętego przez nią planu, którego wykonanie, przygotowane na okres przyrostu Aisne'y, dowodziło współdziałania hrabiny i głównego sztabu nieprzyjaciela.

Poza tem, Paweł przypominał sobie zdania, które ona zamieniła z szpiegiem Karolem, przed gankiem willi księcia Konrada:

— „Jadę do Francji... wszystko jest gotowe. Czas sprzyja, a sztab główny uprzedził mię. Będę tam zatem jutro wieczór... i wystarczy ruszyć palcem...

Tak też uczyniła. Rozpadły się wszystkie mosty, „opracowane“ poprzednio przez szpiega Karola lub przez płatnych jej agentów.

— To najwidoczniej ona, rzekł Bernard. A jeżeli tak jest, dlaczegoż masz minę zaniepokojoną? Przeciwnie, powinieś się cieszyć, ponieważ teraz możemy być pewni, że ją przyłapiemy.

— Tak, lecz czy nie za późno? W swej rozmowie z Karolem wypowiedziała inną jeszcze groźbę, która wydaje mi się o wiele poważniejsza, a którą ci również przytoczyłem: „Szczęście odwraca się od nas... Jeżeli mi się uda, będzie to zakończeniem „czarnej serji“. A gdy współnik jej pytał, czy miała przyzwolenie cesarza, odpowiedziała: „To niepotrzebne. Przedsięwzięcie moje jest z rzędu tych, o których się tam nie mówi“. Rozumiesz chyba, Bernardzie, że nie chodzi tu o atak niemiecki ani o zerwanie mostów, — to sprawy wojenne i cesarz jest o nich powiadomiony, — nie, chodzi tu o coś innego, co łączy się prawdopodobnie z zdarzeniami i nadaje im pełnego znaczenia. Kobieta ta za mądra jest na to, by sądzić, że posunięcie się naprzód o jeden lub dwa kilometry może być wypadkiem, zdolnym położyć koniec temu, co ona nazywa „czarną serją“. Więc co? Co w tem jest? Ja nie wiem. I tu powód mojej obawy.

Cały ten wieczór i całą środę, trzynastego, zużył Paweł na badania na ulicach miasta i na brzegach Aisne'y. Nawiązał stosunki z władzami wojskowemi. Oficerowie i żołnierze brali udział w jego poszukiwaniach. Przetrzęsnęli liczne mieszkania, dopytywali różnych mieszkańców.

Bernard chciał mu towarzyszyć, lecz Paweł oparł się temu stanowczo.

— Nie. To prawda, że ta kobieta ciebie nie zna, nie trzeba jednak, aby zobaczyła twoją siostrę. Proszę cię więc, zostań z Elżbietą, nie pozwól jej wychodzić i czuwaj nad nią bezustannie, mamy bowiem do czynienia z najokrutniejszym z wrogów.

Brat i siostra przeżyli więc cały ten dzień przyklejeni niemal do szyby okien. Paweł wracał tylko na pośpieszne spożycie posiłku. Nadzieja go nie opuszczała.

— Ona tu jest, mówił. Podobnie jak ci, którzy towarzyszyli jej w aucie, musiała zrzucić strój pielęgniarki i skryła

się w jakiejś dziurze, jak pajak za swą pajęczyną. Widzę ją, jak z słuchawką telefoniczną w ręce, wydaje rozkazy całej bandzie podejrzanych osobników, równie jak ona gdzieś zakopanych i jak ona niewidzialnych. Lecz zaczynam już przenikać jej plan, a jej się wydaje, że jest zupełnie bezpieczna. Nie wie nic o śmierci swego współnika Karola. Nie wie o mojej rozmowie z cesarzem. Nie wie o oswobodzeniu Elżbiety. Nie wie o naszym tu pobycie. Złapałem ją, tą podłą kreaturę. Mam ją.

Wiadomości z pola walki nie poprawiały się jednakże.

Na lewym brzegu cofano się w dalszym ciągu. W Crony, liczne straty i przepaściste błota osłabiły zapal Marokańczyków. Zniszczał zbudowany naprędce most pontonowy.

Gdy Paweł powrócił około szóstej wieczorem, Elżbieta z przestrachem spostrzegła krew na jego rękawie.

— To nic, rzekł śmiejąc się. Zadrasnąłem się gdzieś, sam nie wiem gdzie.

— Lecz ręka! patrz na rękę. Krew ci idzie!

— Nie, to nie moja krew. Bądź spokojna. Wszystko dobrze.

Bernard, zwracając się doń nagle, powiedział:

— Wiesz, że głównodowodzący generał jest od rana w Soissons?

— Tak, podobno... Tem lepiej. Chciałbym wydać mu tą kobietę i całą jej szpiegowską bandę. To byłby ładny podarunek!

Wydalił się jeszcze na godzinę. Potem powrócił i kazał podać sobie obiad.

— Zdajesz się teraz pewny swego, zauważył Bernard.

— Czyż można być kiedy pewnym? Ta kobieta to wcielony djabeł.

— Lecz znasz już jej kryjówkę?

— Tak.

— I czego czekasz?

— Dziewiątej godziny. Teraz wypocznę. Obudźcie mnie trochę przed dziewiątą.

Nie ustawał grzmot armat. [Od czasu do czasu jakiś granat padał na miasto z wielkim hałasem. Wojska przechodziły w różnych kierunkach. Następnie bywały chwile ciszy, w których zdawały się milknąć odgłosy wojny i to były może najokropniejsze minuty.

Paweł sam się obudził.

Rzekł do żony i Bernarda:

— Wy wiecie, że należycie do wyprawy? To będzie ciężkie, Elżbieto, bardzo ciężkie. Jesteś pewna, że nie zabraknie ci sił?

— Och! Pawle... Lecz ty sam taki jesteś blady!

— Tak, odparł, trochę wzruszenia. Bynajmniej nie przez to, co się ma stać... Lecz aż do ostatniej chwili i mimo wszystkich przedsięwziętych ostrożności, będę się bał, aby przeciwnik się nie ukrył.

— Przecież...

— Ech, tak... jakaś nierozwaga, jakiś zły traf, obudzający czujność i wszystko trzeba by zaczynać na nowo... Co ty tam robisz, Bernardzie?

— Biorę rewolwer.

— Niepotrzebnie.

— Jakto! więc nie będzie walki w tej twojej wyprawie?

Paweł nie odpowiedział. Wedle swego zwyczaju dawał wyjaśnienia w czasie działania, lub po dokonaniu rzeczy. Bernard wziął swój rewolwer.

Z ostatniem uderzeniem dziewiątej godziny przechodzili przez rynek, wśród głębokich ciemności, które przedzierał tu i ówdzie wąski pasek światła, dobywający się z jakiegoś zamkniętego sklepu.

Na placu katedralnym ujrzeni gromadkę żołnierzy.

Oświetliwszy ich swą elektryczną latarką, rzekł Paweł do tego, który nimi dowodził:

— Nic nowego, sierżancie?

— Nic, panie poruczniku. Nikt nie wchodził do domu i nikt zeń nie wyszedł.

Sierżant zaświstał lekko. W połowie ulicy, dwu ludzi wyłoniło się z otulających ich ciemności i przyłączyło się do całej gromadki.

— Żadnego szmeru w domu?

— Żadnego, panie sierżancie.

— Ani światła za storami?

— Żadnego, panie sierżancie.

Wówczas Paweł puścił się w drogę i gdy tamci, stosując się do jego poleceń, postępowali w ślad za nim bez najmniejszego hałasu, on szedł krokiem stanowczym naprzód, jak spóźniony przechodzień, powracający do domu.

Zatrzymali się przed wąskim domkiem, którego dół zaledwie był widzialny w mrokach nocy. Brama wznosiła się na wysokości trzech stopni. Paweł zastukał w nią cztery razy, czyniąc krótką przerwę między każdym uderzeniem. Równocześnie wyjął klucz z kieszeni i otwierał.

W przedsionku zaświecił ponownie swą latarkę elektryczną; towarzysze jego zachowywali ciągle jednakie milczenie; skierował się ku wysokiemu lustru, umieszczonemu wprost na kamiennych płytach posadzki.

Zastukawszy w lustro krótko, cztery razy, pchnął je, naciskając z brzegu. Zakrywało ono otwór schodów, sprządzających w dół, pod ziemię, dokąd Paweł rzucił natychmiast światło swej latarki.

Musiał to być znak umówiony, trzeci znak z rzędu, w tej chwili bowiem odezwał się z dołu głos, głos kobiety, lecz ostry i chrapliwy:

— To wy, ojczyce Walterze?

Nadeszła chwila działania. Nie odpowiadając, w kilku skokach, zbiegł Paweł po schodach.

Przybywał właśnie w chwili, gdy zamykały się ciężkie drzwi, mające udaremnić dostęp do piwnicy.

Gwałtowne pchnięcie... Wszedł.

Znajdowała się tam hrabina Hermina, w półmroku, nieruchoma pełna widocznego wahania.

Potem, nagle, pobiegła na drugi koniec piwnicy, chwyciła leżący na stole rewolwer i odwróciwszy się, zmierzyła.

Krótki trzask, żadnego jednak wystrzału.

Powtórzyła trzy razy, każdym razem bez skutku.

— Szkoda próbować, — zakpił Paweł. Naboje zostały wyjęte.

Hrabina wydała okrzyk wściekłości; otworzyła szufładę stołu i wyciągając drugi rewolwer, strzeliła zeń cztery razy, również bezskutecznie.

— Niema rady, — rzekł z śmiechem Paweł i z tego także wyjęto naboje, podobnie jak i z wszystkich broni w całym domu.

I gdy ona patrzyła na niego osłupiała, nic nie rozumiejąc, przytłoczona swą bezsilnością, on zasalutował i wymówił tylko te dwa słowa, które miały jej wszystko powiedzieć:

— Paweł Delroze.

IX.

Hohenzollern.

Piwnica podobna była tym wielkim sklepionym salom, które spotyka się w Szampanji, chociaż nie miała tych wymiarów. Ściany czyste, powietrze ozięble; pomiędzy

dwiema beczkami urządzony rodzaj alkowy, zakrytej firanką, krzesła, meble, wszystko to składało się na mieszkanie wygodne, zabezpieczone od pocisków, a będące równocześnie bezpieczną kryjówką dla kogoś, kto obawia się niedyskretnych wizyt.

Paweł przypomniał sobie ruiny starej wieżycy nad brzegiem Izery i tunel wiodący z Ornequin do Ebrecourt. Tak więc walka toczyła się dalej pod ziemią. Okopy i piwnice, szpiegostwo i podstęp, były to ciągle te same środki wojenne, skryte, haniebne, podejrzane i zbrodnicze.

Paweł zgasił swą latarkę, tak, że sala była już tylko słabo oświetlona lampą naftową, zawieszoną u powały. Światło jej, przyćmione gęstym abażurem, tworzyło jakby białe koło, w środku którego znajdowali się oni dwoje, sami.

Elżbieta i Bernard zostali w tyle, w cieniu.

Sierżant i jego ludzie czekali na dole, słychać jednak było szmer ich rozmów, u stóp schodów.

Hrabina nie ruszała się z miejsca. Była ubrana tak samo, jak na uczcie w willi księcia Konrada. Na twarzy jej nie znać już było ani przestachu, ani zdziwienia, raczej tylko wysilek myśli, jakby starała się obliczyć wszystkie możliwe konsekwencje obecnego położenia. Paweł Delroze! Jaki był cel jego wtargnięcia? Prawdopodobnie — i to najwidoczniej była myśl uspokajająca zwolna hrabinę, — prawdopodobnie prowadził dalej żmudne starania dla uwolnienia swej żony.

Uśmiechnęła się szyderczo. Elżbieta, uwięziona w Niemczech, cóż za okup wymienny za nią samą, za nią, wziętą w zasadzkę, lecz mogącą jeszcze rozkazywać zdarzeniom!

Na dany znak przybliżył się Bernard, a Paweł rzekł do hrabiny:

— Oto mój szwagier. Major Hermann, kiedy był więziony w domu przewoźnika, widział go pewno, tak jak widział i mnie bez wątpienia. Lecz hrabina Hermina, lub mówiąc ściślej hrabina d'Audeville, nie zna, czy też co najmniej zapomniała już swego syna, Bernarda d'Audeville.

Zdawała się już teraz zupełnie upewniona i zachowywała minę osoby, która walczy równą, a nawet potężniejszą bronią. Nie zmieszała się też na widok Bernarda i rzekła swobodnym tonem:

— Bernard d'Audeville podobny jest bardzo do swojej siostry Elżbiety, której dzięki sprzyjającym okolicznościom, nie straciłam z oczu. Przed trzema dniami jeszcze

byłyśmy razem, ona i ja, na uczcie z księciem Konradem. Książę Konrad ma dużo serdecznego uczucia dla Elżbiety i słusznie, gdyż ona jest urocza i taka miła! Rzeczywiście lubię ją bardzo!

Paweł i Bernard z trudem pohamowali swą nienawiść i żywiołową chęć rzucenia się na hrabinę. Paweł, wyczuwając rozjątrzenie szwagra, usunął go nieco na bok, sam zaś odpowiedział na wyznanie przeciwnika tym samym lekkim tonem:

— Lecz tak, wiem o tem... byłem tam także... Byłem nawet świadkiem jej odjazdu.

— Istotnie?

— Istotnie. Przyjaciół pani Karol ofiarował mi miejsce w swoim automobiliu,

— W swoim automobiliu?

— Mówię prawdę i pojechaliśmy wszyscy do pani zamku Hildensheim... Niesłychanie piękna siedziba... byłbym ją chętnie zwiedził dokładniej... Lecz pobyt w niej jest niebezpieczny, często śmiertelny... tak, że...

Hrabina spoziierała nań z wzrastającym niepokojem. Co chciał przez to powiedzieć? Skąd wiedział o tych sprawach?

Chciała teraz ona przerazić go z kolei, aby poznać jasno całą grę wroga i wymówiła cierpkim tonem:

— Rzeczywiście, pobyt w zamku bywa często śmiertelny, oddycha się tam powietrzem, które nie dla wszystkich jest zdrowe...

— Powietrzem zatrutem...

— Właśnie.

— I pani obawia się o Elżbietę?

— Tak, istotnie. Zdrowie tej biednej małej jest już nadwątlone i nie będę spokojna, aż wówczas...

— Gdy ona umrze, nieprawdaż?

Przeczekwała kilka sekund, poczem odrzuciła krótko a dobitnie, tak, że Paweł zrozumiał dobrze cel jej słów:

— Tak, aż gdy ona umrze... co musi niebawem nastąpić... o ile już się nie stało.

Nastąpiła dość długa cisza. I znowu, wobec tej kobiety Paweł odczuwał tą samą potrzebę dokonania morderstwa, tą samą potrzebą nasycenia swej nienawiści. Obowiązkiem jego było ją zabić, a zbrodnią było niesłuchanie tego wewnętrznego nakazu.

Elżbieta stała w cieniu, o trzy kroki w tyle.

W milczeniu, powoli, Paweł odwrócił się w jej stronę, podniósł ramię, nacisnął sprężynę swojej latarki i skierował ją ku swej żonie, tym sposobem oświetlając ją w pełni.

Wykonywując ów ruch, nie spodziewał się nawet Paweł, aby mogło to wywrzeć tak gwałtowne wrażenie na hrabinę Herminę. Kobieta taka jak ona, nie mogła się mylić, nie mogła przypuszczać, iż pada ofiarą jakiegoś złudzenia, iż chcą ją zwieść jakimś wyjątkowem podobieństwem. Nie. Uświadomiła sobie natychmiast, że Paweł uwolnił swoją żonę, że Elżbieta istotnie stała przed nią. Lecz jak mogło się stać coś tak nieprawdopodobnego? Elżbieta, którą ona przed trzema dniami zostawiła w rękach Karola... Elżbieta, która w obecnej chwili powinna była już nie żyć, lub też być uwięzioną w fortecy niemieckiej, do której z górą dwa miliony żołnierzy broniło dostępu... ta sama Elżbieta znajdowała się tu, przed nią? W niecałych trzech dniach zdołała umknąć Karolowi, uciec z zamku Hildensheim, przekroczyć linje dwu milionów Niemców?

Hrabina Hermina usiadła przy stole, który służył jej za wał obronny i z wściekłością zaciśnięte pięści wbiła sobie w policzki. Twarz jej zmieniała się nie do poznania. Pojmowała całą grozę swego położenia. Tu już nie chodziło o żarty ani o wyzwanie. Nie chodziło też o dobicie targu. W tej okrutnej grze, jaką grała, straciła nagle wszelkie prawdopodobieństwo wygranej. Musiała poddać się prawu zwycięscy, a zwycięscą tymi był Paweł Delroze!

Wyjąkała :

— Co pan chcesz przeprowadzić? Jaki jest twój cel? Zamordować mnie?

Wstrząsnął ramionami.

— My nie należymy do tych, którzy mordują. Będzie pani sądzona. Kara, której będziesz pani musiała się poddać, zostanie wymierzona po prawidłowej rozprawie, w czasie której będzie pani mogła się bronić.

Zadrżała i sprzeciwiła się żywo :

— Nie macie prawa mnie sądzić, nie jesteście sędziami!

Zaczynał ją przejmować strach, uczucie, którego zdawała się nie znać do tej pory.

I powtórzyła cicho :

— Nie jesteście sędziami... sprzeciwiam się... Nie macie prawa.

W tej chwili, od strony schodów, rozległa się jakaś wrzawa. Głos jakiś krzyknął: „Stój!”

I prawie równocześnie pchnięto od zewnątrz drzwi, dotąd przymknięte; weszło trzech oficerów, w swych wielkich płaszczach.

Paweł podszedł ku nim żywo i podał im krzesła; usiedli w tej części sali, której nie oświetlało słabe światło lampy.

Następnie nadszedł czwarty. Przyjęty przez Pawła, usiadł nieco dalej na uboczu.

Elżbieta i Bernard stali obok siebie.

Paweł zajął swe dawne miejsce, a stanąwszy z boku przy stole, rzekł uroczyście:

— Nie jesteśmy sędziami, istotnie i nie chcemy przywłaszczać sobie prawa, które do nas nie należy. Oto oni będą panią sądzić. Ja, oskarżam tylko.

Wypowiedział te słowa surowo, z niesłychaną energją,

I zaczął natychmiast, bez wahania, jakby zgóry przygotował sobie wszystkie punkty oskarżenia, które miał wygłosić; starał się przytem, aby w tonie jego nie dźwięczała ani złość, ani nienawiść:

— Urodziła się pani w zamku Hildensheim, którego dziad jej był zawiadowcą, a który ojcu pani został dany po wojnie z 1870. Nazywa się pani w istocie Hermina, Hermina de Hohenzollern. Ojciec pani szczycił się tem mianem Hohenzollern, chociaż nie miał doń prawa, lecz szczególne względy, jakie okazywał mu stary cesarz, pozwoliły na to, że nikt mu tego miana nigdy nie zakwestjonował. Jako pułkownik brał on udział w kampanji z 70 roku i odznaczył się wtedy niesłychanem okrucieństwem i chciwością. Wszystkie bogactwa, które zdobią wasz zamek Hildensheim, pochodzą z Francji, a na dobytek bezczelności, na każdym przedmiocie znajduje się napis, udowadniający miejsce jego pochodzenia i nazwisko właściciela, któremu został skradziony. Poza tem, w przed-sionku zamkowym, na marmurowej tablicy znajdują się wyryte złotem nazwy wszystkich wsi francuskich, spalonych na rozkaz Jego Ekscelencji pułkownika, hrabiego de Hohenzollern. Cesarz przybywał często do tego zamku. Salutuje każdym razem, gdy przechodzi obok marmurowej tablicy.

Hrabina słuchała z roztargnieniem. Cała ta historia pozbawiona była dla niej zbyt wielkiego znaczenia. Czekala, aby o niej mówić zaczęto.

Paweł ciągnął dalej:

— Odziedziczyłaś pani po swym ojcu dwa uczucia, które kierują całym twojem życiem : zapamiętałaś miłość dla tej dynastji Hohenzollernów, z którą zdaje się przypadkowy kaprys cesarski, lub raczej królewski, skojarzył ojca pani i okrutną, dziką nienawiść do tej Francji, której ojciec pani, ku swemu wielkiemu żalowi za mało — jego zdaniem — wyrządził złego. Całą miłość dla dynastji, z chwilą gdy stałaś się kobietą, skupiłaś pani na osobie tego, który ją obecnie reprezentuje i to do tego stopnia, że mając ongiś nieprawdopodobną nadzieję wstąpienia na tron, przebaczyłaś mu potem wszystko, nawet jego małżeństwo, nawet jego niewdzięczność, aby oddać mu się ciałem i duszą. Wydana przez niego za męża za księcia austriackiego, który zmarł niewiadomo w jaki sposób, potem za księcia rosyjskiego, który zmarł, niewiadomo również w jaki sposób, wszędzie pracowałaś zawsze dla jedynej chwały i wielkości twego bożyszcza. W chwili wybuchu wojny między Anglią a Transwalem, znajdowałaś się pani w Transwale. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej, byłaś w Japonji. Byłaś pani wszędzie : w Wiedniu, gdy został zamordowany arcyksiążę Rudolf ; w Belgradzie, gdy zamordowano króla Aleksandra i królowę Dragę. Lecz nie będę już rozwodził się dłużej nad pani rolą... dyplomatyczną. Śpieszno mi do pani ulubionego dzieła, tego, które od lat dwudziestu prowadzisz przeciwko Francji.

Wyraz złości, a zarazem rozradowania pojawił się na twarzy hrabiny Herminy. Naprawdę, tak, to było jej ulubione dzieło. Zużywała na nie wszystkie swe siły i całą swą przewrotną inteligencję.

— Nie będę również rozwodził się dłużej, — mówił dalej Paweł — nad całym olbrzymim dziełem przygotowania i szpiegostwa, którem pani kierowała. Nawet w dalekiej zapadłej wiosce, na szczycie dzwonnicy, znalazłem jednego z pani szpiegów, uzbrojonego w sztylet, znaczony pani inicjałami. Wszystko co się stało, wszystko to było przez panią poczęte, zorganizowane, wykonane. Dowody jakie cebrałem, listy pani zauszników, jakoteż i jej własne, są już w rękach trybunału. Lecz to, na co przedewszystkiem chcę rzucić światło, to część pani wysiłków i zabiegów, dotycząca zamku Ornequin. Nie będzie to zresztą długie. Kilka zdarzeń związanych zbrodniami. Oto wszystko.

Znowu cisza. Hrabina przysłuchiwała się z pewną jakby trwożliwą ciekawością. Paweł począł wymieniać :

— W roku 1894 zaproponowała pani cesarzowi przebicie tunelu pomiędzy Ebre-court a Corvigny. Po badaniach,

dokonanych przez inżynierów, uznano, że to „kolosalne” dzieło było możliwe i mogło być skuteczne jedynie pod warunkiem nabycia na własność zamku Ornequin. Właściciel tego zamku znajdował się właśnie w bardzo złym stanie zdrowia. Poczekano. Ponieważ jednak nie śpieszył się umrzeć, pani przybyłaś do Corvigny. Umarł w tydzień potem. Oto pierwsza zbrodnia.

— Kłamiesz pan! Kłamiesz! krzyknęła hrabina. Nie ma pan żadnego na to dowodu. Wyzywam pana, abys dał dowód.

Nie odpowiadając, ciągnął dalej Paweł:

— Zamek został wystawiony na sprzedaż i rzecz niewytłumaczona, bez najmniejszego ogłoszenia, rzecz można w tajemnicy. I cóż się zdarzyło? Oto zastępca pani interesów, któremu udzieliłaś swych wskazówek, poprowadził sprawę tak niezręcznie, że zamek został przysądzony hrabiemu d'Audeville, który zamieszkał go w następnym roku wraz z żoną swą i dwojgiem dzieci.

Stąd złość, zamieszanie i wkońcu postanowienie spróbowania mimo wszystko głębokości gruntu w miejscu, w którym znajdowała się mała kapliczka, stojąca, w owej epoce, poza obrębem parku. Cesarz niejednokrotnie przybywał do Ebrecourt. Pewnego dnia, wychodząc z tej kaplicy, spotkał mego ojca i mnie. Ojciec mój poznał go; w dziesięć minut później pani przystąpiłaś do niego. Mnie raniono. Ojciec mój padł. Oto druga zbrodnia.

— W miesiąc później, ciągnął Paweł, stale bardzo spokojny, hrabina d'Audeville, stanem swego zdrowia zmuszona opuścić Ornequin, pojechała na południe, gdzie dokonała życia na rękach swego męża; śmierć żony przepełniła pana d'Audeville taką odrazą do Ornequin, że postanowił nigdy tam nie wrócić.

Plan pani natychmiast spełnia się. Zamek wolny, należy go zająć. Lecz jak? Przekupując stróża Hieronima i jego żonę. Tak, przekupując ich i dlatego to dałem się oszukać, polegając na ich szczerych twarzach i pełnem dobroduszości zachowaniu się. Przekupuje ich zatem pani. Tych dwoje nędzników, którzy w rzeczywistości mają to na swe wytłumaczenie, że nie pochodzą z Alzacji, jak twierdzą, lecz są obcego pochodzenia i którzy nie przewidują skutków swej zdrady, tych dwoje nędzników zawiera z panią umowę. Od tej pory czuje się pani w Ornequin jak u siebie w domu, przybywa tam pani, kiedy tylko sama zechce. Na pani rozkaz, Hieronim utrzymuje nawet w tajemnicy śmierć hrabiny. Herminy, prawdziwej hrabiny Herminy.

A ponieważ pani nazywa się również hrabina Hermina, a nikt nie znał pani d'Audeville, która żyła w odosobnieniu, wszystko dobrze się składa.

Przedsięwzięcie pani zresztą różne ostrożności; jedna z nich, między innymi, wywodzi mię w pole, podobnie jak sprawa stróża i jego żony. W buduarze hrabiny d'Audeville, niegdyś przez nią zamieszkanym, znajdował się jej portret. Pani każe zrobić sobie swój portret, tej samej wielkości, dostosowany doskonale do ramy, na której wypisane jest imię hrabiny. Na portrecie tym przedstawiona jest pani zupełnie podobnie do niej, tak samo ubrana, tak samo uczesana. Krótko mówiąc, staje się pani tą, za którą pragnęłaś uchodzić od początku i nawet za życia pani d'Audeville, staje się pani hrabiną Herminą d'Audeville, przynajmniej w czasie swoich pobytów w Ornequin.

Istnieje jedno jedyne niebezpieczeństwo: możliwy, nieprzewidziany powrót pana d'Audeville. Ażeby temu zaradzić w sposób pewny, jedyny środek: zbrodnia.

Urządza się więc pani w ten sposób, iż zaznajamia się z panem d'Audeville, co pozwala ci czuwać nad nim i pisywać do niego. Zdarza się jednak coś, na co pani wcale nie liczyła: oto uczucie, naprawdę nieoczekiwane u kobiety takiej jak pani, przywiązuje ci stopniowo do tego, którego wybrałaś na swą ofiarę. Złożyłem do aktów fotografię pani, przysłaną z Berlina panu d'Audeville. W owym okresie, miałaś pani nadzieję, iż doprowadzisz go do małżeństwa, lecz on przenika twoje zamiary, odgaduje grę i zrywa...

Hrabina zmarszczyła brwi, zacisnęła usta. Czuło się całe upokorzenie, jakiego ongiś musiała doznać i całą urazę, jaką zachowała od tej chwili. Teraz zaś odczuwała nie wstyd, lecz coraz bardziej wzrastające zdziwienie, słysząc jak rozgłaszane są najdrobniejsze szczegóły jej życia, widząc całą swą zbrodniczą przeszłość, powstającą z mroków, w których zdawała się ona pogrzebana.

— „Gdy wybuchła wojna, podjął Paweł, dzieło pani było w pełni rozwoju. Gotowa, czekałaś w wili w Ebre-court, u wylotu tunelu. Zaskoczyło panią nieco moje małżeństwo z Elżbietą d'Audeville, nagłe nasze przybycie do zamku Ornequin, moje wstrząśnienie przed portretem tej, która zabiła mi ojca i wszystko to, co zostało ci doniesione przez Hieronima; wymyśliła pani wówczas zasadzkę, w której o mało co, ja z kolei, nie zostałem zamordowany. Mobilizacja uwolniła panią od mojej osoay. Mogłaś działać. W trzy tygodnie później Corvigny było zbombardowane,

Ornequin zajęty przez wroga, Elżbieta więźniem księcia Konrada...

Przeżywała pani wtedy chwile niezrównane. Poila się pani zemstą, lecz również i to dzięki sobie właśnie, wielkiem zwycięstwem, spełnieniem wielkiego marzenia, triumfem Hohenzollernów. Jeszcze dwa dni, a Paryż będzie wzięty! Jeszcze dwa miesiące, a Europa będzie podbita! Co za upojenie! Znam słowa, wypowiedane przez panią w owej epoce i czytałem listy pani, świadczące o prawdziwym szale, szale pychy, szale nieograniczonej potęgi, szale okrucieństwa, szale dzikości, szale nadludzkich pragnień...

A potem nagle, brutalne przebudzenie! Walki nad Marną! Czytałem również listy pani z owego okresu. Od pierwszej chwili, kobieta o takiej jak pani inteligencji musiała przewidzieć — i pani istotnie przewidziała — że to było zburzenie wszelkich nadziei i wierzeń. Napisała to pani cesarzowi. Tak, ty to napisałaś! Czytałem kopję tego listu! Należało się jednak bronić. Wojska francuskie zbliżały się. Przez mego szwagra Bernarda dowiaduje się pani o mojej obecności w Corvigny. Czyż można uwolnić Elżbietę? Elżbietę, która zna wszystkie tajemnice... Nie, ona musi umrzeć. Skazuje ją więc pani na śmierć. Wszystko przygotowane jest do egzekucji. Ocala ją książę Konrad; w braku jej śmierci, musi się pani zadowolić udaniem egzekucji, obliczonem na przecięcie wszystkich moich poszukiwań i wywozi ją pani jak niewolnicę. Padają dwie inne ofiary — Hieronim i Rozalja. Chociaż współnicy pani, trapieni jednak wyrzutami sumienia i rozrzewnieni męczeńną Elżbietą, próbowali z nią razem uciec. Obawia się pani ich zeznań: zostają zatem rozstrzelani. Oto trzecia i czwarta zbrodnia. A nazajutrz, dwie nowe: każesz pani zamordować dwu żołnierzy, biorąc ich za mnie i za Bernarda. Oto piąta i szósta zbrodnia“.

Tym sposobem odtwarzał się cały dramat, w wszystkich swych tragicznych epizodach i wedle porządku następujących po sobie zdarzeń i morderstw. I pełen grozy był widok tej kobiety, winnej tylu zbrodni, którą los postawił tu, w głębi tej piwnicy, w obliczu śmiertelnych jej wrogów. Jakże możliwe było, iż, mimo wszystko, zdawała się ona jednak nie tracić całej nadziei? A było tak w istocie i Bernard to zauważył.

— Przypatrz się jej uważnie, rzekł zbliżając się do Pawła. Dwa razy spozierała na swój zegarek. Zdawałoby

się, że oczekuje jakiegoś cudu, więcej nawet, jakiejs pomocy bezpośredniej, nieuniknionej, która ma zdążyć na oznaczoną godzinę. Patrz... Oczy jej szukają czegoś... Nasłuchuje.

— Każ wejść tu wszystkim żołnierzom, stojącym na dole przy schodach — odparł Paweł. Niema żadnej przyczyny, dla której nie mieliby usłyszeć tego, co zostaje mi jeszcze do powiedzenia.

I zwracając się ku hrabinie, wymówił ożywionym głosem :

— Zbliżamy się do końca. Całą dotychczasową walkę prowadziłaś pani pod postacią rzekomego majora Hermanna, łatwiej bowiem było ci tak zdążać za wojskami i odgrywać rolę przywódcy szpiegostwa. Hermann, Hermina... Major Hermann, który w razie potrzeby uchodził za brata pani, to byłaś ty sama, hrabino. Panią to przyłapałem na poufnej rozmowie z rzekomym Belgijczykiem Lascheu, a raczej szpiegiem Karolem, w ruinach wieży nad brzegiem Izery. I panią udało mi się pochwycić i związać w domu przewoźnika.

— Ach! tego dnia wymknęło się pani szczęście z ręki! Trzech pani wrogów zranionych leżało tuż obok, w pobliżu... A pani uciekła, nie dostrzegłszy ich, nie dobiwszy! I straciła ich pani z oczu, gdy my tymczasem znaleźmy twoje plany. W niedzielę, dziesiątego stycznia schadzka w Ebrecourt, złowroga schadzka, którą wyznaczyłaś Karolowi, oznajmiając mu równocześnie niezłomne twe postanowienie stracenia Elżbiety. I dziesiątego stycznia, w niedzielę, stawilem się na owej schadzce. Byłem świadkiem uczty księcia Konrada! Znajdowałem się tam wówczas także w chwili, gdy wręczałaś Karolowi flaszeczkę z trucizną! I siedziałem w automobiliu, kiedy wydawałaś szpiegowi ostatnie twe zlecenia! Byłem wszędzie. I tego samego wieczoru Karol już nie żył. A następnej nocy porwałem księcia Konrada. A nazajutrz, to znaczy przedwczoraj, mając w rękach takiego zakładnika, zmusiwszy cesarza do układów ze mną, dyktowałem mu warunki, z których pierwszym było natychmiastowe uwolnienie Elżbiety. Cesarz ustąpił. I oto jesteśmy!

Jedno z tych wszystkich słów, wykazujących hrabinie z jaką nieubłaganą energją była ciągle ścigana, jedno szczególnie słowo poruszyło ją do głębi, jakby najstraszniejsza z wszystkich katastrofa.

Wyjąkała :

— Nie żyje? Mówisz pan, że Karol nie żyje?

— Powalony został przez własną swą kochankę, w chwili, gdy usiłował mnie zabić — zawołał Paweł, unosząc się znowu nienawiścią. Powalony, jak wściekłe zwierzę! Tak, szpieg Karol zginął, a nawet po śmierci swej jeszcze był zdrajcą, jak był nim przez całe życie. Żądałaś pani dowodów swych zbrodni? Oto znalazłem je właśnie w kieszeni Karola! W jego to notatniku wyczytałem historję pani zbrodni i kopje pani listów i nawet niektóre z jej pism własnych. Przewidywał, że pewnego pięknego dnia, skoro dokonasz już swego dzieła, poświęcisz go dla własnego bezpieczeństwa i zemścił się już zgóry... Zemścił się tak, jak stróż Hieronim i jego żona Rozalja, którzy wiedząc, że mają być z twego rozkazu rozstrzelani, w ostatniej jeszcze chwili zemścili się, zdradzając Elżbiecie tajemnicę potwornej roli, jaką odgrywała pani w zamku Ornequin. Oto pani współnicy! Pani zabijasz ich, lecz oni ciebie gubią! To już nie ja oskarżam panią w tej chwili, lecz oni sami. Listy ich, zeznania, są już w rękach sędziów pani. Cóż pani odpowie na to wszystko?

Paweł stał tuż obok niej, dzielił ich zaledwie róg stołu; całą mocą swej nienawiści i odrazy rzucał jej wyzwanie.

Cofnęła się ku ścianie, pod wieszadła, na których wisiały suknie, płaszcze i rozmaite odzienia, służące jej widocznie do przebierania się. Mimo, iż osaczona, wzięta w pułapkę, zmieszana tyloma dowodami, wysledzona i bezsilna, nie traciła wyzywającej, zuchwałej postawy. Gra nie zdawała jej się jeszcze stracona. Atuty jej były jeszcze w grze. Rzekła z bezczelnością:

— Nie mam nic do powiedzenia. Pan mówi o kobiecie, która spełniła te wszystkie zbrodnie. A ja nią nie jestem. Tu nie chodzi o dowiedzenie, iż hrabina Hermina jest szpiegiem i zbrodniarką. Chodzi o to, by dowieść, iż ja jestem hrabiną Herminą. Otóż kto może tego dowieść?

— Ja!

Opodał trzech oficerów, których Paweł wskazał poprzednio jako sędziów, znajdował się jeszcze czwarty; wszedł tu równocześnie z tamtymi i przysłuchiwał się również milcząc całemu oskarżeniu.

Postąpił naprzód.

Światło lampy oświeciło jego twarz.

Hrabina szepnęła:

— Stefan d'Audeville... Stefan...

Był to w rzeczywistości ojciec Elżbiety i Bernarda.

Był bardzo blady, osłabiony otrzymanemi przed niedawnem ranami, po których zaczynał zaledwie przychodzić do zdrowia.

Ucałował córkę i syna.

Bernard wzruszony zawołał :

— Ach ! to ty ojciec !

— Tak, odparł, głównodowodzący generał zawiadomił mię i przybyłem na wezwanie Pawła. Twój mąż, to silny człowiek, Elżbieto. Przed chwilą, gdy spotkaliśmy się na ulicy, opowiedział mi już mniej więcej o wszystkim. Lecz teraz dopiero zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, co uczynił... aby zmiażdżyć tą gadzinę.

Staął naprzeciwko hrabiny i czuło się, że ma ważne rzeczy do powiedzenia. Ona spuściła zrazu głowę, wkrótce jednak oczy jej stały się jak zwykle zuchwałe i wyzywające. Zapytała :

— I pan także przychodzisz mię oskarżać ? Cóż pan z kolei masz do wytoczenia przeciwko mnie ? Kłamstwa, nieprawdaż ? Obelgi ?

Przeczekał, aby słowa te utonęły w głębokiej ciszy, poczem zaczął mówić powoli i spokojnie :

— Przybywam przede wszystkim jako świadek, dla potwierdzenia tożsamości pani osoby, której żądałaś przed chwilą. Niegdyś, przedstawiłaś się pani pod nazwiskiem, które nie było twojem, a dzięki któremu udało ci się pozyskać moje zaufanie. Później, kiedy starała się pani nawiązać ze mną ściślejsze stosunki, wyjawiałaś mi swe prawdziwe miano, mając nadzieję olśnienia mnie swemi tytułami i pokrewieństwami. Mam więc prawo i obowiązek oświadczenia przed Bogiem i ludźmi, że jesteś pani hrabiną Herminą de Hohenzollern. Papiery, które mi pani ongiś pokazywała, są autentyczne. I właśnie dlatego, że byłaś hrabiną de Hohenzollern, zerwałem z panią stosunki, które mi były zresztą — sam nie wiedziałem wówczas dlaczego — ciężkie i niemiłe. Oto moja rola jako świadka.

— Rola bezecna ! — krzyknęła z wściekłością hrabina. Rola kłamcy, tak jak przepowiedziałam. Żadnego nie masz pan dowodu !

— Żadnego dowodu ? — rzekł hrabia d'Audeville, zbliżając się do niej drżący z złości. A ta fotografia przysłana przez panią z Berlina i przez panią podpisana ? Ta fotografia, na której miałaś bezczelność być ubraną tak jak moja żona ? Tak, pani ! Pani to zrobiła ! Przypuszczałaś, że usiłując zbliżyć swój obraz do obrazu mojej biednej,

ukochanej żony, wzbudziś we mnie uczucia, *które byłyby dla ciebie korzystne! I nie wyczuwałaś pani, że to była najgorsza obraza dla mnie, najgorsza zniewaga dla zmarłej! I pani śmiałaś, pani, pani, po tem, co się stało!...

Podobnie jak przed chwilą Paweł Delroze, tak teraz hrabia stał tuż obok niej, grożący i pełen nienawiści. Szepnęła, nieco jakby zmieszana:

— No cóż, dlaczego by nie?

Zacisnął pięści i odparł:

— Rzeczywiście, dlaczego by nie? Nie wiedziałem wówczas, kim pani jesteś w istocie i nie wiedziałem nic o dramacie... o dramacie z niegdyś... Wiem to dziś dopiero, gdy zestawiłem fakty... Jeżeli odepchnąłem panią ongiś z instynktowną odrazą, to teraz oskarżam panią z nieporównanym wstrętem, teraz... gdy wiem... tak, gdy wiem wszystko i to z całą pewnością. Już wtedy, gdy biedna moja żona umierała, niejednokrotnie, tam, w pokoju konającej mówił mi doktor: „To dziwna choroba! Dychawica, zapalenie płuc, zapewne, a jednak są w tem rzeczy, których nie rozumię... objawy... czemuż nie powiedzieć wyraźnie? objawy otrucia“. Zaprzeczyłem wówczas. Przypuszczenie było niemożliwe. Otruta, moja żona! I przez kogo? Przez panią, hrabino, przez panią! Stwierdzam to dzisiaj. Przez panią! Przysięgam na to, na zbawienie mej duszy. Dowody? Lecz samo życie pani, wszystko panią oskarża.

Jest jedna rzecz, na którą Paweł Delroze nie rzucił pełnego światła. Nie rozumiał on dlaczego, w chwili, gdy zamordowałaś jego ojca, nosiłaś ubranie podobne do szat mojej żony. Dlaczego? Oto dla tej ohydnej przyczyny, że już w tej epoce śmierć mojej żony była postanowiona i że już wtedy chciałaś pani wywołać w umyśle tych, którzy mogliby cię przyłapać, pomyłkę między osobą hrabiny d'Audeville a panią. Dowód jest niezbity. Żona moja była ci niewygodna: zabiłaś ją zatem. Odgadłaś, że skoro żona moja umrze, ja nie powrócę już do Ornequin i zabiłaś moją żonę!... Pawle, ogłosiłeś sześć zbrodni. Oto siódma: morderstwo hrabiny d'Audeville!

Starzec podniósł obie pięści i trzymał je przed twarzą hrabiny. Dygotał z wściekłości i zdawało się, że ją uderzy.

Ona zaś siedziała nieruchoma. Nie miała ani słowa buntu przeciwko temu nowemu oskarżeniu. Zdawało się, że wszystko stało się dla niej obojętne, zarówno to nowe obciążenie jak i poprzednie zarzuty. Wszystkie niebezpieczeństwa odsuwały się jakby od niej. Nie zastanawiała się

już nad tem, coby powinna odpowiedzieć. Myśl jej biegła gdzie indziej. Nie słów tych słuchała, lecz czegoś innego i na coś innego patrzyła, niż na obraz roztaczany przed jej oczyma. Tak jak zauważył Bernard, zdawałoby się, że bardziej zajmowała się tem, co działo się na zewnątrz, niż położeniem tak straszmem jednakże, w jakim się znajdowała.

Lecz czemu? Czego się spodziewała?

Po raz, trzeci spojrzała na zegarek. Upłynęła minuta, a po niej druga.

Po chwili, gdzieś, w górnej części piwnicy, rozległ się jakiś szmer.

Hrabina wyprostowała się i słuchała z całą uwagą, z wyrazem twarzy tak gorączkowym i naprężonym, iż nikt nie śmiał przerwać skupionej ciszy. Paweł Delroze i hrabina d'Audeville instynktownie cofnęli się w stronę stołu. Hrabina Hermina nasłuchiwała... Nasłuchiwała...

I nagle, ponad nią, w sklepieniu, zadźwięczało jakieś dzwonienie. Kilka sekund tylko... Cztery jednakowe dźwięki... I to było wszystko.

X.

Dwie egzekucje.

Nietylko owo zagadkowe dzwonienie poruszyło wszystkich do głębi, lecz bardziej jeszcze jakiś nagły podskok triumfu hrabiny Herminy. Wydała krzyk dzikiej radości, poczem wybuchnęła śmiechem. Twarz jej zmieniła się odrazu. Nie było już na niej śladu niepokoju, ani owego napięcia myśli, która szuka drogi i błąka się, lecz tylko bezczelność, hardość, pogarda, bezgraniczna duma.

— Głupcy! sztydziła... Głupcy!... Więc wyście myśleli?... Nie, na to trzeba naiwnych Francuzów!... Wyście sądzili, że chwycicie mię tak w pułapkę? Mnie! mnie!

Nagle, jakby zeszytywniała, zamknęła na chwilę oczy w wielkim wysiłku woli, potem wyciągając prawe ramię i odsuwając fotel, odkryła małą mahoniową płytkę, na której znajdowała się miedziana rączka i chwyciła ją pomacku, mając oczy zwrócone ciągle w stronę Pawła, hrabiego d'Audeville, jego syna i trzech oficerów.

I pytała tonem krótkim, urywanym:

— Czegoż mogę obawiać się teraz z waszej strony? Hrabina Hermina de Hohenzollern? Chciecie wiedzieć czy to ja? Tak, ja nią jestem. Nie przeczę... Ogłaszam to nawet uroczyście... Wszystkie fakty, które idjotycznie nazywacie zbrodniami, tak, ja je spełniłam... To było moim obowiązkiem względem mojego cesarza... względem wielkich Niemiec... Szpieg? nie... tylko Niemka poprostu. I to, czego dokonuje Niemka dla swojej ojczyzny, jest właśnie dokonane.

A zresztą... a zresztą, dość już głupich słów i gadaniny o przeszłości. Ważna jest teraz tylko teraźniejszość i przyszłość. A oto ja stałam się znowu panią teraźniejszości i przyszłości. Tak, tak — i to dzięki wam obejmuje znowu kierownictwo zdarzeń i my jeszcze śmiać się będziemy! Chciecie dowiedzieć się czegoś ciekawego? Oto wszystko co się tu stało od kilku dni, mojem jest dziełem. Z mojego rozkazu podkopane zostały mosty, które zerwała rzeka... Dlaczego? Czyż myślicie, iż dla tej nędznej tylko korzyści, aby was zmusić do cofnięcia się? Bez wątpienia, zrazu potrzeba nam było tego, potrzebowaliśmy dowieść świata o naszym zwycięstwie... Czy rzeczywiste, czy nie, będzie ono ogłoszone i osiągnie swój skutek, rękę wam za to. Lecz nie tego tylko chciałam, czegoś więcej jeszcze.

I udało mi się.

Umilkła, poczem podjęła tonem bardziej przygluszonem :

— Cofanie się, zamieszanie wśród waszych wojsk, konieczność przeszkodzenia naszemu postępowaniu naprzód i sprowadzenia posiłków, wszystko to miało zmusić waszego naczelnego wodza do przybycia tutaj i naradzenia się z swymi generałami. Od miesiący całych czatują na niego. I niemożliwe zbliżyć się doń, niemożliwe wykonać mój plan. Cóż zatem robić? Oto całkiem poprostu urządzić tak, by sprowadzić go do mnie, skoro ja nie mogłam dojść do niego... Ściągnąć go do miejsca przeze mnie wybranego, w którym poprzednio poczyniłam potrzebne przygotowania... I on przybył. Przygotowania są poczynione. Wszystko zależy tylko od mojej woli... Tylko od mojej woli! Słyszycie?... Jest tutaj w jednym z pokojów małej willi, którą zamieszkuje zawsze, przybывая do Soissons. On tu jest. Wiem o tem. Czekałam na sygnał, który miał mi dać jeden z moich agentów. Sygnał ów słyszeliście. Niema więc żadnych wątpliwości, nieprawdaż? Ten, na którego czekałam, pracuje w tej chwili z swymi

generałami w domu, który kazałam podminować. Jest przy nim komendant armji, jeden z najlepszych i komendant korpusu, również jeden z najtęższych waszych ludzi. Jest więc ich trzech — nie mówię o „figurantach“ — i wystarczy jeden mój ruch, rozumiecie, jeden ruch, podniesienie tej miedzianej rączki, a wszyscy trzej wylecą w powietrze razem z domem, który daje im schronienie. Mam-że wykonać ten ruch?

W sali rozległ się krótki trzask. Bernard d'Audeville nabijał swój rewolwer.

— Przecież trzeba ją zabić, tą nędznicę! — krzyknął. Paweł rzucił się ku niemu wołając:

— Milcz! i ani się rusz!

Hrabina wybuchnęła śmiechem, drgającym pełną złości uciechą.

— Masz pan słuszość, Pawle Delroze. Pan pojmuje całe położenie. Choćby ten szaleniec nie wiem jak szybko wysłał ku mnie swą kulę, miałabym jeszcze zawsze czas na podniesienie tej rączki. A tego pan nie chcesz, prawda? Tego właśnie ci panowie i pan także chcecie uniknąć za wszelką cenę... Nawet za cenę mej wolności, nieprawdaż? Do tego bowiem wniosku przyszlismy, niestety! Cały mój piękny plan wali się, ponieważ jestem w waszych rękach. Lecz warta jestem trzech waszych wielkich generałów, co? i mam prawo oszczędzić ich, aby siebie samą ocalić... Zgadzą się zatem? Ich życie za moje! I to natychmiast!... Pawle Delroze, masz pan minutę czasu na porozumienie się z tymi panami. Jeżeli po upływie tej minuty nie dasz mi w twojem i ich tu wszystkich imieniu słowa, że uważacie mię za wolną i udzielicie mi opieki na przedostanie się do Szwajcarii, wówczas wszystko skończone... Ach! jak ja was wszystkich trzymam w garści! I jakże to jest komiczne! Śpiesz się, przyjacielu Delroze! Twoje słowo... O tak, ono mi wystarczy. Słowo francuskiego oficera! Ach! ach! ach!

Śmiech jej nerwowy i pełen wzdargi rozległ się w głębokiej ciszy. Stopniowo począł dźwięczeć jakoś mniej pewnie, jak słowa, które przebrzmiewają bez spodziewanego wrażenia. I nagle urwał się, umilkł.

Hrabina osłupiała. Ni Paweł Delroze, ni żaden z oficerów, ni żaden z znajdujących się w sali żołnierzy, nikt nie ruszył się z miejsca.

Pogroziła im pięścią:

— Nakazuję pośpiech!... Macie minutę czasu, panowie Francuzi! Minutę, nie więcej!

Nikt się nie ruszał.

Hrabina liczyła pocichu i co dziesięć sekund oznajmiała je głośno.

Przy czterdziestej sekundzie zamilkła; na twarzy jej pojawiło się żywe zaniepokojenie. Wśród obecnych ta sama nieruchomość.

Podniosła się z wściekłością i zawołała:

— Jesteście szaleni! Czyście nie zrozumieli mych słów? Czy też może nie wierzycie mi? Tak, odgadłam, nie wierzą mi! Nie wyobrażają sobie, aby to było możliwe, abym mogła do tego doprowadzić! Myślicie, że to cud może? Lecz nie, tylko silna wola i trochę rozumu. A poza tem, czyż nie było tu waszych żołnierzy? Tak, sami wasi żołnierze pracowali dla mnie, zakładając linje telefoniczne między pocztą a domem przeznaczonym dla głównej kwatery! Rzec była już prawie gotowa dla moich agentów: dołek z prochem palnym wyłożony pod tamtym domem, połączony z tą piwnicą! Wierzycie mi teraz?

Głos jej załamywał się, drżący i chrapliwy. Coraz silniejszy niepokój kurczył boleśnie jej twarz. Dlaczego ci ludzie nie ruszali się? Dlaczego nie liczyli się z jej rozkazami? Czyżby postanowili na wszystko zgodzić się raczej, niż wypuścić ją z życiem?

— Więc cóż? — szepnęła — chyba rozumiecie mnie dobrze?... Albo chwyta was szaleństwo! No zastanówcie się... Wasi generałowie? Wrażenie, jakie wywołałaby ich śmierć?... Olbrzymie znaczenie, jakie ta śmierć nadałaby waszej potędze?... I co za rozprężenie!... Cofanie się waszych wojsk! Popłoch w głównym dowództwie!... Zastanówcie się!... Pomyślcie!...

Można było sądzić, że starała się ich przekonać... więcej nawet, że błagała ich, aby zechcieli spojrzeć na sprawę jej oczami i przyjąć konsekwencje, jakie przypisywała swemu czynowi. Aby jej plan mógł się udać, należało, ażeby oni zgodzili się działać w myśl przedstawionej przez nią logiki wypadków. Jeżeli zaś nie... jeżeli nie...

Nagle zbuntowała się przeciwko sobie samej, przeciwko swemu upokarzającemu błaganiu, którem się tak strasznie poniżała. I przyjmując ponownie grożącą postawę, krzyknęła:

— Tem gorzej dla nich! Tem gorzej dla nich! To wy ich skazujecie! Więc chcecie tego? Zatem zgadzacie się ze mną? A może wam się zdaje, żeście mię złapali? Powoli!... Powoli!... Nawet skoro upierać się będziecie

przy swoim, hrabina Hermina nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa! Wy mnie nie znacie!... Hrabina Hermina nie poddaje się nigdy... Hrabina Hermina...

Widok jej napawał wstrętem. Chwycił ją rodzaj obłędu. Kurcząc się w jakichś bolesnych drgawkach, konwulsyjnych skrętach, wściekła, ohydna, postarzała o lat dwadzieścia, przypominała obraz jakiegoś demona, który spala się w płomieniach piekielnego ognia. Rzucała obelgi, bluźnierstwa, przekleństwa. Od czasu do czasu śmiała się szatańskim śmiechem na myśl katastrofy, jaką wywoła jeden jej ruch. I jąkała:

— Tem gorzej! To wy... to wy jesteście katami... Ach! co za szaleństwo! Zatem sami tego żądacie?... Ależ to warjaci!... Ich własni generałowie! ich dowódcy!... Nie! toż oni chyba potracili głowy. Oto z swobodnem sercem poświęcają swoich wielkich generałów! swoich wielkich dowódców! I to bez żadnej przyczyny, przez idyotyczny upór! A więc, tem gorzej dla nich! Tem gorzej dla nich! Wy sami tego chcecie! Sami tego chcecie! Na was spadnie cała odpowiedzialność. Chodziło o jedno słowo tylko. I to słowo..

Była jakby u kresu wahania. Z wyrazem dzikim i nieugiętym, śledziła tych ludzi upartych, zdających się słuchać jakiegoś nieubłaganego nakazu.

Żaden z nich nie ruszył się.

Wówczas zdawało się, że wobec niezłomnego postanowienia tych ludzi, ogarnia ją taka gorączka jakiejś potworne rozkoszy, że zapomina nawet o grozie swego położenia. Wypowiedziała tylko te słowa:

— Niechaj. spełni się wola Boga i niechaj zwycięży mój cesarz!

Wyprostowała się dumnie i z oczyma utkwionemi w jeden punkt, palcem podniosła miedzianą rączkę.

I natychmiast, poprzez sklepienia, poprzez mury, przeniknął aż do piwnicy odgłos dalekiego wybuchu. Zatrzęsa się ziemia pod nogami.

Potem nastała cisza.

Hrabina Hermina nasłuchiwała jeszcze przez kilka sekund. Twarz jej promieniała radością. Powtórzyła:

— Aby zwyciężył mój cesarz!

I nagle cofnęła się gwałtownie w tył i jakby zagłębiając się w podziez wiszącą przy ścianie, o którą była oparta, zniknęła.

Rozległ się łoskot zamykających się ciężkich drzwi i równocześnie prawie huk wystrzału w głębi piwnicy.

To Bernard strzelił w stos ubrań przy ścianie i już rzucał się ku ukrytym drzwiom, gdy Paweł chwycił go za ramię i zatrzymał.

Bernard wydzierał się z rąk szwagra, wołając :

— — Lecz ona nam umknie!... I ty pozwalasz na to? Co tobie? Pamiętasz chyba tunel z Ebrecourt i cały system drutów elektrycznych?... To to samo!... I ona ucieknie!...

Nie rozumiał zupełnie zachowania się Pawła. A Elżbieta była równie jak i on oburzona. Ta niegodna istota zabiła przecież ich matkę, przywłaszczyła sobie jej imię, chciała zająć jej miejsce i oto teraz pozwalano kobiecie tej na ucieczkę!

Elżbieta krzyknęła :

— Pawle, Pawle, trzeba ją ścigać... trzeba ją zniszczyć... Pawle, czyż zapominasz o wszystkim, co ona zrobiła?

Elżbieta przypomniała sobie w tej chwili zamek Ornequin i willę księcia Konrada i ów wieczór, kiedy to musiała wychylić czarę szampana i wszystkie swoje męczarnie i owe okrutne, pełne hańby godziny...

Lecz Paweł nie zwracał uwagi ani na żonę, ani na szwagra, tak samo zaś oficerowie i żołnierze tkwili ciągle w nieruchomej postawie, posłuszni jakby jakiemuś wyższemu nakazowi. Zdarzenia zdawały się dla nich obojętne.

Minęły dwie, trzy minuty; zamieniono pocichu kilka słów, nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Na pół omdlała, przybita przeżytemi wzruszeniami, Elżbieta płakała. Bernard, którego szlochanie siostry doprowadzało do rozpacz, miał wrażenie jakiegoś potwornego snu, w którym człowiek jest świadkiem najstraszniejszych scen i niema ni siły ni władzy, aby móc im przeciwdziałać.

I nagle stała się rzecz, która wszystkim, oprócz Elżbiety i Bernarda, wydała się zupełnie naturalna. Od strony ubrań, wiszących przy ścianie, rozległo się jakieś skrzypienie, zgrzytnęły zawiasy niewidzialnych drzwi. Zakolysały się ubrania, a z za nich rzucono na ziemię, niby pakiet, jakąś ludzką postać.

Bernard d'Audeville wydał okrzyk radości. Elżbieta patrzyła zdumiona, śmiejąc się przez łzy.

Była to hrabina Hermina, związana, z zakneblowanymi ustami.

Za nią weszło trzech żandarmów.

— Oto pakunek, żartował jeden z nich grubym głosem. Ach! jużemy się bali, panie poruczniku, czy pan dobrze odgadł i czy to naprawdę tędy wylezie ta bestja. Ależ się broniła szelma! Co za wściekłość! Kąsała nas jak dzikie zwierzę. A pyskowała!... Ach! podła psica!...

I zwracając się do żołnierzy, u których słowa te wzbudziły żywą wesołość, dorzucił:

— Towarzysze, tej tylko zwierzyny brakowało nam do dzisiejszego naszego połowu. Ale to dobry kawałek! Niema co mówić! Teraz jużemy gotowi. Cała zgraja tych pludraków w jednym dniu! Panie poruczniku, co pan robi? Proszę uważać! Ta bestja ma porządne kły!

Paweł pochylił się nad hrabiną i rozluźnił jej nieco knebel, krępujący usta. Natychmiast też spróbowała krzyczeć, były to jednak tylko dźwięki zduszone, bez związku; Paweł potrafił przecież rozróżnić w nich kilka słów i sprzeciwił im się żywo:

— Nie, nawet tego nie, nawet tego zadowolenia nie będziesz pani miała. Poroniony zabieg... I w tem jest najcięższa kara, prawda?... Umrzeć, nie zadawszy ciosu, o którym się marzyło... I to jakiego ciosu!

Podniósłszy się, podszedł ku oficerom.

Spełniwszy swą sędziowską misję, rozmawiali w trzech swobodnie. Jeden z nich rzekł do Pawła:

— Doskonale, Delroze. Składał panu moje życzenia.

— Dziękuję, panie generale. Mogłem być nie dopuścić jej do tej próby ucieczki, chciałem jednak nagromadzić możliwie jak najwięcej dowodów przeciwko tej kobiecie i nie tylko oskarżyć ją o popełnione dawniej zbrodnie, lecz ukazać ją panom w pełni czynu i w pełni występku.

— A nieźle zabrała się do tego, nędznica! Gdyby nie pan, Delroze, willa wyleciałaby w powietrze razem z wszystkimi moimi współpracownikami no i ze mną w pierwszym rzędzie! Lecz co znaczył ów wybuch, który słyszeliśmy?

— To niepotrzebna budowla, panie generale, zniszczona zresztą już przedtem granatami, której komenda placu i tak chciała się pozbyć.

— Schwytano zatem całą zgraję?

— Tak jest, panie generale, dzięki jednemu z współpracowników, którego przed niedawnem udało mi się przyłapać, a który dostarczył mi potrzebnych dla wtargnięcia tutaj

wskazówek, zdradziwszy poprzednio szczegółowo cały plan hrabiny Herminy i nazwiska wszystkich jej współników. On to właśnie dziś wieczór o dziesiątej, miał przy pomocy tego dzwonka donieść hrabinie o tem, że ty generale znajdujesz się w swej willi przy pracy. I dzwonek odezwał się, lecz znak był dany na mój rozkaz i przez jednego z naszych żołnierzy.

— Brawo, i raz jeszcze dziękuję, Delroze.

Generał przybliżył się do światła. Był słusznego wzrostu i tęgii. Wąs gęsty i całkiem biały przykrywał mu usta.

Wśród obecnych uczynił się ruch niespodziany. Bernard d'Audeville i Elżbieta zbliżyli się zdziwieni. Żołnierze stanęli w wojskowej postawie. Poznali naczelnego wodza, któremu towarzyszyli komendant armji i komendant korpusu.

Żandarmi pchnęli zbrodniarkę pod ścianę. Rozwiązali jej nogi, lecz musieli ją podtrzymywać, bo słaniała się z osłabienia.

Twarz jej wyrażała bezgraniczne osłupienie bardziej jeszcze niż przestach. Rozszerzonemi oczyma wpatrywała się tępo, w tego, którego pragnęła zabić, którego uważała już za nieżywego, a który żył jednakże i miał wydać na nią nieunikniony wyrok śmierci.

Paweł powtórzył:

— Umrzeć, nie zadawszy ciosu, o którym się marzyło, to straszne, nieprawdaż?

Wódz naczelny żył! Połworny spisek był poroniony! On żył i żyli też wszyscy jego współpracownicy i żyli wszyscy wrogowie zbrodniarki: Paweł Delroze, Stefan d'Audeville, Bernard, Elżbieta... Byli tutaj wszyscy ci, których ściagała jej nienasycona zemsta! A ona umrze z tak okrutną dla niej wizją wrogów szczęśliwych i połączonych.

A przedewszystkiem umrze z myślą, że wszystko jest stracone. Rozbiło się w gruzy największe jej marzenie, cel jej życia.

Wraz z hrabiną Herminą zanikała dusza Hohenzollernów. Wszystkie te myśli przebijały się w jej oczach, przez które przelatywały przebłyśki obłędu.

Generał rzekł do jednego z swych towarzyszy:

— Wydałeś pan rozkazy? Zgraja będzie rozstrzelana?

— Tak, panie generale, dziś wieczór.

— Niechaj zaczną od tej kobiety! I oto natychmiast. Tu na miejscu.

Hrabina zadrżała. Wykrzywiając usta, odsunęła nieco knebel i jęcząc, żebrała o łaskę.

— Chodźmy — rzekł naczelný wódz.

Poczuł jak dwie rozpalone dłonie ścisnęły jego rękę. To Elżbieta pochylając się z szacunkiem, z łzami w oczach prosiła go o litość.

Paweł przedstawił swą żonę. Generał rzekł łagodnie:

— Widzę, że pani lituje się, mimo wszystkiej krzywdy, jaką ci wyrządzono. Nie trzeba mieć litości, pani. Tak, rozumię, to współczucie, jakie się odczuwa dla tych, którzy są bliscy śmierci. Lecz nie należy go mieć dla tych tu zbrodniarzy ani dla nikogo z tej rasy. Ci ludzie wyszli poza obręb ludzkości i nigdy nie powinniśmy o tem zapomnieć. Gdy pani będzie kiedyś matką, wpoi pani w swe dzieci uczucie, którego Francja nie знаła, a które będzie nam obroną w przyszłości: uczucie nienawiści dla barbarzyńców.

Przyjaznym ruchem podał jej ramię i powiodł ją ku drzwiom:

— Pani pozwoli, że ją poprowadzę. Delroze, idziesz pan z nami? Po takim dniu należy się panu odpoczynek. Wyszli.

Hrabina wyla żałość.

— Łaski! Łaski!

Żołnierze ustawiali się już wzdłuż przeciwległej ściany.

Hrabia d'Audeville, Paweł i Bernard pozostali jeszcze przez chwilę. Kobieta ta zabiła żonę hrabiego d'Audeville. Zabiła matkę Bernarda i ojca Pawła. Męczyła Elżbietę. Na widok skazanej odczuwali ów wielki spokój, jaki nadaje poczucie spełniającej się sprawiedliwości. Nie targali nimi żadna nienawiść, żadna myśl mściwa nie szarpała im mózgu.

Żandarmi ustawili zbrodniczkę pod ścianą, zaczepiając jej pasek o gwóźdź wbity w murze. Odsunęli się.

Paweł rzekł do hrabiny:

— Jeden z obecnych tu żołnierzy jest księdzem. Jeżeli pani potrzebuje jego pociechy...

Lecz ona nie rozumiała, nie słuchała. Widziała tylko to co się działo i co miało się stać i jęczała bez przerwy:

— Łaski!... Łaski!... Łaski!...

Hrabia d'Audeville, Paweł i Bernard odeszli. Gdy wyszli już po schodach na górę, do uszu ich doleciał rozkaz:

— W samą twarz!...

Aby nie słyszeć. Paweł zamknął za sobą żywo drzwi przedsionka i bramę domu. Na ulicy ogarnęło ich świeże, czyste powietrze, wchłaniali je pełnemi płucami. Wojska przechodziły z śpiewami. Dowiedzieli się, że walka skończyła się i że nasze pozycje były ostatecznie umocnione. A tam, w podziemiu, padła także hrabina Hermina...

W kilka dni później, podporucznik Bernard d'Auderville w towarzystwie dwunastu ludzi wchodził do podziemnego lochu w zamku Ornequin; loch czysty i dobrze ogrzany służył za celę więzienną księciu Konradowi.

Na stole znajdowały się flaszką z wina i resztki obfitego obiadu.

Obok stołu, na łóżku, spał książę. Bernard uderzył go po ramieniu.

— Odwagi, książę!

Więzień skoczył na równe nogi z przerażeniem.

— Co? co? co pan mówi?

— Odwagi, książę! Godzina się zbliża.

Blady jak trup skazaniec wyszeptał:

— Odwagi?... Odwagi?... Nie rozumię... Mój Boże! mój Boże! czy to możliwe?

Bernard odpowiedział:

— Wszystko jest zawsze możliwe i to co ma przyjść, przychodzi, szczególnie katastrofy.

I zaproponował:

— Może kieliszek rumu na wzmocnienie?... Może papierosa?

— Mój Boże! mój Boże! — powtórzył książę, drżąc jak liść.

Odruchowo wziął podanego przez Bernarda papierosa, który przy pierwszym odrazu zaciągnięciu się wypadł mu z ust. I nie przestawał szeptać:

— Mój Boże!... Mój Boże!...

Rozpacz jego zdwoiła się, gdy spostrzegł dwunastu ludzi, czekających z bronią w rękę. Patrzył w przestrzeń błędnym wzrokiem skazańca, który w bladej mgle jutrzeńki odgaduje w oddali sylwetę gilotyny.

Zaniesiono go na terasę i postawiono pod murem.

— Niech książę siada — rzekł Bernard.

Skazaniec nie był w stanie utrzymać się na nogach. Opadł na kamień.

Dwunastu żołnierzy ustawiło się naprzeciw niego. Pochylił głowę, aby na nich nie patrzeć, a całe jego ciało drżało jak figurka pajaca, którą pociąga się za sznurek.

Upłynęła krótka chwila. Bernard zagadnął go tonem przyjacielskim:

— Czy księżę woli strzał z przodu, czy z tyłu?

A ponieważ księżę osłupiały z przerażenia nie odpowiadał, Bernard zawołał:

— No, cóż tam, księżę! Zdajesz się cierpiący! Trzeba się opamiętać! Czasu jeszcze dość. Porucznik Paweł Delroze przybędzie dopiero za dziesięć minut. Pragnie koniecznie być świadkiem... jakby to powiedzieć?... być świadkiem tej małej uroczystości. I naprawdę gotów zobaczyć, że księżę bardzo źle wygląda. Jesteś księżę zupełnie zielony!

I z wielkiem przejęciem, jakby chcąc rozerwać skaźca, ciągnął dalej:

— Cobym ja też mógł księciu opowiedzieć? Ach, wiem już, o śmierci jego przyjaciółki, hrabiny Herminy! O! O! widzę, że to księcia zajmuje! Otóż tak! proszę sobie wyobrazić, że ta czcigodna osoba została rozstrzelana przed paru dniami w Soissons. I naprawdę nie była odważniejsza od księcia. Musiano ją podtrzymywać. A krzyczała!... Bez końca. A błagała o łaskę! Co za zachowanie! prawda? Żadnej godności! Lecz widzę, że księżę myśli o czym innym. Tam do licha! jakby to księcia rozerwać? Ach! mam myśl...

Wyjął z kieszeni jakieś pismo.

— Wiem już co zrobić. Zabawię księcia całkiem prosto lekturą. Zapewne, biblja bardziej odpowiadałaby chwili, lecz niestety nie mam jej przy sobie. Poza tem chodzi tu przedewszystkiem o danie księciu chwili zapomnienia, prawda? a nie znam nic lepszego dla prawego Niemca, dumnego z swego kraju i z czynów swojej armji, powtarzam, że nie znam nic bardziej umacniającego na duchu, jak ta oto mała książeczka. Będziemy się nią wspólnie upajali, dobrze? Tytuł: „Zbrodnie niemieckie wedle niemieckich świadectw“. Są to ulotne notatki, kreślone w drodze przez współrodaków księcia, a zatem jeden z tych niezaprzeczonych dokumentów, przed którymi z czcią chyli głowę niemiecka wiedza. Otwieram gdziekolwiek i czytam:

„Mieszkańcy uciekli z wsi. To było straszne. Na wszystkich domach ślady zakrzepłej krwi; twarze zmarłych

były wprost wstrętne. Pogrzebano ich natychmiast wszystkich, w liczbie sześćdziesięciu. Między nimi wiele starych kobiet, zgrzybiałych starców, kobieta w ciąży i troje dzieci, które przytuliły się jedno do drugiego i tak skonały. Wszyscy, którzy uratowali życie, zostali wypędzeni, widziałem jak czterech małych chłopców niosło na dwu kijach kołyskę, w której kwiliło niemowlę liczące pięć lub sześć miesięcy. Wszystko rozrabowane, splądrowane. Widziałem także jakąś matkę z dwojgiem drobnych dzieci; jedno z nich miało wielką ranę w głowie i wylupione oko“.

— To ciekawe wszystko, prawda książę?

I ciągnął dalej:

„— 26. sierpnia. — W czarownej wiosce Gué-d'Hossus (Ardenny) wzniecono pożar, niezbyt groźny, zdaje mi się. Mówiono mi, że jakiś cyklista spadł w biegu z swego roweru, a gdy padał, broń jego sama wypaliła; dano doń wówczas ognia. Wszystkich mieszkańców płci męskiej wrzucano całkiem poprostu w płomienie“.

— I dalej:

„25. sierpnia (w Belgji). — Rozstrzelano trzystu mieszkańców miasta. Ci, którzy wyszli cało z ognia karabinowego, zostali wzięci do roboty jako grabarze. Trzeba było widzieć w tej chwili kobiety...“

I Bernard czytał dalej, przerywając lekturę prawniczymi uwagami, które wypowiadał głosem tak obojętnym, jakby objaśniał jakiś tekst historyczny. Książę Konrad był bliski omdlenia.

Gdy Paweł przybył do zamku Ornequin i wysiadłszy z samochodu udał się na terasę, na widok księcia, ustawienia dwunastu żołnierzy i całego obrazu, uzmysłowił sobie odrazu tą złowrogą nieco komedję w jaką zabawił się Bernard. Tonem wyrzutu sprzeciwił się temu:

— Och! Bernardzie...

Młodzieniec zawołał z udaną niewinnością:

— Ach! jesteś nareszcie, Pawle! Prędko! Książę i ja czekaliśmy na ciebie. Załatwimy więc już wkońcu tą sprawę!

Podszedł ku swym ludziom, oddalając się na dziesięć kroków od księcia.

— Czy książę już gotów? Ach! tak, więc woli książę z przodu?... Doskonale! Jesteś tak zresztą o wiele sympateczniejszy... O! nogi nieco sztywniej, jeśli łaska! Trochę

więcej sprężystości!... I lekki uśmieszek, prawda?... Uwaga!... Ja liczę... Raz, dwa... Lecz proszę się uśmiechnąć! Czemuż u licha taka grobowa mina?...

Bernard pochylił głowę; trzymał oparty o piersi mały aparat fotograficzny. W tej chwili rozległ się suchy trzask. Bernard zawołał:

— Stało się! Już gotowe! Wdzięczność moja niema granic. Byłeś ksiązę tak uprzejmy, tak cierpliwy! Uśmiech jest wprawdzie nieco wymuszony, usta zachowały bolesne skrzywienie człowieka, skazanego na śmierć, a oczy mają wejrzenie trupie. Poza tem jednak, wyraz jest czarowny. Moje najserdeczniejsze dzięki!

Paweł nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Ksiązę Konrad niezupełnie dobrze rozumiał cały ten żart. Czuł jednakże, że niebezpieczeństwo minęło i starał się wyprostować dumnie, jak ktoś, kto wszystkie doświadczenia losu znosi z wzgardliwą godnością. Paweł Delroze przemówił:

— Jesteś ksiązę wolny. O trzeciej godzinie mam spotkać się na linii frontu z jednym z ordynansowych oficerów cesarza. On ma przyprowadzić dwudziestu jeńców francuskich, ja zaś mam ciebie ksiązę oddać w jego ręce. Zechciej ksiązę łaskawie wsiąść do tego automobilu.

Było widoczne, że ksiązę Konrad nie rozumiał ani słowa z tego, co doń mówił Paweł. Schadzka umówiona na froncie, przedewszystkiem zaś dwudziestu jeńców francuskich, wszystko to były słowa, których mózg jego nie był w stanie ogarnąć.

Gdy zaś usiadł w automobilu i kiedy jadąc, okrążał powoli trawnik, obraz Elżbiety d'Audeville stojącej na trawie i spoglądającej nań z uśmiechem, wprowadził go w jeszcze większe osłupienie.

— Najniezawodniej przywidzenie, pomyślał. I z miną ogłupiałą przetarł oczy, a ruch ten tak wyraźnie przejawiał jego myśli, że Bernard rzekł szybko:

— Niechaj się ksiązę upewni. To istotnie Elżbieta d'Audeville, nie kto inny. Tak, tak, Paweł Delroze i ja uważaliśmy, że najlepiej będzie nam samym poszukać jej w Niemczech. Tak też uczyniliśmy. Mieliśmy schadzke z cesarzem. I on to sam zgodził się z zwykłą sobie wspa-
niałomyślnością... Ależ to księcia czeka niespodzianka! Ojciec zmyje księciu porządnie głowę; jest na dobre roz-
wścieklony. Co za skandal!...

O oznaczonej godzinie odbyła się wymiana jeńców. Dwudziestu Francuzom wrócono wolność.

Paweł Delroze wziął na bok oficera ordynansowego i rzekł doń :

— Zechce pan zawiadomić cesarza, iż hrabina Hermína usiłowała zamordować naczelnego wodza w Soissons. Zaaresztowana przeze mnie i poddana sądowi, została rozstrzelana z rozkazu naczelnego wodza. Jestem w posiadaniu pewnej części jej papierów, a przedewszystkiem poufnych listów, do których jak przypuszczam, cesarz przywiązuje osobiście największą wagę. Listy te zostaną mu odesłane w dniu, w którym zamek Ornequin odzyska wszystkie swoje meble i wszystkie swe zbiory. Żegnam pana.

Sprawa była załatwiona. Paweł wygrywał walkę na całej linii. Ocalił Elżbietę i pomścił swego ojca. Ukręcił głowę niemieckiemu szpiegostwu, a uzyskując uwolnienie dwudziestu oficerów francuskich, dotrzymał wszystkich obietnic, danych naczelnemu wodzowi.

Mógł czuć się dumnym z swego dzieła.

W powrotnej drodze zagadnął Bernard szwagra :

— Widziałem przed chwilą, że byłeś zdziwiony mojem postąpieniem z księciem.

— Więcej niż zdziwiony, odparł śmiejąc się Paweł, zgorszony.

— Zgorszony! rzeczywiście!... zgorszony!... Więc taki smarkacz próbuje zabrać ci żonę i odpokutowuje za to kilkoma zaledwie dniami więzienia! Oto jeden z przywódców tych bandytów, którzy mordują i rabują, powróci do siebie i rozpocznie na nowo swoje rabunki i morderstwa! Nie, to idjotyczne! Pomyśl: wszyscy ci bandyci, którzy pragnęli wojny, książęta, cesarze, książęce i cesarskie żony znają tylko tragiczne piękno wojny, a nie mają żadnego pojęcia o tych wszystkich trwogach, jakie dręczą i zameczają biednych ludzi. Oni cierpią moralnie w strachu przed karą, która na nich czyha, lecz nie przechodzą cierpień fizycznych, na własnej skórze. Inni giną, wymierają. oni — żyją dalej. I kiedy ja mam tę jedyną cudowną sposobność i jednego z nich trzymam w rękę, kiedy mógłbym pomścić jego zbrodnie i zbrodnie jego współników i zgładzić go z zimną krwią, tak, jak oni to czynią z naszymi żonami i siostrami, ty dziwisz się, że przez okres dziesięciu minut bandycie temu dałem poznać co to znaczy obawa śmierci!

Nie, sądząc naprawdę po ludzku, logicznie i sprawiedliwie, powinienem był zadać mu jakąś mękę, którejby nigdy nie zapomniał. Obciąć mu dajmy na to, ucho, albo koniec nosa.

— Masz zupełną słuszność — odparł Paweł.

— A widzisz! powinienem był stanowczo obciąć mu koniec nosa! Przyznajesz mi słuszność! Ach! jakże żałuję, że tego nie zrobiłem! A ja, idjota, zadowolilem się daniem mu tej nędznej nauczki, o której jutro już nie będzie nawet pamiętał. Cóż za niedołęga ze mnie! Ale jedno mię pociesza, że zrobiłem zdjęcie fotograficzne, które będzie nieocenionym wprost dokumentem historycznym... głowa Hohenzollerna w obliczu śmierci! Nie, to przepyszne! widziałeś tą jego minę!...

Automobil przejeżdżał przez wieś Ornequin. Była zupełnie pusta, wyludniona. Barbarzyńcy spalili wszystkie domy i uprowadzili wszystkich mieszkańców, gnając ich przed sobą jak stado niewolników.

Wśród gruzów dostrzegli jednak starca, okrytego łachmanami. Siedział na stosie kamieni; spojrzął na nich tępo, błędnym wzrokiem warjata.

Tuż obok, dzieciak jakiś wyciągnął ku nim ramiona, dwoje biednych, drobnych ramion, które nie miały już rąk...

KONIEC.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

Część pierwsza:

	Str.
I. Popelniono zbrodnię	5
II. Zamknięty pokój	13
III. Rozkaz mobilizacji	22
IV. List Elżbiety	35
V. Wjeśniaczka z Corvigny	46
VI. Co Paweł widział w zamku Ornequin	56
VII. H. E. R. M.	64
VIII. Dziennik Elżbiety	74
IX. Syn cesarza	83
X. 75 czy 155 ?	92

Część druga:

I. Irena... nędza	101
II. Major Hermann	108
III. Dom przewoźnika	117
IV. Arcydzieło „kultury“	130
V. Książę Konrad się bawi	140
VI. Walka — niemożliwa !	152
VII. Prawo zwycięscy	163
VIII. Wzgórze 132	172
IX. Hohenzollern	182
X. Dwie egzekucje	195
